

Opowiadania z innej szuflady *książka Społeczności „Piękny Umysł Com”*

w celu przedruków oraz innego wykorzystania prosimy o kontakt:

E-mail: redakcja@pieknyumysl.com

Telefon: +48 667 428 880

źródła ilustracji:

wszystkie ilustracje znaleziono w internecie, jeżeli odnalazłeś swoją ilustrację i nie chcesz aby była tutaj zamieszczona – prosimy o kontakt.

Gdańsk 2015 - 2019

O książce

„Kiedyś, bardzo dawno temu w środowisku chorych po kryzysach psychicznych w internecie nawoływałem do stworzenia wspólnej książki o tematyce życia z chorobą psychiczną. Alą przewodnik dla nowych, poradnik dla rodzin tych nowych oraz zbiór wiedzy dla osób z zewnątrz, aby walczyć ze stygmatyzacją ludzi chorych w Polsce.

Wszystko to w jakiejś formie przystępnej do czytania – np. krótkich opowiadań, wspomnień, czy relacji.

Napisane przez wiele osób, z różnych perspektyw i o różnych stadiach choroby...

Później, gdy opowiadań by przybywało, był zamiar rozdzielić je tematycznie i złączyć w jakiś wspólnym koncept, tak aby czekała na wydawcę i znalazła się na półkach księgarń.

Niestety, wtedy się nie udało, internet w formie tworzenia treści przez internautów – dopiero raczkował, nie było crowdfundingu (czyli zrzutek internautów na dowolny cel) i nie było internetowych platform wydawniczych, które są obecnie.

Dzisiaj wracam do tego pomysłu i umieszczam pierwszy roboczy rozdział...”

Taki wpis został umieszczony przez jednego z Animatorów Wortalu PieknyUmysl.Com w 2015 roku. Od tego czasu, a minęło już ponad trzy lata „Książka Pięknego Umysłu Com” oprócz opowiadania JaPy – [przyp. red. Millo Merqueza] wzbogaciła się o kolejne cztery części, napisane przez kolejne osoby.

Każda część to zupełnie inny styl pisarski, inne spojrzenie na chorobę psychiczną i inna tematyka. Od formy bloga, poprzez wspomnienia z dzieciństwa do opowiadania science-fiction.

Zachęcamy do lektury książki.

A jeśli podoba się Tobie ta idea i chcesz dołączyć do autorów, nie koniecznie jako chory, ale np. psychiatra czy psycholog [red. zapewniamy pełną anonimowość] prosimy o kontakt pod adresem redakcja@pieknyumysl.com.

Jeżeli natomiast chcesz uczestniczyć w zbiorce na prawdziwe wydawnicze opublikowanie tej pozycji – wejdź na stronę Naszego Wortalu - <https://pieknyumysl.com/wp/dotacje/> i przekaż nawet najmniejszą dotację z dopiskiem „na książkę PU”. Z góry dziękujemy.

Wszystkiego dobrego....

Redaktor Wortalu PieknyUmysl.Com,
JaPalach

© Copyright: millo merquez i jego alter ego
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

źródło okładki:

<http://images.fineartamerica.com/images-medium-large/scars-venura-herath.jpg>

To podróż z normalności do szaleństwa i z powrotem.
To opowieść snuta i z beletryzowana prawdziwymi wydarzeniami i
prawdziwym umysłem.
To relacja o ludziach w szpitalach psychiatrycznych w Polsce, będących
tam i tu.
To też z krwi o kości codzienność chorych psychicznie w społeczeństwie.

Gdańsk 2017



Rozdział 1 - Nóż w wodzie (autor JaPa)

„Świat dzieli się na dwie połowy, z tym jednak, że
w jednej z nich jest nie do życia,
w drugiej nie do wytrzymania.”
[M.Hasko]

Początki są trudne, jednak trudniejszy jest koniec.



Swego czasu na oddziale pewnego szpitala psychiatrycznego był zatrzymany człowiek. W zasadzie mało mówił o sobie. Gdy przyszło mu odpowiadać, to mówił półsłówkami. Jednak wiadomo było, że był kryminalistą. Miał kropkę, a nawet dwie – z tego co pamiętam - tuż przy oczach. Nie będę teraz zgadywać, czy były to kropki wytatuowane przy lewym czy prawym oku. Może były to dwie kropki takie, że ten człowiek był kiedyś prawym, a później zszedł na drogę występku – lub było odwrotnie... A może uprawiał grypsere¹ i nauczał, albo wręcz przeciwnie. Nie wyglądał na cwela², ale na zbója pełną gębą. Może sprzedał kogoś na

¹ (z [niem.](#) – *Grips* – pot. *rozum*) – [język środowiskowy](#) środowisk przestępczych[1] na gruncie [języka polskiego](#), szczególnie przypadek [argotu](#). Powstała najprawdopodobniej w XIX wieku na terenie [zaboru rosyjskiego](#), jako miejsce jej powstania podawany jest [Zakład Karny na „Gęsiówce”](#) w Warszawie[2]. Początkowo pełniła funkcję głównie [języka tajnego](#), [gwary środowiskowej](#) przestępców odsiadujących długoletnie wyroki.

² obraźliwe pojęcie, degradujące określenie osoby zmuszanej w [więzieniach](#) do odbywania [stosunków seksualnych](#) z innymi współwięźniami.

wolności, a potem był wierny i charakterny. Sam nie wiem.

Wyglądał dość chojracko, pewnie miał w swoim życiu niejednego gnata. A w więzieniu i szpitalu wciąż czekał na andzię, czyli jakąś amnestię lub wolność nieważne jaką. W sumie nigdy nie mówił, ile ma do końca, pewnie w jego przypadku nie było końca...

Kobiet miał wiele. Nawet za kratami ciągle dzwoniły do niego i godzinami snuł z nimi smęty³ – jednak tak to robił, że kobiety biegały⁴ z nim i przysyłały mu regularnie walizy⁵ z żarciem, a w żarciu ukryty hajc⁶. Również szlugi⁷ miał zawsze przednie i nigdy nie widziałem, aby prosił lub brał, jak inni częstowali. Miał zawsze swoje. Był człowiekiem poważnym, choć często się uśmiechał tubalnym głosem, często chodził w tą i z powrotem po korytarzu gwarząc z kimś równie charakternym jak on lub nawijał smutki⁸ z komórki z jakąś mamą⁹, która była niedawno na oddziale wyżej i depresyjnie się w nim zakochała. Później dzwonili do siebie i rozmawiali jak piękni dwudziestoletni narzeczeni w rozłące.

Pierwszy raz, gdy go ujrzałem, wiedziałem, że to gość z Mokotowa¹⁰ i ma bliźnę na duszy z przeszłości, którą w wieczność, a na pewno do śmierci, będzie nosić. Później utwierdziłem się i sam nie wiem, jakie musiał mieć plecy, że był w szpitalu, a nie w więzieniu. Ktoś komuś coś, że kilka lat temu - jak sądzę - dostał się do psychuszki¹¹, chociaż nie był z niego palmus¹². Był jednym z bardziej zrównoważonych osób, jakie w życiu

3 nudne opowieści

4 chodzić, być w związku

5 paczki

6 pieniądze

7 papierosy

8 kłamać

9 kobieta

10 warszawski Areszt Śledczy (na Mokotowie)

11 sowieckie ośrodki, które łączyły funkcje szpitali i zwykłych więzień, w których we wspólnych celach przetrzymywano osoby rzeczywiście chore i skazane za morderstwa i gwałty ze zdrowymi osadzonymi na podstawie fałszywych ekspertyz lekarskich na zlecenie KGB.

12 więzień specjalizujący się w udawaniu zaburzeń psychicznych

spotkałem, a na pewno osób w psychiatrykach, jakie mi było poznać.

Musiał być z dobrej parafii, czyli gang o nim musiał pamiętać. A jak wiadomo - na tym oddziale Ordynator często rozmawiał z papugami¹³, dlatego miał najnowsze SUVa marki BMW i uwierzcie, że pięknie się w nim prezentował, tak że niejednen zbój musiał się u niego leczyć.

Ordynator był ludzki i zbójów¹⁴ nierokujących i zbyt pewnych siebie posyłał z powrotem za kratki. Oddział ten był swego rodzaju czyścem, w którym można było spędzić rok, dwa lata, lub kilka dni zaledwie. Ale również można było w nim szczeznąć, nie ujrzawszy już światła dziennego bez krat.

Raz młodzian, z którym się zakolegowałem, był się wyczyścić również. To była dziwna sprawa, jednak on trafił z powrotem do katorgi¹⁵, pomimo że było wszystko „na dobrej drodze”. Przekombinował i trafił znowu do piekła odsiadki. Pamiętam jak dziś, że często do młodziaków mówił: „Ja więcej spędziłem czasu w transportach¹⁶ niż ty lat masz, szczeniaku”. Pewnie to utarty tekst przez braci¹⁷, aby ustawić świeżaka¹⁸. Był bardzo inteligentnym człowiekiem, tak samo jak i wysportowanym. Jego tatuaże, prawie na całym korpusie – z przodu, jak i z tyłu na plecach - były majstersztykiem, a wręcz profesurą w działaniu¹⁹. Pamiętam jak dziś, że tematem przewodnim był jasper, czyli błazen. Złowrogi, ale i roześmiany szyderczo jak w talii kart joker. Ironicznie wygląda postać ogolona, kulturystyczna, w tatuażach, trzymająca niezdarnie karty w rękę

13 adwokat

14 przestępców

15 w [carskiej Rosji](#) ciężkie przymusowe roboty (połączone z zesłaniem na odległe tereny Imperium - zwykle [Syberie](#)).

16 przewożenie więźniów z jednego miejsca do drugiego, zwykle więzień

17 wspólnota grypsująca

18 Nowy więzień w celi

19 W tatuowaniu

i spoglądająca na nie w okularach. Często grał w karty, w tysiąca i zazwyczaj ogrywał innych.



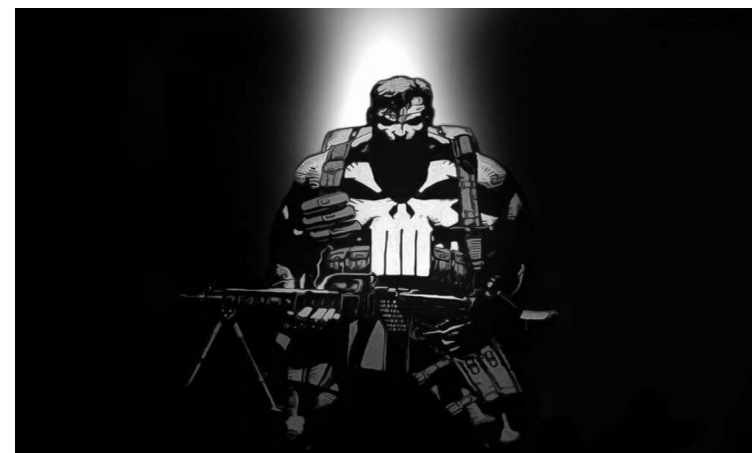
W młodości miał grać w pewnym klubie w piłkę nożną, jednak po kontuzji kolana klub nie chciał opłacić operacji... I tak stał się liderem pseudokibiców i widocznie na jednej z ustawek był zbyt dobry i mocny. Poniosło go - jak sądzę - i trafił do pierwszego w swoim życiu transportu. Często w szpitalu odwiedzała go pewna dziewczyna z brzuszkiem – pewnie przez niego podbita²⁰. Na mój gust niczego sobie, jednak on, gdy ona wychodziła, świrował do młodych sprzątaczek. Ba, często dzwonił z budki do dziewczyny z górnego oddziału kobiecego. Długo rozmawiali, że uciekną razem - i uciekli... Ona później wiele razy dzwoniła do naszej budki, pytając się co z Łukaszem. Nikt nie miał serca jej powiedzieć, że Ordynator go przechytrył. Ale też nikt nie powiedział jej, że może udałoby mu się prysnąć, gdyby nie chciał i zabrać ją na pokrywkę²¹ i dalej - jak on sam mówił – byle do Berlina...

Pewnego poranka wpadły gliny na nasz oddział. Był z nimi a'la Rambo z

²⁰ kobieta w ciąży

²¹ ucieczka (z zakładu karnego)

koszulką Punishera, która na jego korpusie prezentowała się zaiste komiksowo i groźnie.



Policjanci eskortowali na oddział konkretnie pobitego, skutego w „dyby”²², który leżał na brzuchu przykuty do łóżka szpitalnego, tak że ręce miał spięte za plecami, a jego krtań boleśnie wbijała się w krawędź łóżka. Zamknęli go w izolatce obserwacyjnej. Przez 24 h dwóch policjantów²³ go pilnowało, zmieniając się o 8 rano i 20. Czasem dawali mu wyjść za próg i poprosić od nas papierosy. Był z nami 2 tygodnie. W dzień jego meldunku²⁴ u nas, bez podawania szczegółów, a wręcz zmieniając miejsce zdarzenia, wspomniano o nim w głównym wydaniu wiadomości. Miał napaść na policjanta z nożem i śmiertelnie nim go ugodzić. Był młody, mniej więcej wyglądał na 22 – 24 lata. Był z wyglądu Czechenem lub Gruzinem. Śniady, dobrze zbudowany i wysoki – jak wyjęty z klatki MMA²⁵. A czemu wspominam o MMA? Gdyż kilka

²² pas służący do opanowania agresywnego więźnia

²³ oficer policji

²⁴ przybycia do celi

²⁵ walki przy użyciu różnych sztuk walki (ang. Mixed Martial Arts)

dni wcześniej w mediach społecznościowych zawrzało po informacji o rozbiciu gangu, nazwanego gangiem gladiatorów MMA. Byli to przeważnie Czecceni, trenujący właśnie sztuki walki. Niewykluczone jest, że ten młody człowiek musiał uciec z łapanki²⁶, a potem ścigany jak dzikie zwierzę przez policję, w akcie desperacji miał napaść, aby potem przepaść jak kamień w wodę, czyli trafić do nas. Wtedy nie czułem się najlepiej. W pierwszą noc, gdy ów Czeccen był na obserwacyjnej, nie mogąc zasnąć, nagle wkręciłem sobie pewien chory film. Chodząc po pustym oddziale, gdzie było słycać tylko głośnie chrapanie o 3 nad ranem, gdzie nawet pielęgniarki rozłożyły sobie legowisko²⁷ i również smacznie spały, pomyślałem, co by się stało, gdyby ów nowy lokator był jakimś ważnym członkiem parafii, czyli ważnym gangusem²⁸. Wspólnicy mogliby chcieć go odbić²⁹. Przestraszyłem się nie na żarty i nie podchodziłem pod okna – bo co by się stało, gdyby – pomyślałem - nagle padły strzały, albo jakiś zapalnik rozpoczął wyłom w ścianie? Szpital był na uboczu i otoczony lasem, a okolica była nieoświetlona. A prawdę mówiąc jakiś odwrócony³⁰ mógł przecież sprzedać³¹ lokum nowego przybysza. Na szczęście w tą noc nie padły strzały, a noc była cicha i ciemna – zresztą jak kolejne noce. W ciągu uporządkowanego dnia szpitalnego widzieliśmy Czeccena, który czasem prosił u progu swojej sali... Wszyscy dawali mu papierosy, żal nam go było. Żadna papuga by go nie wybroniła, a i parafia jego pewnie była rozbita już w pył przez operacyjnych³². Pewnie dlatego prawie co wieczór wychodził z pokoju i z nadzieją patrzył na wiadomości, czy przypadkiem nie powiedzą coś o jego znajomkach³³... Dni mijały, a Czeccen był z nami, pomimo że rany, obrzęki i krwiaki zeszły z jego twarzy i mógł się już normalnie uśmiechnąć – nigdy się jednak nie śmiał. Smutne miał oczy, choć na młodej twarzy. Ciekawe, jaką on miał tajemnicę? I czy faktycznie

26 oblawa policyjna

27 miejsce do spania

28 członek gangu

29 przeprowadzić akcję uwolnienia

30 informator policji w szeregach gangu

31 wydać

32 policjant działający w terenie, np. dochodzeniowiec

33 kolegach z gangu

to był nóż? I czy wychodząc z oddziału w podobnej obstawie jak przyjechał, nie zniknął na wiele lat w więzienne bezkresne jeziora czasu do odczekania?

Ciekawe, co dzieje się z tymi ludźmi teraz, których o wszystko bym posądził, patrząc im głęboko w oczy: ale nie o motyle³⁴ mordy w młodości jako plujka³⁵ dla zorganizowanych grup przestępczych Warszawy; czy kibicowanie, w którym o jeden raz uderzyło się zbyt mocno, tracąc życie i kobiety tego życia, które tak się kochało; aż wreszcie nie można wejść już do klatki gladiatorów, i przyszła młodość, która minuta za minutą odchodzi w zapomnienie – w celach tego świata....



34 przestępca działający bezszelestnie, nie zostawiający śladów

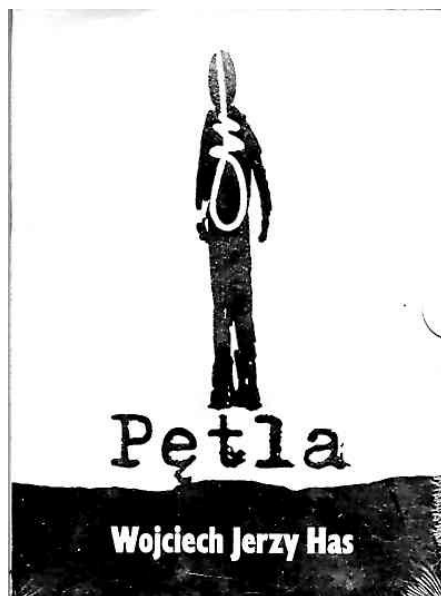
35 przestępca wykonujący wyroki śmierci

Rozdział 2 - Również w klatce (autor JaPa)

„Raz w życiu pomyliły mi się kroki i od tego czasu chodzę krzywo.”

[M.Hłasko]

Często spotykałem ludzi, którzy pomimo tego, że nie byli już za kratami więzień, czy oddziałów zamkniętych – byli wciąż jakoś uwięzieni. Ich życie raz przekrzywione, nigdy nie było już takie samo...



Jurek był osobą nad wyraz stoicką, zrównoważoną i cedził każde słowo bardzo powoli i z zadumą, jakby nie zwracał się do mnie, a wypowiadał bardzo ważne przemówienie do dużego gremium słuchaczy, np. odbierając

nagrodę Nobla. Szkoda, że takie osoby jak on, są zbyt małe, aby nagrodę Nobla – na przykład pokojową – otrzymać i zbyt wielkie, aby długo żyć między nami...

Napoleon kiedyś napisał, że wielcy ludzie są jak meteory – pojawiają się na krótko i giną - przy czym oświecają na chwilę nieboskłon, który porównywał do ludzkości. Nie wiem, czy Jurek był takim meteorem, wiem na pewno, że pojawił się w moim życiu, jak i w życiu wielu osób – na bardzo krótko i zniknął – pozostawiając ciemność bez niego. Za mało go znałem, aby powiedzieć, że „oświecił ludzkość”. Mnie na pewno oświecił tym, że myślę o nim i o naszych rozmowach. Przywołuję w pamięci jego postać i tą jego zadumę.

Nie miał lekkiego życia. Jako człowiek z piętnem chorego psychicznie, nie udało mu się ukończyć jakichś wartościowych szkół. Nie miał również dobrze płatnego fachu w rękę i jak większość chorych – musiał bardzo skromnie żyć, mając wiele pasji i wrażliwość, która potęgowała jego ból istnienia we wspomnianej skromności narzuconej przez otoczenie. Jednak nie poddawał się i każdego dnia walczył o każdą złotówkę, dorabiając tu i tam.

Gdy zaproponowano mu objęcie pieczęcią pewne duże Stowarzyszenie w Gdańsku, które pomagało osobom chorym i po kryzysach psychicznych – objął tę funkcję i pewnie sprawował tę funkcję, tak samo jakim był. Czyli sumiennie i rozważnie. Piszę, że pewnie, gdyż ten etap w jego życiu mało znam i już wtedy Jerzy nie miał czasu na spotkania i długie rozmowy jak kiedyś.

Ludzie chorzy, tak samo jak ludzie zdrowi, można podzielić na dwa typy. Jedni nie mając dosłownie na nic, pędząc w natłoku zajęć, pasji, obowiązków i olbrzymich zainteresowań. Drugim natomiast dni przelatują biernie przez palce, w których tracą godzinę po godzinie -

zmieniające się w całe lata. Jerzy należał do tych pierwszych osób, przy czym spotkane na jego drodze osoby zawsze były pod wrażeniem jego osoby. Jest teoria, że po krótkiej rozmowie i pierwszym wrażeniu, można powiedzieć, czy dana osoba nam pasuje, czy wręcz przeciwnie. Jerzy należał do osób, które robią wspomniane wrażenie zawsze pozytywnie względem innych napotkanych w życiu osób.

Jerzy również utwierdził mnie w przekonaniu, że ludzie również dzielą się na tych, co mają odwagę i nie mają odwagi popełnić samobójstwa. Wiele osób spotkałem na swojej drodze, które jakoś chciały, popełniały, jednak nie udawało się im. Raz zaprzyjaźniłem się z Rafałem, który przeżył skok pod pociąg odurzony alkoholem i nie wiadomo czym jeszcze. Dostał się pod koła pociągu, który z łoskotem po prostu przejechał nad nim. Już kilka dni później się spotkaliśmy i oprócz otarć i kwaśnej miny, oraz zbesztania przez sokistów, nic mu się nie stało. Dziwne to jest, że jedni od tak odchodzą na swoje życzenie, a inni cofają się w głąb samolotu, jak tchórzliwi początkowi adepci skoków spadochronowych, jak przyjdzie co do czego...

Jednak przykład Jerzego pokazuje, że pętla się zaciska często nad zdrowymi, a co dopiero nad „osobami z branży”, którzy walczą często ze sobą każdego dnia i znajdują tysiąc powodów, aby tego nie zrobić. Jeden powód może kiedyś zwyciężyć, gdyż jednocześnie mózg sam generuje tysiąc powodów, aby jednak to zrobić.

Jerzy popełnił samobójstwo latem 2015 roku, zostawiając niedopowiedzenia, dlaczego to zrobił i wszystkich bliższych i dalszych przyjaciół z wielką pustką po nim. Wszyscy się zastanawiali, co go pchnęło do tego aktu...

Jerzy często zastanawiał się, czemu jego ojciec, również leczący się psychicznie, zostawił go w wieku nastoletnim po skoku z wieżowca. Całe

swoje dorosłe życie okrywał swojego tatę, z dokumentów, wspomnień różnych osób. Nie mógł nigdy wybaczyć ojcu tego samobójstwa i tego, że przez to skazał go na życie w niedoli, samotności i niedostatku.

Tomek zachorował dosyć późno, gdyż miał już żonę, dwójkę synów w wieku szkolnym, własną firmę, dom i kilka samochodów. Miał ciężkie dzieciństwo w miejscowości po byłych PGR-ach, gdzie włącząc się bujnie spędził młodość. Na bitwach podwórkowych, pachtach



ogrodowych i innych szalonych zabawach z przyjaciółmi z podwórka.

Gdy go spotkałem po raz pierwszy w wieku blisko 40 lat, był hospitalizowany, do tego na oddziale zamkniętym. Zaprzyjaźniliśmy się i po wyjściu ze szpitala zlecał mi różne projekty informatyczne. Poznałem jego firmę i współpracowników, z którymi pracował. Firmę prowadził dość chaotycznie i moim zdaniem zbyt autorytatywnie. Źle traktował swoich pracowników, szczególnie kobiety. Obnosił się jak pan

na włościach, który za marne grosze może wymagać co mu się żywnie podoba. Do tego pewnie przez chorobę, ale również przez jego charakter - był zmienny i kapryśny, nawet w pracy. Miał dwóch synów, których bardzo kochał i rozpieszczał ich. Chciał im dać to, czego nie miał w dzieciństwie, czyli zbytki domowe i dużo pieniędzy na różne zachcianki. Narzekał czasem na żonę, że tylko umie wydawać pieniądze - masę pieniędzy, które on zarobi.

Targała nim choroba, raz nadpobudliwość, raz energia, raz depresja. Miotał się w życiu, w pracy, w interesach. Pieniądze raz były, raz ich nie było. Firma, jak i on gnał na oślep. W pewnym momencie jego najzdolniejsza pracownica stwierdziła, że ma dość pracy dla niego i odeszła do konkurencji. Tomek nie próbował jej zatrzymać. Pewnie zrobił jej po prostu awanturę, zamiast podnieść jej pensję i przekonać do pozostania. Firma od tego momentu zaczęła się rozpadać, jak i osobowość i zdrowie Tomka.

Przyznał mi się, że pewnego razu, gdy żona i synowie pojechali na wakacje, już był na krześle, z pętlą na szyi i płakał – co go pcha w tą pętlę i że już nie zniesie tego życia ani minuty więcej. Wtedy zszedł ze swojego krzesła, ale już dawno go nie widziałem – nie wiem, czy żyje jeszcze...



Kasie poznałem na dziennym. Była po próbie samobójczej, którejś już z rzędu – kilka miesięcy przedtem odratował ją listonosz, gdy ‘odpływała’ po zażyciu dużej ilości leków przeciwbólowych. Na co dzień była osobą radosną, kontaktową i towarzyską. Zawsze uśmiechnięta. Nikt by nie poznał z powierzchowności, że taki smutek nosi w sobie. Krzyż osamotnienia w zgiełku pracy, alienacje rodzinną i niezrozumienie. Dopiero na psychoterapii czasem posmutniała na moment i łezka popłynęła po jej licu, choć i tak wszystkiego nie mówiła i nie przerabiała w grupie. Na co dzień energiczna, po studiach, z dobrą pracą. Pomimo uczęszczania na terapię, epizodu choroby psychicznej, kilku miesięcznej pauzy w pracy. Pewnego razu przyznała się nam, że z mężem kupują na kredyt mieszkanie pod wynajem. Myślę sobie - Dziwne. Ona niestabilna, ocierająca się któryś raz o śmierć – i hipoteka z drugiej strony. Ale to pomysł męża myślę.

Minęło kilka miesięcy i telefon: Kasia nie żyje – popełniła samobójstwo w ferie. Podobno mąż wrócił z gór z dwoma ich córkami i zastali w domu martwą mamę i żonę....

Kilka dni później SMS: „

Dnia 25.02.2016 zmarła Kasia. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w sobotę 05.03.2016 o godz. 11 w kościele [takim i takim]. Przed nabożeństwem o godz. 10:30 odmówiony będzie różaniec. Po nabożeństwie na Cmentarzu [takim i takim] odbędzie się ceremonia pogrzebowa. Dnia 04.03.2016 o godz. 19:30 w Kościele [takim i takim] odmówiony będzie różaniec za duszę świętej pamięci Kasi. Dariusz [...] mąż Kasi.”

Nie byłem na pogrzebie, wspólnie z mężem Kasi nie odmawiałem różańca ‘za jej duszę’. Tylko długo myślałem, co nie tak było w życiu Kasi i czemu ten SMS był tak bezduszny.



Rozdział 3 - Pijani szaleństwem (autor JaPa)

– Trzeba żyć, kochani – powiedział Dziewiątka. – Trzeba żyć i cieszyć się, i płakać, i przeklinać, i diabli jeszcze wiedzą co robić, ale nie wolno wspominać.

[M.Hłasko]



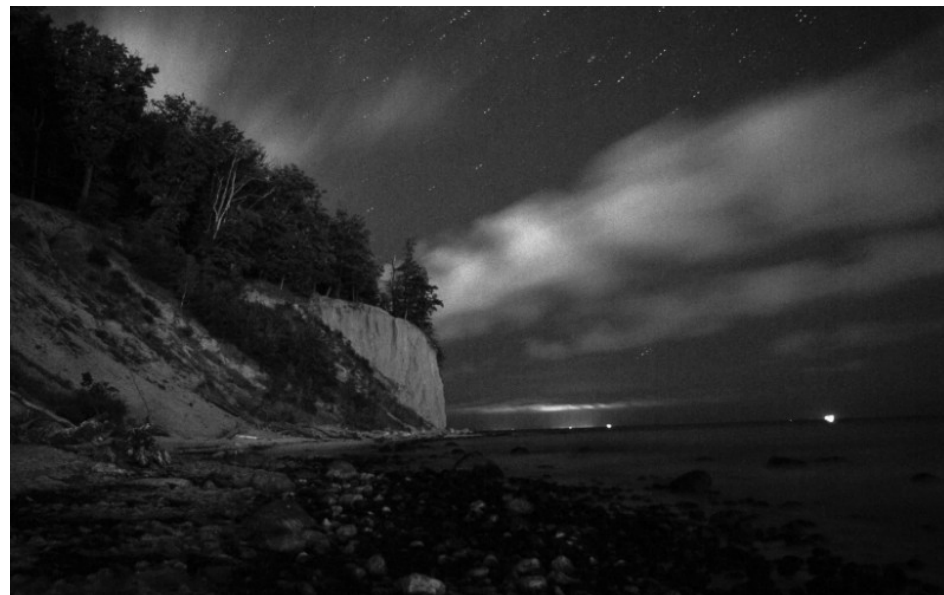
Jest teoria, że jak po psychozie spisz się wszystkie swoje ekscesy, drogi przez ciemność czy urojenia – można o tym zapomnieć i żyć dalej....

Kiedyś wyszedłem na papierosa pod oddziałem dziennym pewnego szpitala i wtopiłem się w grupę młodych osób, którzy wyszli z oddziałów zamkniętych. W pogodny wiosenny dzień z uśmiechem wszyscy dorzucali co oni zrobili głupiego w tzw. manii – przy tym chciwie zaciągając się kolejnymi wdechami dymu tytoniowego. Gdy powiedziałem historii Krzysztofa, zamilkli na moment i ktoś powiedział – to prawda, że to szczęście, że przeżyłem.

Krzysztofa spotkałem na oddziale dziennym w grupie młodzieżowej. Na zajęcia przywiózł go samochód dla inwalidów. Nic dziwnego. Krzysztof jeździł na wózku, nie miał oka, na drugie ledwo widział, był sparaliżowany od pasa w dół.

Krzysztof był dobrze zapowiadającym się sportowcem. Wysoki około 190 cm wzrostu od dziecka trenował koszykówkę. Reprezentant swojego liceum w wielu dyscyplinach sportowych. Inteligentny z świetnymi wynikami w pozostałych przedmiotach. Oczytany, z dobrej, ustatkowanej rodziny.

Na pierwszym roku studiów AWF Krzysztof „odleciał”. Kilka dni biegał po swoim mieście – za nim policja i jego rodzina, która zgłosiła jego zaginięcie. Ucieczka i wysokie loty Krzysztofa skończyły się na Klifie Orłowskim w Gdyni, gdy Krzysztof myśląc że jest supermanem – poleciał...



Kiedyś przez 3 godziny przez prywatny czat opowiadałem swoje „wysokie loty”, które przeżyłem podczas mojego pierwszego

zachorowania pewnej młodej dziennikarce. Mieliśmy w drugiej sesji kontynuować. Nigdy później nie było drugiej sesji. Młodą dziennikarkę przerosła ilość szaleństwa, jakie może spotkać jednego człowieka przez kilka dni. Może również stwierdziła, że kontakt z takim człowiekiem jak ja i o takich przeżyciach – może być zbyt niebezpieczny dla niej. Nie wiem... A może sama oszalała... wcielając się w mrok obłąkanych przeżyć.

A to co znaczy szaleństwo? Czy szaleństwo jest wtedy, gdy gnamy przed siebie bez pieniędzy, czując się jak zaszczuty gangster. Czy gdy myślimy, że jesteśmy supermanem, jeżdżąc na dachach pociągów. Albo inaczej: czy szaleństwo to bycie Aniołem, czy Diabłem. Modlenie się i przeklinanie świata. W szaleństwie trudno rozdzielić od opijania się świętością od ognia diabelskiego.³⁶ I w ten dualizm najczęściej wpędzani są chorzy. Może ten polski hip-hopowy tekst powtarzany jak mantra: „Jestem Bogiem, wyobraź to sobie sobie, Ty też możesz być Bogiem...”³⁷ Jest blahy, ale jest zwięzłą konstatacją psychozy.

Kiedyś spotkałem człowieka, który w przypiływie choroby stał na środku skrzyżowania i sterował ruchem. Brudny, mówiący do siebie, bez zębów, które wcześniej sobie powrywał, twierdząc, że są w nich mikro przekaźniki nim sterujące. Przez chwile był w centrum skrzyżowania, a w swoich myślach w centrum wszechświata.

Sam przejechałem całe Trójmiasto, siedząc na najniższym stopniu podestu przy otwartych drzwiach, głupio się śmiejąc do pasażerów – tak wtedy myślałem, że jestem zbłąkanym Diabłem, a śmierć nie istnieje – bo przecież nie byłem człowiekiem – wtedy byłem nadczłowiekiem, do którego dążył Nietzsche. Innym razem policja przystawiała mi do skroni pistolet krzycząc: „Naprawdę chcesz zginąć”... zaśmiałem się im szyderczo w oczy. Wtedy sądziłem, że nikt i nic mnie nie pokona.

36 „Sacrum Bibo or Ignis God”

37 Tekst utworu ‘Jestem Bogiem’ zespołu Paktofonika

A co z osaczeniem, ludzkim wzrokiem i wszędobylskimi służbami wywiadowczymi, które na każdym kroku na nas patrzą. Co ze sterowaniem naszymi myślami, chipami. Jaki świat takie lęki i psychozy. Już w szpitalach nie ma Napoleonów Bonaparte, teraz są nadludzie wyrwani z „Matrixa” – macierzy ludzkiego mrowia.

Czy my naprawdę musimy ocierać się o śmierć w psychozie. Dosięgać chmur jak Ikar, ryzykując przy tym nasze życia. Co nas pcha w sidła szaleństwa, zapomnienia, osaczenia – może tabletki czerwone lub niebieskie, różowe i inne. Może to stres dnia codziennego, traumatyczne przejścia, trudne życie. Pomijam tutaj obciążenie genetyczne, wcześniactwo, czy narodziny w miesiącu kwietniu. Niestety coraz więcej jest chorych, bo jest coraz więcej stresu, a wśród młodych narkotyki i coraz bardziej dopalacze. Dopalacze do szaleństwa, które prowadzą dla niektórych do opadania w odmęty obłądu...

Czasem owy obłąd jest groteskowy – jak pomysł spędzenia nocy na miejscu parkingowym komendanta policji, który sam, we własnej osobie – zjawia się nie dalej niż 15 minut po rozbiciu obozowiska. Jednak to podświadome wołanie o pomoc, może być niebezpieczne dla innych jak i dla chorego.

Dobrze, jak pomimo, w końcu, rodzina postanowi, siła lub podstępem zawieźć chorego do szpitala zamkniętego. Czy czerwoni³⁸ w kaftanie wywloką na noszach nas, dając wcześniej złoty strzał silnego leku uspokajającego. Wtedy powalczymy z kaftanem, po czym zamknjemy oczy z ulgą, że ktoś nas odnalazł w naszym szaleństwie.

Po każdym sztormie roztrzaskane okręty toną, rozbitkowie zbierają siebie i chcą zapomnieć, a trupy opadają na dno karmiąc ryby....

38 Sanitariusze karettek pogotowia lub sanitariusze w szpitalach psychiatrycznych

Rozdział 4 - Pisane na plaży (autor Jan Palach)

„Lecz czasem ciężko mi żyć: właśnie wtedy, kiedy przechodzę obok takich wielkich, jasnych domów, a także kiedy nocami walęsam się po krzywych i piaszczystych uliczkach przedmieścia, gdyż z natury swej jestem włóczęgą.”

[M. Hłasko]

Są dwa światy. Lepszy i gorszy.
Zdrowy i chory...



Jest świat ludzi sukcesu, trwoniących łatwo zarobione pieniądze po klubach nocnych; mających rodziny, dzieci, domy i samochody; zarabiających po 10 i więcej tysięcy miesięcznie; ludzi głównego nurtu – płynących przez życie łatwo i przyjemnie. Jeżdżących na drogie wakacje do ciepłych krajów.

Ludzie Ci chodzący przed pracą biegać, a po pracy na siłownię, przez nich nazywanych 'fitness clubami'. Do 30tki chodzących do kina, drogich lokali na kolacje przy muzyce na żywo - muzyce nazywanej lounge. W weekendy upijających się drogimi drinkami i przepijających w noc po 200 i więcej złotych. Wracającymi taksóweczkami do swoich apartamentów na 12-stym piętrze z widokiem na morze. Po 30stce, już żonaci, bawiących się na

wieczorach kawalerskich w zmysłnych zabawach i pijatykach. Przez 40stką z dziećmi pędzącymi autostradami, uśmiechnięci w samochodach - nowych z salonu. Po 50siątce, zaczynający szukać utraconej w wyścigu szczurów młodości na harley davidsonach, w romansach i podróżach.



Jednym słowem odwieczne, dożgonne pasmo sukcesów...

Są ludzie traktujący przyjaźń jak interes. Dziеляcych znajomych na lepszych i gorszych. Zapominając o tych, którzy już nie są potrzebni, z którymi już nie łączy pokój w pracy, projekt, czy firma. Studia podyplomowe, kursy, czy cotygodniowy squash... Później są i przemijają, ludzie ze szkół rodzenia, placów zabaw i nauki pływania dla dzieci.

Po 50dziesiątce są cenionymi inżynierami, lekarzami, doktorami, profesorami...

Mają cele, pasje, hobby, później czas na ich realizację. Z wiekiem coraz więcej czasu.

Ludzie zdrowi konają w starości, otoczeni gromadką dzieci, wnuków i prawnuków. Zbudowawszy dom, zasadziwszy jabłoń z synkiem i spłacając wszystkie trzydziestoletnie kredyty. Zostawiając kilkadziesiąt obligacji, nieruchomości i wiele pamiątek z podróży potomnym.

Są oplakiwani lub przeklinani, ale dokonawszy wiele i w dosyć łatwy sposób. Wykształceni i dający wykształcenie swoim bliskim.. Często odbierającym od swych rodziców łatwy start i taki sam start zapewniający swoim dzieciom.



Jest również świat zgoła odmienny. Obok tego pierwszego. Współistniejący od zawsze, który jak cień pierwszego wędruje za nim.

Świat chorych....

W nim nie ma łatwych pieniędzy, lekkich prac, czy imprez weekendowych. Nie ma korporacji, etatów i kariery zawodowej z umowami o pracę. Nie ma pieniędzy, sukcesów i rodzin. Nie ma dalekich podróży i uśmiechniętych rodzin. Nie ma łatwego dzieciństwa, łatwego startu i potomstwa po studiach.

Są lęki, liczenie rent i wegetacja do 14-stego. Są lęki, wycofanie, depresja, stagnacja, głosy i inne fobie. Niewychodzenie z domu. Trwoga w tramwaju i niemoc w łóżku. Pętla na szyi i tabletki prowadzące na drugi świat....

A gdzie te dwa światy się spotykają. W stereotypach, podwójnych prozakach łykanych na fobie parowania wszystkiego. W nazwiskach psychiatrów darowanym zdrowym, w stylu - „idź do Piziewiczza lepiej, bo oszalałeś”. No i te odwieczne siekiery. Bo jak chory to nagi i z siekierą mordujący całą swoją rodzinę – w relacji telewizyjnej.

A gdzie ten pierwszy świat nie zajrzy temu drugiemu? W przepelnione kolejki do lekarzy specjalistów. Nie zajrzy do pokoi psychoterapii, czy obskurnych oddziałów zamkniętych, gdzie miesiącami można nie ujrzeć słońca - inaczej niż zza krat. Pordezwiążonych krat, nieremontowanych oddziałów. Łaźni bez prywatności i brudu – wszędobylskiego brudu. Zdrowy nie dotknie epidemii oddziałowej i niemal szkorbutu od spartańskiej, szpitalnej diety.

Ludzie ze świata pierwszego, nie pojmą, głosów nękających całe życie, dzień w dzień... lub przeciwwagi – tycia po lekach, które niosą otępienie, senność i apatie.

Nie dojrzy zwątpienia, niemożności wybicia się do lepszego świata. Bo kołatanie, lęki, wewnętrzny niepokój. Bo alienacja, wstręt, strach i nie ta siła psychiczna, nie to zdrowie.

I powoli wysiadające organy od leków, dzięki którym choć troszkę możemy się zbliżyć do tego lepszego świata....

Każdy z nas toczy walkę ze światem, samym sobą i chorobą, która może nas dopaść w każdym momencie. Wtedy przejdziemy do tego drugiego, innego świata.

Rozdział 5 - Pomimo chorych lotów (autor JaPa)

„(...) latanie jest jak kobieta i jeśli się ją kocha, to wtedy boisz się, że nie jesteś dosyć dobry dla niej i że nie starczy ci życia, aby się nią nacieszyć.(...)”

[M.Hłasko]

Kiedys pewien człowiek „z branży” powiedział mi swoją maksymę życiową, która pamiętam do dzisiaj. Człowiek ten miał przeżyć wiele złych chwil i spotkać wielu złych ludzi. Miał być bity przez ojczyma, wygnany z domu rodzinnego, gwałcony przez pedofili za marne grosze na Dworcu Centralnym i wiele innych okrucieństw miał mu zesłać los. Jednak gdy go poznałem radził jakoś sobie. Dzwonił do mnie z jakiegoś polskiego kurortu nadmorskiego, gdzie rzekomo miał prowadzić budkę z kawą i przekąskami. Wieczorami natomiast był ulicznym grajkiem. Po sezonie prowadził jakieś Stowarzyszenie na rzecz osób po kryzysach psychicznych w swojej okolicy. W międzyczasie wyłudził ode mnie pieniądze, bo rzekomo brakowało mu na chleb – zlitowałem się i nabrałem. Ale wolę się nabrać 99 razy, aby choć raz pomóc – taki już jestem i nie żałuję, że przelałem mu te kilka stów... Po kilku miesiącach strona wspomnianego stowarzyszenia zniknęła z internetu, a lokalne media donosiły o przekrętach i niejasnościach wokół tego tajemniczego człowieka... Co zostało po nim? Pamięć długich rozmów, pusta deklaracja, że mnie odwiedzi, jak byłem leczony w Świeciu na oddziale zamkniętym, blog Enen'a na łamach PieknyUmysl.com oraz ta piękna maksyma:

„Jest ciężko, jest cholernie ciężko – ale póki walczę, jestem zwycięzcą...”

Enen przepadł, choć z jego wolą walki, tym co przeszedł i co go nie zabiło. Z jego talentem do naciągania ludzi, na rzewne historie – gdzie fikcja najgorszych koszmarów przeplata się z prawdą rodem z pisma „Detektyw” - na pewno gdzieś jest. Może ma postój w jakimś więzieniu lub szpitalu o podwyższonym rygorze, ale jest. Wierzę, że on cały czas walczy...
Walczy o swoje życie, walczy o każdy dzień, każdy oddech i każdy mały

cel jaki sobie obrał. Walczy o swoją egzystencję każdego dnia i nie poddaje się. Choć jest ciężko, cholernie ciężko...



Wśród nas – chorych – jest pewien procent ludzi wygrywający walkę o życie z chorobą. I nie chodzi o dosłowne tego zwrotu znaczenie, ale o ułożenie sobie życia. Spotyka się zdrową codzienność, prowadzenie rodziny, pracę zawodową, ukończenie studiów lub nawet prostą chęć wyjścia z domu i codzienne zakupy.

Darek spędził na internacji w szpitalu psychiatrycznym jednym ciągiem prawie 5 lat, na pierwszy spacer, czyli z budynku wyszedł po około 4 latach – permanentnego zamknięcia. Ale doczekał chwili w której wrócił... miał do czego – czekała na niego jego matka. Mieszka obecnie

w mieszkaniu, które jego mama trzymała dla niego, bo wierzyła, że kiedyś w końcu wyjdzie. Ma prosty, regularny rozkład dnia i tygodnia. Wstaje wcześniej rano, bierze leki i robi sobie śniadanie. Ogląda wiadomości w telewizji i wychodzi z domu. Jedzie swoją małą kia picanto do biedronki lub innego supermarketu po zakupy, po drodze wstępuje na mszę poranną lub aby, w ciszy się pomodlić. Nigdzie się nie spiesząc wraca do domu, je drugie śniadanie i kładzie się spać. Potem jak zechcę mu się wstaje przedzej lub później. Przyrządza sobie obiad, konsumuje go, bierze popołudniowe leki i kładzie się na poobiednią drzemkę. Późnym popołudniem wstaje podzwoni troszkę do znajomych lub ewentualnie jedzie kogoś odwiedzić. Po kolacji bierze trzeci raz leki i idzie wcześniej spać. Niedziela od innych dni się różni – że codzienna msza jest troszkę dłuższa. Ktoś kto to czyta, powie co to za nudne życie. Bezbarwne, blahe – i zabójczo powtarzalne. Powie to tylko ten kto nie spędził 5 lat ciągiem w zamknięciu szpitalnym. Czy Darek jest szczęśliwy. Darek jest szczęśliwy i uważa się za szczęściarza, że może żyć. Że może spać w swoim łóżku, codziennie ma ciepły posiłek, który nie jest zupką chińską. Że bez pytania kogokolwiek, w każdej chwili może iść na spacer. Ba może wsiąść w swoją kia picanto i pojechać na drugą część Polski, albo i dalej. Może o sobie decydować. Mało tego, Darek nie ma głosów, nie ma psychozy, która by zagrażała innym, i nie pije od 7 lat. Pomimo choroby, żyje wśród Nas – Was, Żyję i wygrywa – jest jednym słowem zwycięzcą...



Kiedyś byłem młody, tak młody, że nie bałem się. Tak młody, że chciałem być. Tak młody, że nie piłem, nie paliłem i nie brałem narkotyków. Znacznie młodszy, kiedy to nie wiedziałem co to choroba psychiczna, a chorzy to byli jacyś straszne nierealne osoby – pozamykane, izolowane i daleko ode mnie. Mogłem spać regularnie, i znacznie mniej niż teraz. Mogłem się skupić tak samo w jednym tygodniu, jak i następnym. Bezsenna noc nie była znużeniem i patrzeniem we wskazówki zegara i pełnię księżyca – odliczając minuty do wchodu słońca. Nie było podniecenia, nakręcenia, pochopności, wybuchowości, a z drugiej strony nie było regularnej utraty wiary w swoje siły, nie było szukania poklasku. Kiedyś nie przejmowałem się otoczeniem, barometrem i ciągłą sennością. Kiedyś nie bałem się nawrotu choroby co trzy lata – jak w zegarku. Kiedyś śmiałybym się z muzykoterapii, psychorysunku i gadania i ciszy - w kółku grupy terapeutycznej. Kiedyś śmiałybym się z lęków w autobusie i uczucia prześladowania. Kiedyś nie brałem kilogramów lekarstw rocznie – dzień w dzień, które skutki uboczne mają natychmiast, a skutki lecznicze dopiero po kilku tygodniach.

Kiedyś wszystko było proste...

Kiedyś miałem mnóstwo przyjaciół...

Kiedyś miałem marzenia...

Kiedyś byłem dzieckiem i nie było problemów...

Kiedyś świat stał otworem...

Kiedyś mogłem zostać każdym...

Kiedyś byłem zdrowy....

Rozdział 6 - Książę i jego Fokstrot (autor JaPa)

„Z nimi żyłem, z nimi piłem, ich kochałem”
[M.Hłasko]

Kiedyś żyłem. Kiedyś mogłem. Kiedyś byłem...

Często to słyszę od innych chorych. Często słyszę to od siebie, gdy moją niemoc przekuwam w przeszłość, a właściwie błędy z przeszłości, które doprowadziły mnie do teraz. Do teraźniejszości bez sukcesów sportowych, bez większych sukcesów zawodowych, bez większych sukcesów rodzinnych, finansowych czy sukcesu szczęścia, jako takiego. Teraz patrzę w przeszłość i zastanawiam się jakie to błędy pokonałem i które drogi na rozdrożach były złe.... A było ich wiele, wiele dróg, wiele rozdroży, wiele złych wyborów, które zaprzępaściły wszystko.



Młody człowiek dryfuje, lekko dmuchają i chuchają w jego żagle rodzice, aby nie wpadł na mieliznę, czy rozbił się o skały. Fale stwarza otoczenie – czasem są niskie i silne – jak fale Bałtyku, a raz wysokie i słabe jak fale oceaniczne.

Byłem w objęciach i takich i takich fal, rodzice chuchali i dmuchali, choć nie znali gdzie leżą mielizny a gdzie skały, skały choroby psychicznej...

Teraz widzę, że dzieciństwo nie było takie różowe. Nie będę wchodzić w szczegóły – ale byłem zaniedbanym dzieckiem, w zaniedbanym domu. Byłem chłopcem ulicy z kluczem na szyi w ogromnym blokowisku, gdzieś na peryferiach robotniczego miasteczka. Miałem silny charakter i pomimo wątlej postury i długo niskiego wzrostu, bano się mnie – może dlatego, że byłem zawsze nieobliczalny. Od dziecka trenowałem piłkę ręczną oprócz innych dyscyplin sportowych. Zawsze kryłem najlepszych napastników i sniperów z przeciwnych drużyn – uprzykrzając im życie w meczu. Kilka nosów połamałem w ferworze walki na boiskach i w życiu poza sportem – bo byłem nieobliczalny...

Do dzisiaj moim koledzy wspominają jakieś ciosy, którymi pokładałem oponentów. A to lewy sierpowy zwalający z nóg i mażdżący nos jak taran. Albo uderzenie z łokcia w bliskim kontakcie, które jeszcze szybciej niż sierp miażdżył nos i pół twarzy.

Kolegów miałem wielu, wielu się przewinęło w moim życiu. Przez pół życia z nimi piłem i ich kochałem. Teraz już nie pije i ich nie Kocham – bo już ich nie ma. Odeszli, zapomnieli. Albo gdzieś są tam i nie chcą znać, nie chcą się widywać. Mają swoje życia, swoje kieliszki i lufki. Swoje dzieci lub nie. Swoją gonitwę za pieniędzmi i rachunkami. Swoje samochody i kredyty. Hipoteki braku czasu....

Ale kiedyś byli ze mną jak budziłem się z bólem głowy po 10 piwach, po kilku krowach żubrówki z sokiem jabłkowym, czy whisky z colą. Byli jak budziłem się, nie pamiętając, jak tańczyłem na stołach w najbardziej niebezpiecznej mordowni w mieście. Byli jak wymiotowałem byle gdzie.

Byli jak patrzyłem w lustro po haszu błędnie wchodząc na wysokie obroty. Byli jak wyszedłem pewnej nocy i pojechałem na dachach pociągów na bocznicy kolejowej. Tam maszynista poczekał na zmianę toru i semafor zapalił czerwone światło. Wtedy chyba wszystko się zaczęło. Jak zszedłem z dachu i w asyście policji wróciłem przez ul. Morską do domu. „Wracaj do domu”, rzekł jeden z gliniarzy. Koledzy zostali. Dzisiaj już ich nie widzę, jestem daleko...

Jestem chory psychicznie. Urodzony wcześniak w przesileniu wiosennym, z obciążeniem genetycznym choroby psychicznej. Z brakiem ciepła rodzinnego, po przejściach alkoholowych i narkotykowych. Po traumie otarcia się o śmierć... Po stracie bliskiej osoby na własnych oczach. Po awanturniczej młodości, co by nie jedną książkę sensacyjną napisała. Ja Książę!

W mani napisałem na palcach lewej dłoni: „Sacrum Bibo” na prawej natomiast „Ignis God”. Chciałem to nawet wytatuować, jednak kraty i kaftan zniweczył szalony plan. Do dzisiaj nie mam tatuaży, znaków szczególnych, złamań. Mam natomiast szmer na sercu a w głowie „schizę”.



Jest pewna książka, mojego ulubionego autora polskiego: „Dobry” Waldemara Łysiaka. Tam był Książę – w skrócie karateka, władca podziemia Warszawy lat 60, bodajże, który objął władzę gdyż się mścił w imię utraconej miłości. Władzę sprawiedliwą i szarmancką. Władzę, którą jednak utracił, a jego Judaszem okazał się jego uczeń – Fokstrot, którego hołubił i nauczał. Co jest moim Fokstrorem. Ja sam. Moje błędy - obecne, przeszłe i które nadejdą...

„Dotąd i ani kropli więcej...”



KONIEC,

JaPa

Gdańsk, jesień 2017

post scriptum:



Hłasko którego tu cytuję co rozdział, był zniewolony przez system PRL / ZSRR, wyjechał z brakiem już wjazdu do swojej ojczyzny, do swoich przyjaciół, licznych kolegów, i jeszcze liczniejszych kochanek. Jedna wypowiedź w Paryżu kosztowała go utratę swojej ojczyzny. Całe życie, choć krótkie, starał się o możliwość powrotu do swojego domu – do Polski. Tułał się po całym świecie, bez grosza przy duszy, bez ubezpieczenia

zdrowotnego, z bezsennością i garścią tabletek. Tuż przed tajemniczą śmiercią, pewien minister z Polski kilka dni wcześniej w Tel Awiwie obiecał mu, że już może wracać. Dzień później okazało się, że to była tylko ułuda służb bezpieczeństwa PRL, która pozostawiła po sobie martwego Hłaskę i zapętłony Hymn Armii Radzieckiej... Smutne, samotne i rozdarte życie otoczonego pięknymi kobietami i masą przyjaciół od kieliszka i nie tylko od kieliszka Marka Hłaski, jest dualne, nie pasujące, stygmatyzowane włączegostwem, gdzieś na skraju głównego nurtu. Życie jego jest troszkę jak nasze – ludzi chorych, o których pisałem pletując jego cytatami.

© Copyright: Rafał Cholewczyński
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Historia dzieciństwa, młodości dorosłości.

Historia rozwijania się choroby psychicznej.

Historia walki o normalność.

.
...
.....
.....

MOJA SCHIZOFRENIA

.....
.....
...
.

Gdańsk 2017

Rozdział 1 - Moja schizofrenia (autor rafali)

“Jesteś, a później ciebie nie ma. Kiedy jesteś mnie nie ma, ale przecież ja jestem...”



Łapałem motyle, które tak pięknie leciały, przecież są - nie widzisz ich?

Czym dla ciebie jest to, co widziałem, słyszałem, czułem, a było takie prawdziwe. Boisz się mnie, ja się boję co będzie dalej, czy powrót do tego świata ukaże mnie srogim biczem w postaci drwin i śmiechu, a wstyd przyjdzie później. Oklaski dla tego co łapie motyle w locie. Przychodzi realność, a ja ze wstydem, czasami w strachu patrzę na ciebie. Czy widzisz we mnie mordercę, a może klauna, co próbuje ciebie rozśmieszyć. Zamiast zapytać mnie, czy złapałem te motyle ?. Jadę w karetce zakuty w kajdanki,

przypięty pasami, z wrogimi minami bo właśnie przerwałem oglądanie meczu. Nikt nie zapytał się mnie, jak ja się czuje, a motyle one odleciały jak sen.

Czym jest schizofrenia dla ciebie?

Pierwsze co nasuwa się każdemu, to psychiatryk, świr, osoba która robi coś dziwnego. Można nas nazwać klaunami. Można poczytać w słownikach, obejrzeć w filmie, poszperać co nieco o niej w Internecie. Stykamy się z nią w momencie, kiedy ktoś z bliskich zachoruje. Przeważnie pogląd na tą chorobę jest taki, jak wyżej wymieniony. Jedni boją się, wręcz ze strachu zamykają drzwi w obawie, że zrobimy im coś złego. Widzą w nas morderców. Inną reakcją na zachowanie nasze, jest śmiech. Zobacz co on robi. Pewnie świr. Za kulisami szpitali jesteśmy jak chodzące mięso, musi dłużej poleżeć w piekarniku. Czy tak naprawdę zasłużyliśmy na takie traktowanie? Schizofrenia to zaburzenia be be be. Spisywana jest przez osoby zdrowe które tak naprawdę nie wiedzą nic z czym boryka się każdego dnia chory. Jego uczucia są odsuwane na bok. Większość chorych traktowana jest jak trędowaci i tracą niemal wszystkich znajomych, bez względu na kolor skóry, czy status materialny. Z problemem jest taki, iż chory zostaje zupełnie sam kiedy przychodzi psychoza. Chory albo radzi sobie, albo łąduje w szpitalu, gdzie jedynym zajęciem jest łykanie tabletek, co na krótką metę daje szanse, ale schizofrenia nie śpi, powróci z nową psychodeliczną opowieścią w której czary mary robi mózg - film, a ty musisz zagrać główną rolę.

Schizofrenia początku.

Wszystko od czegoś się zaczyna. Jedni rodzą się z nią, inni dostają z czasem w prezencie, a reszta na własne życzenie. Szkoda chyba najbardziej tych co już od urodzenia zmagają się z chorobą, wiele pytań. Dlaczego właśnie ja, czym sobie zasłużyli na taki los. Jak rozróżnić życie i chorobę? Jak żyć? Są też tacy co nagle dostali, mieli tyle planów, studia, pracę. Teraz dla nich szczyty, które trzeba zdobyć, to walka z wiatrakami i stos tabletek. Przetrwac z jednej psychozy do drugiej z chwilami, gdzie można załapać oddech realnego dającego w kość życia. Ostatnimi są tacy, co na własne życzenie zafundowali sobie wakacje w krainie stresu, wytykania palcami i wizyt co jakiś czas w świecie szpitali. Przez narkotyki dostali możliwość poznania całej palety schizofrenii, nie omijając ani jednego przystanku z kręconego filmu, jaki oferuje chory, uszkodzony mózg.

Bez względu jak się zaczyna przygoda ze schizofrenią bywa na początku bagatelizowana, a na efekty nie trzeba czekać długo. Na początku jest tak samo jak z alkoholem, co nie uznaje, że dużo pije. Nie trafia myśl, że akurat jesteś chory. Wszystko zależy od tego, co uroi sobie świadomość. A potrafi naprawdę wiele. Na samym starcie jesteś niewolnikiem Faraona schizofrenii. To co zafunduje ci, to łykasz jak młody pelikan. W zależności gdzie jesteś, robisz różne dziwne rzeczy dla innych. Dla ciebie to coś normalnego, tak ma być. To jak picie wody łyżeczką, dla innych zabawne, przerażające, dla ciebie psychoza funduje opowieść o oszczędnym piciu wody, bo zbraknie. Przeważenie jest to temat religijny. Nie wiedzieć czemu, motywem przewodnim dziwnych zachowań jest wiara w późnym etapie. Wielu pewnie spyta co robiłeś. A tego jest masa, bo każdego dnia walczyłeś z filmem gdzie powrót do normalności kończy się wizytą w

szpitalu. Na początku dostajesz dwie tace. Na jednej prawda, na drugiej fałsz. Od ciebie zależy, czy uznasz to za prawdę, co właśnie robisz, albo fałsz. Przeważnie nie zadajesz sobie nawet sprawy z dokonanego wyboru. Dla ciebie wszystko jest prawdą. Psychoza mija, a ty nie za wiele pamiętasz z tego, co się stało, co robiłeś. Jakie to frustrujące kiedy nie wiesz, co robiłeś, jak myślą o tobie inni, po tym co robiłeś. Ogarnia ciebie złość i wstyd. A robiłeś wiele. Mogłeś wybijać szyby, myśląc że szatan jest w pokoju. Mogłeś otworzyć kran z wodą, by siebie z brudu oczyścić. Biegałeś nocą bez ubrania i tylko ty wiedziałeś sens tego co robiłeś. Mogłeś mieć koniec świata z melodią w tle. Mogłeś mieć załamanie, że umierasz. Na początku praktycznie nie schodzisz z urojeń, z małymi przerwami na realność. Lecz nie dostrzegasz nawet tego, że wróciłeś do żywych. Każda psychoza jak film coś opowiada, czasami może powtórzyć się, czasami opowie inną opowieść. Wyrwać się z tego, ale jak? Lekarze pewnie odpowiedzą lekami, w ostrych przypadkach zastrzyki i pasy. Uważają, że my śpimy na jawie. Bo nasz stan tak można określić - snem na jawie. Najgorszą rzeczą dla nas są pasy, jeśli ktoś jeszcze łapie oddech normalności, może wydać się jemu za coś strasznego, ale nie ma innego wyjścia. To ostateczność. Oprócz psychozy jest jeszcze wiele innych rzeczy, na które na początku nie zwracamy uwagi, bo dla nas to normalność tak ma być, to nasza realność.

Głosy

Gdzieś na etapie naszej podróży schizofrenika mogą, a przeważnie się pojawiają głosy. Osobie, która nie ma z tym styczności wydaje się fikcją. Głos - czym on tak naprawdę jest? Każdy z zdrowych ludzi rozmawia ze sobą, toczy rozmowę, to coś normalnego. U chorego wygląda to

przerazająco. Głosy w późnym etapie namawiają chorego razem z wyobraźnią do różnych rzeczy. Głosów może być na raz wiele i doprowadzi na samym początku do przerażenia. Walczyć z tym się nie da, choć chory próbuje walczyć na samym początku, ale i tak przegrywa. Jeden głos jeszcze da się wytrzymać, ale kilkanaście tym bardziej jak mówi wielu, tego nie da się wytrzymać. Jeśli jesteś w szpitalu, pomogą ci, gorzej jak złapie cię we własnym domu. Co zrobić? Najgorsza w tym wszystkim jest panika, nie chcesz tego, a to i tak nic nie da. Psychoza ustępuje z czasem, najlepiej jeśli ktoś obok jest, i zapyta co się dzieje. Prędzej jest ci wstanie pomoc, bo na siebie nie możesz liczyć, bo właśnie walczysz z psychozą chorego umysłu i wyobraźni. Po pierwszym głosowym szoku, pojawiają się co 2, 5, 10 minut głosy. Są różne, dobre, złe, demoniczne, anielskie, pomagają, dokuczają, pocieszają, namawiają, ostrzegają, powtarzają się, i wiele wiele innych. Początki są najgorsze, nie ma chwili, kiedy się nie odzywają, doprowadzają schizofrenika czasami do obłądzenia, nerwów, i złego samopoczucia. Czasami to jakby głos Boga, szatana, dziewczynki, ale większości nie mają płci. Są od rana do wieczora. Chory nie tylko słucha ich, ale pod naporem odpowiada im, co powoduje jeszcze większe wchodzenie w schizofrenie. Na starcie z głosami większość chorych odpowiada im. Ciężko nauczyć się traktowania ich jak powietrze, są mówią, ale nie zwracam na to uwagi, to przychodzi z czasem. Prosisz tylko o chwilę spokoju, by trwała o minutę dłużej. Na domiar tego musisz jeszcze żyć. Odpowiadać innym, wysłuchać, tylko ciężko się skupić, bo tu są dwa światy, które trzeba jakoś poukładać w głowie. Natura głosu leży nie tylko w chorobie, bo to całość. Efekt uszkodzonego mózgu, połączenie głosu wewnętrznego, wyobraźni i wiele innych czynników. Początki trudne, trzeba nauczyć się ignorować głosy, ciężko walczyć z wiatrakami, bo choć byś mówił, że nie mają się odzywać to i tak

za chwile jakiś głos się odezwie. Jak to wygląda. Jesteś w pustym pokoju, nie ma nikogo oprócz ciebie. I nagle odzywa się głos, może być blisko ciebie, jak i gdzieś w pokoju. Ba mogą nawet głosy ze sobą prowadzić rozmowę. Ważne, by nauczyć się olewać to, co mówią, nie brać to do siebie, nauczyć się z tym żyć tak, aby nie wpływały na ciebie, po prostu traktować to jak tlen. Skupić się lepiej na życiu. Inna odmianą głosów, są głosy pozna nami. Czyli chory słyszy głosy, kiedy ktoś w niedalekiej odległości mówi coś, a schizofrenik słyszy głosy, mówiące przeważnie o nim. Może to być rozmowa bliskich, telewizor, radio, wszędzie tam gdzie toczy się w niewielkiej odległości rozmowa.

Wszystko cię obserwuje

To kolejna z wielu przygód schizofrenika. No bo jak komuś zdrowemu wyjaśnić, że wszystko cię obserwuje. Jak opisać ten stan. I to też sprawia, że nie panujesz nad tym, jesteś w tym stanie i nie zdajesz sobie sprawy, że to kolejna rewelacja twojego umysłu. Dopóki nie puści, ale już za drugim, czy kolejnym razem znasz ten stan, wiesz że to urojenie. To wygląda jak wielki brat, co na ciebie patrzy. Okna drzwi wszędzie tam gdzie spojrzysz. Wszystko ma jakby oczy i bacznie się tobie przygląda. A ty jak mała drobinka musisz znosić, że na ciebie wszystko się patrzy. Nie raz trwa to dłużej, nieraz krócej, ale i tak musisz to przejść. Rzadko kiedy udaje się z tego wyrwać, jeśli już miałeś to, a wiesz że to przyglądanie się to psychoza, jesteś na wygranej pozycji. I z czasem traktujesz to jak jedzenie. A później może to zniknąć. Ważne, by mieć świadomość tego że to nierealne.

Dziwne zapachy

Ta przypadłość to kolejna psychoza - stan otumanienia, i kolejnej walki o normalność. Na początku ciężko połapać się czy to prawda czy fałsz. Przecież każdego dnia dostrzegamy tyle bodźców zapachu. Kiedy dopadnie ta dolegliwość razem z psychozą, efekty są różne w zależności, co nasz chory mózg sobie wymyśli. Od przykrych zapachów po święte zapachy. Z tym też ciężko wygrać. Ale jeśli sobie uświadomisz i ktoś ze zdrowych tobie bliskich osób uświadomi ci różnice, możesz to pokonać. Najważniejsze byś wyrwał się z psychozy, tak łatwo mówić, ale jeśli nie podejmiesz walki, to wróg nadal będzie ciebie męczył.

Zwidy

Tutaj to istny Armagedon różnych sytuacji i to też w wielu psychoz z jakim boryka się schizofrenik. Od małych pomarańczowych skrzatów, małe białe lub czarne chmurki, wielkich pajaków chodzących po ścianie, a jak ściany to falujące, kropek białych czarnych lub innego koloru. Po przechodzące szybko postaci i wiele innych sytuacji, których nie ma, ale dla chorego są tak prawdziwe, jak kubek stojący, choć on też może dziwie wyglądać. I to wszystko musi chory rozróżnić. Zawsze zostaje w świadomości pytanie, prawda, fałsz. Przeważnie pierwsza nowa psychoza jest prawdą i otumanieniem, aż dobiegnie końca. Wszystko zależy czy się skończy, czy coś lub ktoś wyrwie chorego z tego stanu.

Ciągle zmęczenie.

Po tych wszystkich objawach schizofrenik na końcu dnia jest bardzo

zmęczony, wyczerpany, że najlepszym wyjściem jest położyć się spać. Na początku dużo śpi. Bo co lepsze w tak pięknym dniu świra, jak położyć się i spać, by nie musiał walczyć i dogłębnie przeżywać każdą psychozę, a na początku jest tego cała masa. Zmęczenie wynika z wielu przyczyn, leki, przeżywane psychozy, całodzienne czuwanie które tak bardzo osłabia. Poczucie winy, wstydu, jakby ktoś notorycznie wysysał całą energię. Każda psychoza okropnie męczy, nie fizycznie, ale psychicznie. Jeśli dojdzie wysiłek fizyczny, chory może nawet trząść się z nerwów. Schizofrenia to nie tylko sama choroba i cała jej gama objawów, tu wchodzi też inne, jak depresja czy nerwica. Po takim zastrzyku doświadczeń, a na samym początku niezrozumienia przez osoby bliskie, chory jest w rozsypce załamaniu. Ciężko mu to wszystko ogarnąć, a jeszcze trzeba mieć kontakt z otoczeniem. Nawet jeśli objawy są już później znane choremu, to i powtarzane stany męczą chorego. Wielu jest przygnębionych, bezradnych, z niskim samopoczuciem wartości, wiecznie zmęczony. Często w nocy się przebudza, bo śpi za dnia.

Samotność

Z tym boryka się niemal każdy schizofrenik. Nie wiedzieć czemu, większość znajomych opuszcza chorego. No bo kto chciałby przebywać z chorym. To pytanie trzeba zadać tym co odeszli. Dlaczego nie odwiedzasz mnie, a na ulicy traktujesz mnie za obcego? Właśnie dla chorego na schizofrenie chyba najlepszym lekarstwem jest zdrowa osoba. Wyrozumiała, a w chwili psychozy nie przestraszy się. Tylko spróbuje nawiązać kontakt, by pomóc ci wyjść z nieprzyjemnego stanu psychozy. Przeważnie osoby, te które były blisko, nie są nic warte. Wstydzą się

przebywać ze schizofrenikiem. Wolą trzymać się na dystans. Boją się. Nie chory jest zagrożeniem dla innych, tylko samego siebie. Wielu woli zostać w domu, nie pokazywać się, jedną z przyczyn jest fakt że zrobiły coś głupiego. Inna przyczyną może być, że po prostu wolą dom gdzie czują się bezpiecznie, czy wstręt do pokazywania się innym. Samotność dla schizofrenika jest straszna, ale z czasem uczą się z tym żyć, albo cierpią. Szczególnie jeśli to jest wieś gdzie każdy się zna, w miastach też jest nie lepiej.

Cieężko się skupić

Przy natłoku tyłu objawów choroby, choremu na schizofrenie naprawdę ciężko jest się skupić. Najgorzej jest jak zwykle na początku, ale i dalsze leczenie wymaga ogromnego wysiłku. Człowiek chodzi otumaniony, nie tyle co przez leki, ale one też biorą w tym udział. Schizofrenika atakują różne bodźce i nie wszystkie są realne, prawdziwe. Całokształt choroby sprawia że trzeba nieustannie dokonywać wyboru. Nad czym się skupić, na głosach, zwidach, różnych psychoz czy nad tym co ktoś właśnie do niego mówi, ogarnąć całość w logiczny układ to nie lada wyzwanie. Na początku ciężko trafić do chorego, który nie zdaje sobie tak do końca że jest chory, bywa bardzo trudno porozumieć się. Przeważnie bardzo długo przebywa w szpitalu. Gdzie przywrócenie mu w miarę możliwości stanu, tak aby mógł nieco lepiej funkcjonować wymaga więcej od samego chorego, leki mają w tym pomoc. Tylko że obecnie chory w szpitalu jest zdany na samego siebie. Od chorego zależy czy dojdzie do siebie czy nie, ale to wymaga czasu. Jak dotrzeć do schizofrenika, kiedy jego obraz rzeczywistości jest odmienny od zdrowego człowieka. No niby rozmowa, ale w szpitalu jest, tak że psycholog przeprowadza jedną rozmowę na wizytę w szpitalu. Niby jak to

ma pomoc choremu. Widocznie leczenie sprowadzone jest do leków które załatwiają całą sprawę stanu psychicznego. Właśnie rozmowy ze zdrowymi, dużo rozmów sprawia że schizofrenik, szybciej wraca do zdrowia. Na ogół wygląda to tak, że ani osoby bliskie, ani jedna rozmowa z psychologiem czy psychiatrą nie sprawi cudownego wyleczenia. Reguła, lecz się sam, w samotności. Po wizycie w szpitalu, praktycznie chory z wizytami u specjalisty, gdzie rozmowa dotyczy leków ich dawek sprawia że chory musi długą drogę przebyć sam, by coś troszkę ogarnąć - to co się z nim dzieje. Jak mu pomóc, jak nikt nie chce z nim rozmawiać, a sam jest zamknięty i mało co mówi o swoich obawach. Tak leczony może być do końca życia.

Zamknięty w sobie

Reguła jest u chorych na schizofrenie zamykanie się w sobie. Pozostawiony bez rozmów, i faszzerowany lekami, sprawia że zamiast polepszyć się, może wpaść w jeszcze większy obłęd. Schizofrenicy mało co mówią o swoich dolegliwościach, albo zapominają, albo nie chcą o tym rozmawiać, ci co mówią to mówią niewiele. Świat składa się z przyjmowania leków, czy zastrzyków. Spania ile się da. Rozmawiać też za wiele nie chcą. Przechodzą co rusz to nowe psychozy z nadzieją, że uda im się z tego wyrwać. Osoby bliskie, czy znajomi odsunęli się. Człowiek z przypadłością schizofrenii, nie ukrywajmy, traktowany jest po prostu jako świr. Nikt nie skupia się na tym, o ile chce coś wyrazić, nad sensem tego, co chce przekazać. Cały jego dzień składa się z ogarniania, albo nie, tego co go spotyka. Niechęć do wyjścia na zewnątrz, wstyd przed tym co zrobił, zostawia go w pokoju, gdzie wpatrzony jest w latającą żarówkę to w prawo to w lewo z chwilami na

normalność. Schizofrenicy to też ludzie. Po prostu widzą tak jak podsunie im chory umysł. Jak rozmawiać z chorym ? Prowadź tak rozmowę aby, zainteresować chorego, mów do niego kiedy przychodzi psychoza, zaprowadź na drogę normalności. Staraj się zrozumieć, co aktualnie przeżywa, nigdy nie zostawiaj go sam ze sobą nie tylko w trudnej chwili, ale pomóż mu tak, że to co dostrzega to fikcja, realność całkiem inaczej wygląda. Fakty są takie, że chory, zanim dostrzeże gdzie prawda gdzie fałsz, przejdzie wielokrotne katusze psychoz, co jeszcze bardziej odsuwa go od normalnego życia. Po tym wszystkim co przeżył, nie ma ochoty na wiele rzeczy, które by zrobił jako zdrowy człowiek. Jeśli się zamknie, to kto ma klucz do otwarcia? Ten kto zaryglował drzwi. Kto ma z schizofrenikiem rozmawiać, po prostu rozmawiać, chory z chorym, jak są sami ze sobą. A i za wiele to nie pomoże. Tylko pytanie gdzie w tym wszystkim psycholog?

Nerwica u schizofrenika

Na nadmiar wrażeń dochodzą nerwy. Chory stresuje się, kiedy przychodzą głosy i musi to tolerować, albo wyładowuje się na nich. Stresuje się tym, co zrobił głupiego. Nerwy puszcza, kiedy świadomy jest choroby i nic nie pomaga, nawet leki. Kiedy dopada samotność, drwiny i śmiech ludzi, którzy zamiast pomoc, po prostu drwią z zachowań, na które tak na prawdę nie mają wpływu. Czasami jest to związane z psychiką i wysiłkiem fizycznym, gdzie dochodzą do tego głosy oceniające, drwiące z tego co wykonują. Nerwy z powodu psychoz. Z samej choroby. I można tu wymienić, styczność ludzi, kiedy muszą wyjść do społeczeństwa, może to być wizyta u specjalisty. I wiele innych przyczyn.

Depresja

Jak widać dochodzi jeszcze do schizofrenii depresja. Wielu odczuwa ją bardzo silnie. U chorego pojawiają się przygnębienie, co bardziej można zrozumieć tym, że chory bardzo przeżywa swoją chorobę, przeważnie chodzi smutny, mało co cieszy. Niska ocena siebie. Problem z odczuwaniem emocji takich jak miłość. Człowiek czuje się jak pusty worek po ziemniakach. Mało co cieszy się z życia. Przeważnie obwinia siebie, za to co go spotkało. Nie ma ochoty na wiele rzeczy, które by sprawiły mu radość. Smutek i samotność to chleb powszedni. Z niską wiarą w siebie że uda się jutro wyjść z choroby. Przyjemności nie cieszą już jak kiedyś. Czasami dochodzą myśli samobójcze z powodu bezradności, że mało co są w stanie zrobić, by wyzdrowieć. Bardzo rzadko uśmiechają się. Jest tego wiele, ogólnie mówiąc człowiek chory na schizofrenie z depresją chodzi przygnębiony.

Wycofanie z normalnego życia

Całokształtem tego co wyżej wymienione schizofrenik po prostu wycofał się z życia. Chcąc opisać jeden dzień z życia wyglądało by to tak. Po przebudzeniu odzywiania po chwili głos, który już na starcie rujnuje dzień. Trzeba wziąć tabletkę, a jak nie to ktoś o niej przypomni, czasami się zapomina i bierze się później lub całkiem się zapomni. Śniadanie czasami smakuje, czasami nie, chyba że przed stoczyło się walkę z urojeniem. Nie można zapomnieć że głosy cały czas są, bo mówią w różnych odstępach czasu. Czas na małą drzemkę. Po obudzeniu głosy, może zwidy, albo inna psychoza. Obiad i szybko do łóżka bo człowiek jest zmęczony. Czasami kiedy się nie śpi, to walczy się z głosami, chorymi myślami, wyobraźnią co podsuwa różne psychozy. Wciąż jak

wierny pies trzeba czuwać nad sobą. Ogarniać, czy prawda, czy fałsz. Nie ma się ochoty na rozmowy. Czasami nawet słuchać muzyki się nie da. Ogólnie przygnębiony. Czy nie lepiej położyć się po obiedzie spać?. I tak nikt nie odwiedzi. Wyjść nie wyjdę, po tym co robiłem niedawno. Czasami cisza i gdyby nie głosy nie miał bym z kim rozmawiać. Wiem mówił lekarz, by tego nie robić. Jednak wejdę na Internet coś obejrzę. Po chwili nie mam na to ochoty, zmęczony jestem. Położę się spać. A zapomniałem o lekach w obiad. Po trzydziestu minutach sen przyniósł ulgę. O już późno, wykąpie się. Nie mów do mnie głośno. I tak to nic nie da, wciąż gadają. Pod prysznicem psychoza. Muszę oczyścić się z brudu, drapie mnie. Nic ci nie jest, pyta bliska osoba, bo od trzydziestu minut siedzisz pod prysznicem. Czemu płaczesz, co się stało? Trzeba wezwać karetkę. I tak noc spędzam w szpitalu. A tam ...

Szpital i leczenie

Opisałbym co tam się dzieje, ale napiszę tylko parę uwag.

Policja i karetka dwa bratanki, jako terrorysta dostajesz sanki w kajdanki.

Nie klóć się z żoną bo w pasy już dziś zapłoną.

Uważaj na sąsiada, bo popaliłeś, a z niewinnością dziś tu leki będziesz zażywać.

Krzyczysz, że długo jesteś, jutro nie staniesz po dawce.

Brudasy jesteście, bo sprzątać mi się nie chce.

Wyzwiska i ocenianie krzyczenie na pacjenta to norma.

A jedna tabletką w tą czy w tamtą co za różnica, pomylić się można.

Psycholog tylko raz rozmawia z tobą i to przed wyjściem.

Zabarwiona woda to też obiad.

Porsche lekarza lepsze niż obdarte ściany.

Lekarz ma racje, może na święta wyjdiesz.

Śmiech to nie zdrowie, cisza ma być.

...



Jak to jest byś schizofrenikiem?

Ogólnie to masz bracie przerąbane po całości. I po co ci to było? Nie miałeś wyjścia, ale życia to nie obchodzi. Ciesz się tym co masz, inni

mają gorzej. Czasami można się zastanowić, czy nie lepiej nie mieć nogi niż chory umysł. No można nad tym gdybać. Nie masz wyjścia musisz z tym żyć nawet do usranej śmierci. Czy ty co się śmiejesz ze mnie, wiesz jak to jest męczyć się sam ze sobą? Nie lepiej na facebooku lub przy piwku, wyśmiać świra. Może nie zauważy, ale lepiej z daleka się trzymać, jeszcze coś mi zrobi. Tylko pamiętaj, kiedy ty po białym szczurku, trafisz w moje nogi, nie zapomnij, jutro świrem będziesz ty.

Rozdział 2 -Życie... (autor rafali)

„Nie śmieję się dziadku, z czyjegoś upadku”



Jak zachorowałem ?

Miałem zaledwie naście lat, wiadomo w tym wieku człowiek z życia bierze pełnymi garściami. Ile się da. Nie było jeszcze smatfonów, technologia była w powijakach. Pewnego razu na przystanku siedząc bez troski czekając na autobus dostrzegłem jeszcze nie wiedząc o tym moją przyszłość. Człowiek ten coś mówił i skakał po całej długości chodnika

mówiąc coś do siebie. Oczywiście jak każdy, śmiałem się z tego człowieka. Jakie teraz to wydaje się wredne. Raczej nie miał zamiaru nas rozśmieszyć, miał swój jak to każdy mówi świat. Nie wiem, czy to kara z niebios, ale dziś jestem z nim bliżej niż bym sobie wtedy uświadamiał. Jak bym mało zła od życia otrzymał.

Nie miałem tak pięknie

Już na starcie swojego życia nie miałem tak pięknie. Żyłem dosłownie w lesie. Wodę trzeba było nosić z studni. Telewizja była luksusem, na który nie było stać. Łazienka to miska z wodą, później rodzina dorobiła się przenoszonej wanny, te sprawy załatwiał się w wiaderku, albo wychodku. Nie miałem towarzyszy, wszędzie jak okiem sięgnąć rósł las. Cieszyłem się ciszą, kiedy ojca nie było w domu. Zawsze wracał pijany i były awantury. Ogólnie mówiąc patologia. Uciekałem z mamą i rodzeństwem do lasu, z obawy przed tatą. Jak tu się uczyć w szkole, kiedy myśli wędrowały do domu. Czy im nic nie jest. Wracało się w lesie wydeptaną ścieżką. Wieczna obserwacja ze strony babci i ciotki, więc kuciałem by ominąć okno, chcąc latem zjeść jabłko z sadu. Przeprowadziłem się, ale zło szło za mną. Awantury pijaństwo ojca, tak trwało to szaleństwo. Po skończonej szkole zawodowej, trafiłem do wojska. Marynarka Wojenna, z jednej strony lekarstwo, z innej udręka. Lecz i tam myślałem jak jest w domu. Nie jechałem na przepustkę, dopiero jak mnie zmusili. Czy miałem dziewczynę, nie było na to czasu, a i ja nie szukałem. Po wojsku poszedłem do pracy, parę firm zwiedziłem i los zaprowadził mnie na mazury. Zostawiłem, dom, pracę rodzinę i znajomych. Dziewczyna miała być nadzieją. Okazało się wielkim

błędem. Na do widzenia usłyszałem, że jestem za dobry, nie potrafię się kłócić. Poszedłem do domu obcych ludzi, gdzie wynajmowałem tam pokój. Zapaliłem fajkę ze łzami w oczach i z pytaniem wracać do domu czy nie. Miałem miesiąc, bo na tyle starczyło pieniędzy. Kasę miałem z odszkodowania za złamaną rękę, która uszkodziłem w potyczce z ojcem, tuż przed wyjazdem. Chciał skrzywdzić mamę. Czas uciekał mi, ale udało się znaleźć prace w Michelin. Błąkałem się z jednej stacji w drugą. Aż postanowiłem wrócić do domu.

I się zaczęło.

Wróciłem na stare śmieci. Dlaczego, przecież miałem dobrą pracę, umowę. Tak co to za życie kiedy wracasz do domu z pracy i nie masz do kogo się odezwać. Siedzisz czterech ścianach w obcym mieście, bo laska zagrała ci na instrumencie jakim jest serce. Tylko praca dom, praca. Nie szukałem innej, byłem tak zły na kobiety.

W moim pokoju zawsze było pełno znajomych, tak że nie trzeba było przechodzić całego mieszkania, tylko, od razu po wejściu, korytarzem wchodziło się do pokoju. Nie trzeba było nawet pukać. Ja byłem gościny. Czasami nie było miejsca, gdzie usiąść. No i się zaczęło. Ktoś przyniósł zioło. Ja nie chciałem palić. Byłem nawet kiedyś wrogiem fajek. Wystarczyło mi że natleniałem się w pokoju tym, co palili. Po oczywiście namowach i przy niezłej imprezie zapaliłem. Pięknie kolorowo, imprezy codziennie, alkohol i zioło. Śmiałyśmy się tak głośno, że trzeba było zagłuszać to głośną muzyką z komputera. A jak było za głośno, przenieśliśmy się do szopy. Istna hasz komora. Za każdym razem kiedy

pałem, coraz bardziej nie śmiałem się, a rozmyślałem. Nad czym? Przecież dobrze się bawią. Nad sensem życia. Czy istnieje Bóg. Robiłem to tak, że inni nie widzieli tego. Byli tak zajęci imprezą, że ja sam zostawałem ze swoimi przemyśleniami. Oczywiście nie zabrakło dopalaczy. Ktoś przyniósł, tak jak zioło. Zawsze były zrzutki na towar. Zapaliłem, ale raczej efektów nie widziałem. Tak przyszły później. Aby lepiej się bawić. Doszła piękna biała feta. Nie chciałem tego brać, ale wszyscy brali. I tak mnie na to namówili po ostrych negocjacjach. Kolega miał samochód więc imprezy przenieśliśmy do samochodu. Po takich dawkach koń by padł. Dalej pałem po tym zioło.



Pewnego dnia, na imprezie w pokoju pałac zioło, przestraszyłem się, że będę w niedalekiej przyszłości umierał. Wystraszyłem się. To jak by spojrzeć śmierci w oczy. Było coraz gorzej. Feta innych nie opuszczała. Było tyle tych imprez, że pewnie pojawiło się coś jeszcze. Nie za wiele pamiętam dziś, a może coś dosypali mi, jeden Bóg to wie.

Koniec imprezy.

Palilem zioło, nie było by w tym nic dziwnego, gdyby fakt że po raz pierwszy usłyszałem głos. Czy to Bóg do mnie mówi. To był pierwszy raz kiedy, byłem już inny. Niewiele dziś już pamiętam. Zaczęły się w każdym razie moje fantazje. Pamiętam że, cała noc nie spałem, bo głosy nie dawały mi spać. A rano tak bardzo bolała mnie głowa. Pamiętam, że wiozłem brata i chciałem krzyżem wypędzić z niego zło. Pamiętam, że poszedłem pod wodę, by oczyścić się w niej, bo uroiło mi się, że tam jest święta woda. Pamiętam, myślałem, że jestem Bogiem. Poszedłem do sąsiada po breszkę, chcąc otworzyć kościół. Przekonany byłem, że tam jest zło. Jedną z niedziel pamiętam. Podczas mszy patrzyłem na księdza i widziałem w jego oczach Boga, a w ludziach bogów. Później czarne oczy w ludziach. W telewizji ludzi, co mówią o mnie. Dzień w którym kończył się świat, z melodią w tle. W kościele krzychałem, że jestem Bogiem. Wybiłem szyby, myśląc że w moim pokoju jest szatan. Stany, gdzie myślałem, że umieram, że strącę oddech. Rysowałem jak, by szatan kontrolował mój mózg. Psychoza gdzie jestem innym Rafałem robotem i muszę uratować całe istnienie. Szatana co gra na flecie, a ja ulicą szedłem, gdzie samochody rozpędzone jechały, myśląc że miłość we mnie się zakochała i mną kontroluje. Myślałem, że świat się za mną zamyka kiedy szedłem drogą.

Nawet pojawiło się niebo, na ziemi i czyściec. Pobiegłem do kościoła i rozebrałem się do naga, by Bóg mnie zabrał, takiego jakim jestem. Lecz ksiądz bał się mnie i nie otworzył drzwi. I wiele innych.



Wizyty w szpitalu.

Za pierwszym razem, niewiele pamiętam nawet jak wszedłem na oddział. Wizyta tam była krótka. Dwa tygodnie. Po tym obiecywałem, że wszystko się zmienni. Miałem szanse, nie wykorzystałem tego. Obiecałem rodzicom że nie będę brał. Było inaczej. Druga wizyta. I była też trzecia wszystko dlatego, że dalej palilem zioło. Z trzeciej wizyty pamiętam psychozę w szpitalu dość silną. Głosów było tak dużo, że nie dawałem sobie rady z nimi, jeszcze na tyle byłem świadomy że poszedłem i przestawiłem co mi dolega. Oczywiście pielęgniarki zanim

się ruszyły, bo przeszkodziłem w rozmowie i popijaniu kawy. Z pytaniami do mnie, co dolega. A ja ledwo na nogach stałem. W reszcie się ruszyły i dały mi zastrzyk. Co wyleczyłem się, to trafiałem po tym do szpitala w ciężkim stanie. I był czwarty raz, też zioło. Jak by poprzednie wizyty nie nauczyły nic mnie. Uciekłem z domu, chciałem iść daleko. Złapała mnie policja na obwodnicy, skrepowano mnie kajdankami tak że krew do palców nie docierała. Pasów oczywiście nie zabrakło i kolejna wizyta w szpitalu.

Miedzyczasie ojciec stracił dwie nogi, pewnego dnia całkiem niedawno nie wytrzymałem. Cały czas ojciec ubliżał mamie, wyzywał ją od dziwek i całego mięsa jakie można rzucać. Znęcał się psychicznie, a kiedy tego nie robił. Pewnie dlatego zachorowała na nerwice. Tolerowałem to, do czasu. Przegiął kiedy usłyszałem że w nocy mamę uderzył. Wstałem zrobiłem hałas. Mowie jeszcze raz ja poniżysz.

Na następny dzień tak się stało. Nie wytrzymałem, poszedłem do niego mimo że nie ma nóg. Można mnie ocenić surowo za to co zrobiłem. Dostał z otwartej reki w pysk. I tego się nie spodziewałem. Chwył nóż z ławy i chciał mi go wbić w brzuch. Przypomniałem mu to kiedy znów, tak traktował mamę. Oczywiście przyszedł brat i mnie zbluzgał że uderzyłem ojca. Przyszła siostra to samo zrobiła. Przyszedł Wojtek chłopak kuzynki, co z drugiej strony mieszka. I do mnie, że mam z nim wyjść na solo. Ja do niego co ty wiesz o moim życiu, jak miałem. A on nachalnie, mam z nim się bić. Kochany kompan ojca do chłania. Wezwali opiekę społeczną. A ja w drugim pokoju ze łzami siedziałem. Mama oczywiście płakała. Wyzwałem ciotkę co przyszła, i się żaliła Opiece Społecznej, że ojca uderzyłem. Powiem szczerze, należało mu się. Wiele razy stawałem w obronie. Dostał tylko z otwartej reki w twarz. Nic po za tym. Jak by

wszystko na raz, plus choroba. Oczywiście nie zabrakło rozmowy z Opieką. Jak by brat i siostra zapomnieli jakim tyranem jest ojciec. Opinie ma porządnego, a w domu tyran.

Może to wina życia jakie mam, że zachowałem. Błędów życiowych. Tak czy inaczej duszę się we własnym domu. Definitywnie skończyłem z ziołem. Już od prawie roku w tym temacie nic nie biorę. Wyciągnąłem rękę zgody do ojca, choć robię to całe życie. Do kościoła nie chodzę, źle tam się czuje. Modlę się, może Bóg wybaczy mi moje winy. Może ja jestem przyczyną całego zła. Czasami płacze, ale tak by nikt nie widział. Choroba traktuje ją jak powietrze. Jest bo oddycham. Nadzieja, co ją odzyskam to tracę. Pytanie jest. Gdzie w tym wszystkim jest miłość, szczęście, moja miłość, moje szczęście. Nie mogę się poddać, już raz chciałem się powiesić w szpitalu. Nie chce tego przeżywać jeszcze raz. Ile bym dał by przeprosić tego człowieka na przystanku, za moją głupotę. Znajomych nie mam, przyjdzie czasami Damian, ale na chwile i tak nie za bardzo udaje mi się z nim dogadać, też ma swój świat. Efekt imprez. A ja, mi wszystko obojętne ważne, by mama dobrze się czuła. Pogodziłem się z ciotką i bratem i siostrą, nawet z Wojtkiem. Z facebook-a usunąłem 95% znajomych i tak do mnie nie piszą. Czasami w wierszach wykrzyczę co mi leży, ale tego krzyku nikt nie słyszy. Życie jednego mnie nauczyło, nie poddawać się i walczyć.

Wymyśliłem powiedzenie i z nim chodzę przez te życie.

„Tylko INTELIGENCJĄ przez WIEDZĘ prowadząc do MĄDROŚCI gdzie źródłem jest MIŁOŚĆ serca. Tam MIŁOŚĆ serca posiada MĄDROŚĆ przez WIEDZĘ nazywając to INTELIGENCJĄ”

© Copyright: inna
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Bardzo osobiste spojrzenie w swoją przeszłość na kozetce białych kartek i pióra. Wołanie z przyszłości małej, skrzywdzonej dziewczynki, której spowiedzi w przeszłości nikt nie dostrzegł.



„**SPOWIEDŹ**
MILCZENIA”

Gdańsk 2017

Rozdział I - Jestem

Nie musisz wiedzieć...

Nie wiem ile razy słyszałam te słowa od mamy, siostry, koleżanek... Będąc dzieckiem dopytywałam o różne rzeczy, ale najczęściej słyszałam: nie musisz wiedzieć. A dlaczego? Bo byłam małą pleciugą. Rozpowiesz innym... w nieświadomości tego, co dobre, a co złe mówiłam wszystko, mimo niezadowolenia starszych. Moje postrzeganie świata było wtedy takie niewinne, nie rozumiałam, że można krzywdzić słowem. Za to dość wcześnie dowiedziałam się o przemocy fizycznej. Klapsy za drobne przewinienia to normalka. Za prawdomówność, która graniczyła z donosicielstwem - łomot. Najpierw od koleżanek... zacisnęłam oczy, pięści, nic nie czułam, gdy okładały moje plecy. Nie pamiętam o co chodziło. Jesteś mocna - usłyszałam od koleżanki, bo nawet nie zapłakałam. Później dostawałam cięgi od ojca, siostra też obrywała. Za co, nie wiem, każdy powód był dobry, zniecierpliwiła go szybko, a ja... jeszcze się wahałam bo, wcześniej byłam jego pieniążkiem. Zaczął kopać nas wtedy, gdy brakowało mu pieniędzy na alkohol. Na głodzie, nerwowo, chyba bezrobotny w tamtym czasie, często bywał w domu. Bite czerwonym paskiem miałyśmy dość, schowałyśmy go głęboko, czy wyrzuciłyśmy, nie pamiętam. To był błąd, zabrał się za nas inaczej... Przyczyną jego frustracji było jeszcze coś. Mała pleciuga zdradziła jego tajemnicę. Nieświadomiona, bez poczucia krzywdy... powiedziałam mamie co robiliśmy... gdy nie było jej w domu. Mama chyba też nie

zdawała sobie sprawy z wagi problemu i powiedziała sąsiadce, zamiast iść od razu do psychologa. Doszło do molestowania, ale wtedy, nie wiedzieć czemu, dla innych to było śmieszne. Biedny tatuś, śmiali się z niego.

Dostawałam „z buta” zniecierpliwienia np. za to, że podałam mu wczorajszą gazetę, zamiast świeżej albo nie chciałam podnieść wsuwki do włosów z dywanu. Któregoś razu pękła skroń, krew się połała. Siostra wystraszona wołała: masz dziurę w oku... i to był koniec wielkiej, dziecięcej miłości do ojca. Straciłam zaufanie do niego, co musiało wreszcie nastąpić. Chyba wtedy zaczęłam się go bać, ech już wcześniej, tylko strach się nasilił. Był damskim bokserem, zresztą trenował boks w wadze koguciej, czym chwalił się często. Bił mamę. Problemy z sąsiadami też rozwiązywał przy użyciu siły. Milicja, izba wytrzeźwień, jego powroty w samych skarpetkach, pobity przez milicjantów, potraktowany zimną wodą ze szlauchu, pytania, czy będzie się mścił na nas, były na porządku dziennym.



Mama dostała błyskawicznie rozwód od momentu złożenia pozwu i przydział na mieszkanie spółdzielcze. Wszystko potoczyło się tak szybko, ponieważ sąsiadka odkryła siniaki na moich plecach. Nie wiem, czy te ślady to skutek kopania przez ojca, czy po incydencie z koleżankami... nie muszę wiedzieć. Zapewne rozmowy mojej siostry z psychologiem też miały wpływ na decyzję sądu. Ja nie kontaktowałam zbyt dobrze i nie wiem czego ode mnie chcieli, odpływałam.

Dziś rządzi mną „głos” i każe mi płakać nad losem dziecka, którym byłam. Widziałam jak ojciec krzywdzi mamę, siostrę... ona niczego nie pamięta... to dobrze. Dlaczego ja pamiętam? Zaciskam oczy i pięści, bo nie chcę płakać, przecież jestem mocna.

Napiętnowana

„Głos” twierdzi, że zajmuje się moją osobą od dziecka. Ma postać ludzką i siły nadprzyrodzone. Zna mnie osobiście. Mieszkał obok w bloku mieszkalnym i chodził do tej samej szkoły. Teraz jest dziennikarzem radiowym. Sama tego nie rozumiem, mam „go” zamiast własnych myśli i słyszę tak cichutko, jak tylko myśli mogą być ciche... ale nie pamiętam z tego okresu, tylko swoje stany autystyczne. Być może wówczas do mnie mówił, a ja stałam zasłuchana. Pamiętam moje „ocknięcia” i to, że w trakcie katatonicznego bezruchu miałam własne i prawdopodobnie „jego” myśli. Nie wiem, co inni robili lub mówili w tym czasie. Stałam jak słup, nie poruszając się. Musiałam sprawiać wrażenie zamyślanej.

...No rzuć tę piłkę... usłyszałam dopiero wtedy, gdy zniecierpliwiony

chłopak z podwórka, trafił we mnie kamieniem. Wiem nawet o czym wówczas myślałam. Starsze koleżanki przestrzegały mnie przed pedofilem, który miał grasować po okolicy... mówiły o nim zбочeniec. Patrzyłam w przestrzeń, potem w okolice przystanku tramwajowego i wypatrywałam go, gotowa w każdej chwili uciec... Innym razem jakieś dziewczyny wołały, żebym zeszła im z drogi... stałam jak wryta na wrotkach, a one nie mogły przejechać rowerami dlatego, że pełno ludzi było na alejce prowadzącej do morza, i do tego ja, zamyślona jak gapa. Zastanawiałam się, czy przez ten tłum przecisnę się, aż do morza, to był jakiś kilometr, ale dla małych nóżek dość spora odległość. I pamiętam, że krawężniki stanowiły dla mnie problem, przewracałam się przez nie często.

Byłam już starsza i wpadłam w katatonię, kiedy wychowawczynie powiedziała, że mam fajnego, mądrego i przystojnego ojca... co? Nic się nie zgadzało, nie uwierzyłam... tego alkoholika? Kpiła sobie chyba... Powtarzałam jej potem, że to ojczym był na wywiadówce, a ona upierała się przy swoim... Następny niewiarygodny dla mnie przykład miał miejsce podczas, gdy koleżanka przedstawiła mi swoje dziecko, jako mojego brata. To był zapewne sen... z moim ojcem ma syna... zakreśliło mi się w głowie. Po ocknięciu jej już nie było.

Często zadawano mi pytania, na które nie znałam odpowiedzi. Przeszukiwałam wtedy w zakamarkach pamięci, oczywiście nie kontaktując z otoczeniem, co takiego się wydarzyło i jakie wnioski z tego płyną. Najczęściej byłam zdziwiona i zawstydzona skąd pytające osoby, coś o mnie wiedzą... Pamiętnik „przyjaciółki” z dzieciństwa był kopalnią

wiedzy o mnie i o czasach, w których żyłam. Wyparłam go ze swojej świadomości, nigdy nie czytając... bojąc się tego, co tam jest napisane, gdyż jest w nim więcej szczegółów z mojego życia, niż sama aktualnie mogę sobie przypomnieć. Wiem tylko, że niektórzy byli oburzeni bezczelnością pseudo-przyjaciółki, bo niektóre sprawy ich dotyczyły. I mieli też pretensje i żal, że zdradziłam pewne tajemnice. Koleżanka wykorzystwała mnie, żeby zaspokoić swoją niezdrową ciekawość. Pamiętam, jakby przez mgłę okoliczności, w których kuzynka poinformowała mnie o istnieniu tych zapisków. Byłam już dorosła. No nie! To znaczy, że ta mała w swej dobroci przekazała komuś z mojej rodziny brulion, z moimi zwierzeniami! Teraz wszyscy wiedzą, co mówiłam i robiłam, a niech ją licho... Zaczęłam sama pisać przemyślenia, przy okazji analizując pewne sytuacje. Zrobiłam przegląd mojego życiorysu. Kosztowało mnie to trochę emocji, smutku i łez.

Nie słuchaj „głosu” mówią wtajemniczeni w moją chorobę, ale ja mam podzielną uwagę. Jestem i słucham. Od jakiegoś czasu nie popadam w bezruch. Nadal mam jednak przeświadczenie, że nie muszę wszystkiego wiedzieć... Często uciekam w sen, bo nie radzę sobie z problemami i wspomnieniami. ON chroni mnie w ten sposób przed szaleństwem.

Teraz przyznaje, że wszystko o mnie wie i kieruje moimi myślami i czynami. Denerwuje mnie taka prawdomówność. Dziś wiem co dobre, a co złe, nie potrzebuję „go” w swojej świadomości. Wiem co należy robić i... mówić, ale „on” dyktuje, co mam pisać. Z rozmów z chorymi, takimi jak

ja, którzy mieli „głos” lub „głosy” wynika, że „on” często kłamie. „Wkręca” mi coś np. o ojcu ale nie tym, który mnie „wychowywał” tylko o kimś, kto nie przyznał się do ojcostwa, czyli miałam dwóch, a nawet trzech rodziców rodzaju męskiego wraz z ojczymem. Rodzina zapewne coś wie, ale nie powie... żeby nie pogłębić obecnie mojej choroby? Jeżeli naprawdę istnieje, to dlaczego do tej pory nie zgłosił się? Wstydzi się mnie... bo sam ma na sumieniu brak opieki nade mną albo wstydzi mojej osoby i nie dorastam do jego wyobrażeń. Kiedyś usłyszałam od jakiejś ciotki: bękart, nie rozumiałam tego słowa albo znajda. Często mnie pytano skąd się wzięłam i czyja jestem. Odpowiadałam, że tatusia... a jak ma na imię... bez komentarza, byłam zawstydzona i przygnębiona ich uśmiezkami .

Tym razem „on” nie kłamał. Strzępy rozmów, echa prawdziwych głosów, fragmenty wspomnień, czarna nitka, blizna. Miałam około sześciu lat. To się wydarzyło pod nieobecność mamy. Wyjechała gdzieś z siostrą na parę dni. Pamiętam, że często mnie zostawiała kiedyś z tatusiem. Wspominałam już, że byłam jego pieniążkiem, złotkiem, nie mogła mi się stać żadna krzywda. Ten zaprosił jakiegoś „gościa”, prawdopodobnie kolegę z pracy, pili wódkę. Tamten chciał posadzić mnie na swoich kolanach. Uciekłam. Schowałam się pod łóżko, takie metalowe, ze sprężynami, podobne używane były w szpitalach. Ktoś mnie wyciągnął spod niego, byłam zaspana... i nic więcej nie pamiętam oprócz własnego płaczu. Potem ojciec też płakał... zszywając mnie czarną nitką. „Gość” pociął mnie brzytwą. Zrobił cięcie w kształcie sierpa takie, jakie robili ludzie z ruchu oporu prostytutkom w czasie wojny za to, że

kolaborowały z Niemcami.

Przez parę dni tata powtarzał, że zabije... tego ubeka, miotał się, do ginekologa chciał ze mną iść, nie miał pieniędzy, do szpitala - wstydził się chyba. Śniło mi się potem często, że niesie mnie na rękach zawiniętą w zielonym kocu, a w okolicach czołgu-pomnika przy al. Zwycięstwa rezygnuje i zawraca do domu.

Czuję chaos, wspominając, czuję beznadzieję i zatracenie.

Dlaczego? Dlaczego „głos” każe wspominać, na nowo interpretować temat. Czy to, co mi zrobił ten szalenciec, miało symboliczne znaczenie? Później, gdyby ktoś pytał co to za rana, tatuś kazał odpowiadać, że od wsuwki. Bawiłam się wsuwką do włosów i się skaleczyłam nią. Mama mnie nie pytała... bo wywiózł mnie po tym zdarzeniu do babci. Pamiętam krzyki, babcia domagała się prawdy. Chyba wdało się zakażenie, ponieważ zaczęłam gorączkować, byłam w malignie i jak przez mgłę pamiętam, że leżałam w wozie konnym... zawieźli mnie do wujostwa 10 km dalej. Tam o coś pytali ale... zapomniałam o tym na długie lata. Dopiero, kiedy przy pierwszym porodzie pielęgniarka spytała po jakiej operacji jestem, odpowiedziałam, że to rozstęp. Nie uwierzyła, a przecież nie mogłam jej powiedzieć, że blizna pozostała po zarysowaniu wsuwką. Prawdę odkryłam później, przypominając sobie i łącząc fakty.

Pisząc te słowa, słucham pięknej piosenki zespołu Archive pt. „Again”. Treść utworu nie ma znaczenia, ale fakt, że akurat leci w radiu. Może nazwa zespołu jakby coś znaczyła i tytuł, bo ZNÓW wspominam. Z zakamarków mojej pamięci, mojego archiwum wydobywam dziwne i trudne rzeczy. Moja historia jest pogmatwana, zakręcona i nie mam kogo w tej chwili spytać, by coś wyjaśnić. Tylko wujkowie, nie wiedzieć czemu, do tej pory mają łzy w oczach, gdy mnie widzą.

Moja edukacja

To bardzo trudne wspomnienia dla mnie. Mama zmarła dawno temu na raka. Umierała w męczarni, morfina pod koniec choroby nie działała. Miałam już wtedy swoją rodzinę, ale byłam zdruzgotana, kochałam ją mocniej niż ojca.

Wychowywanie mnie było trudne, przysparzałam mamie dużo kłopotu, nie wiem, czy nie „obrywała” za to, że byłam dzieckiem spoza małżeńskiego łóżka... czułam się niechciana, odtrącała mnie. Wykonywała przy mnie czynności zawsze lekko podenerwowana. Tym bardziej, że nie zawsze można było nawiązać ze mną kontakt. Chociaż brałam udział w podwórkowych zajęciach, czułam się wyalienowana. Dzieci była cała gromada, dziewczyny przewodziły. Zabawom nie było końca, codziennie wymyślały coś nowego. Czekaliśmy zawsze z boku, aż mnie zaproszą.

Mama podrzucała mnie często do kogoś, gdy nie miała co ze mną zrobić. Pracowała. Potem chyba chciała zostawić na dłużej, a może na zawsze... tęskniłam i zapadałam w niebyt. Pamiętam babcię ze strony mamy, niezadowoloną z tego powodu. Mieszkała na wsi i mówiła coś o warunkach bytowych i niekompetencjach mamy, delikatnie ujmując. Tak naprawdę psioczyła na nią i na mnie. Podrzutek, znajda. Coś było na rzeczy, zbyt często czułam odtrącenie. Babcia zawiozła mnie do swojej siostry, do miasta. Już umiałam czytać, więc ucieszyłam się, gdy zobaczyłam pełno książek. Ale babcia zniknęła... znów tęskniłam, rozchorowałam się pytając stale, gdzie ona jest... To podziało, dziadkowie zaczęli mówić o nauce i pytać, czy chcę u nich zostać. Podobało im się, że lubię przebywać w ich domu, pomimo niewygód. Jednak mama wróciła po mnie, chyba już po rozwodzie, odmieniona.

Czytać nauczyłam się wcześniej, zanim poszłam do szkoły. Pierwszą książkę jaką pamiętam były Klechdy Domowe, o diabełkach i innych pomniejszych czartach i Legenda o Księżniczce na Lodowej Górze. Na okrągło czytałam Dziewczynkę z zapalkami, Krzesiwo i inne baśnie Andersena. Królowa śniegu była już wyzwaniem, bo dłuższa. Tatuś wtedy czytał. I rysował motyle. Dobry był. Starał się. Mieszkał już wtedy za ścianą, osobno. Rzadko pił. Uczył się w technikum wieczorowym. Za późno... klamka zapadła, czekała nas przeprowadzka. Mama otrzymała mieszkanie na nowym osiedlu, nie wiem skąd miała pieniądze na wymagany wkład. Tatuś wprowadził się obok, dwie klatki dalej!

Poczułam wtedy, że mam mamę, zajęła się chałupniczą pracą i nami... okres spokoju.

Zaczęło się od nowa, gdy wyszła za męża po raz drugi. Ojciec był zazdrosny, bo myślał, że jeszcze ma szansę wrócić do nas. Pijany robił awantury pod klatką. Eeej! Szóste piętro- zaczepiał ojczyma. W szkole wszyscy mieli się dowiedzieć jaki z niego rodzic. Równocześnie koleżanka opublikowała swój pamiętnik. Opowiedziałam jej wszystko, co pamiętałam, a ona to zapisała, a tego, czego nie umiałam jej wytłumaczyć, dowiedziała się z rozmów starszych, lub też wysyłając swoją mamę do nas.

Koleżanki i koledzy nie byli obojętni... jedni płakali czytając, inni podśmiewali się... zadawali pytania... a ja coraz częściej odpływałam.

Mama nie żyje, a ja mam do niej tyle pytań... może, gdy już wyrzucę z siebie gorycz do końca, przestanę myśleć o dzieciństwie, o zaniedbaniach wobec mnie i mojej siostry. Może „głos” nasyci się moją biedą, wstydem i dla odmiany mnie nakarmi czymś, co przyniesie przyjemność i ukojenie.

Chcę czytać!!! Poznać inne historie, fikcyjne opowieści, czy na faktach,

wszystko jedno. Czytać... na razie przeglądam „przewodniki” dla schizofreników. Chociaż wolałabym na przykład takie o Polsce.

Geografia była moim bakcylem. Tylko pan od tego przedmiotu, kompetentny w stu procentach, potrafił porwać nas, tych zdolnych i gorzej radzących sobie uczniów. Język polski i matematykę też lubiłam, reszta przedmiotów nie interesowała mnie zbyt, ale przynosiłam czwórki i piątki. Odkąd się przeprowadziłyśmy, mama nie miała z nami większych kłopotów. Byłyśmy grzeczne. Z tego powodu, nie chciało jej się chodzić na wywiadówki, bo po co i przy wyborze szkoły ponadpodstawowej też nie uczestniczyła. Za to ojczym lubił się mądrzyć. Po co matura i studia wyższe, jak i tak najlepiej marchewkę sprzedawać. Bez odpowiedniego wsparcia, wybrałam zawodówkę. Nie żałowałam, ale czegoś mi było brak. Jedynie nauczyciel geografii spytał, dlaczego nie idę do liceum. Reszta miała gdzieś, że coś się ze mną dzieje... sama wyczytałam dopiero teraz o mojej chorobie, o epizodach, które mają miejsce w dzieciństwie, nie zauważonych przez środowisko. Psycholog był mi potrzebny od zawsze, ale tej formy pomocy nie otrzymałam, bo przecież dobrze się uczyłam. Na pytanie geografa odpowiedziałam, że chcę szybko iść do pracy.

Dziś szukam przyczyny mojej schizofrenii. Zmiany biochemiczne? Uwarunkowania środowiskowe? A „głos” rządzi i decyduje za mnie. Dałby poczytać... Chcę wiedzieć, czy zawsze naprawdę byłam inna.

Pani od biologii nazwała mnie kiedyś cyniczną. Te słowo mocno zapadło w moją pamięć. Bolało. Na jakiej podstawie tak mnie oceniła? Bo nie

przejęłam się dwóją, którą dostałam w ósmej klasie za nieprzygotowanie do lekcji? Łamałam jakieś zasady, nie uznawałam autorytetów? Obrona przed światem to cynizm? Byłam znów w swojej skorupce, z lekka autystyczna. Z rzadka się odzywając, ale komentując rzeczywistość usłyszałam, że kiedyś za to mnie zamkną. Czas cenzury, na każdym kroku donosiciele. A ja prawdomówna od dziecka, czy może przechodziłam okres buntu młodzieńczego, śmiałam się z tego, że nawet kalesonów brakuje dla żołnierzy i potrzebna interwencja Pierwszego Sekretarza PZPR -u, Jaruzelskiego... czternastolatek chyba nie zamykali wtedy, mieli inne sposoby. Królowała ogólna psychoza. Nastał wreszcie czas buntu społecznego. Powstał ruch „Solidarność”. Ceniłam takie osoby jak Ojciec św. Jan Paweł II, czy Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa, Jacek Kuroń... Nauczyciele z podstawówek jeszcze się bali, nie wierzyli w zmiany. Rodziców bliskiej koleżanki internowali, szemraliśmy między sobą, czekaliśmy na powrót Wałęsy z obozu dla internowanych. Młodzież licealna była lepiej uświadomiona. Czegoś więcej dowiadawali się potajemnie od historyków i starszych kolegów. Dużo faktów historycznych, np. 17września 1939 roku, Katyń, to były tematy zakazane, a oni poznali je wcześniej niż dzieci w podstawówkach.

Z czasem wszystkich ogarnęła fala radości, komunistyczny system był w rozsypce. Ale jeszcze i jeszcze straszono nas. W liceum wieczorowym, pod koniec lat osiemdziesiątych, będąc już samodzielna, bo pracowałam w zakładzie rzemieślniczym, miałam kolegę agenta SB, który bał się krytykować władzę. Wiem, że potem dużo esbeków w strachu uciekło zagranicę, „palił im się grunt pod nogami”, niejednen skrzywdzony

zyczyłyby sobie sprawiedliwości... ale gruba kreska nastąpiła i tajniacy poczuli się bezpieczni.

Tadeusza Mazowieckiego bardzo lubiłam, ale w wyborach na prezydenta w 1990 roku zagłosowałam na Wałęsę. Jaruzelski miał przegrać z kretelem. Czułam, że żyję. Prawie wszystkich ogarnęła euforia, ludzie nagle przestali się bać.

Wysłałam za męża i zajęłam się sprzedawaniem marchewki... ojczym mnie zainspirował nią wcześniej, zaszczerpił jeszcze miłość do Czesława Niemena, za co jestem mu wdzięczna i... nic więcej. Zawsze powtarzał, że bez kija i marchewki nie da się do mnie podejść. Buntuję się! Dziwny jest ten świat, nie tylko ja.

Małżeństwo

Zdradzam męża z moim „głosem”. Kiedy czekam na „niego”, aż się odezwie na antenie radiowej, sztywnieję, a potem lekko drzę i stoję wsłuchana w jego melodyjny tembr. Mąż wyczuwa, że ze mną coś się dzieje i jest nawet zazdrosny, przełącza wówczas stację. Czuję się osamotniona kiedy długo „go” nie słyszę. „On” twierdzi, że mnie kocha. Jeżeli wziąć pod uwagę, że jest wytworem mojej wyobraźni, jest częścią mnie, to znaczy że kocham swoje ego. Tak, tylko ja długo, nawet nie lubiłam własnych cech charakteru, nie akceptowałam siebie. Byłam

wymagająca, pełna skrupułów, analizująca każdy szczegół, niemalże pedantyczna. Zawsze wydawało mi się, że najważniejsze to nie krzywdzić innych. W ten sposób szłam pod prąd. Ostatnia w kolejce do wszystkiego, nie umiałam rozpychać się łokciami. Poprzez zbrukane dzieciństwo, czułam się gorsza od innych.

Teraz po latach, kiedy mam własny dom, dzieci już dorosłe i męża, który dopiero po zachorowaniu zaczął mnie bardziej wspierać, niż dołować, pozostał smutek. Zbyt długo walczyłam o swoją godność.

Mąż właśnie coś zajada i ciamka ze smakiem, zadowolony ze swojego życia. Nieświadomy mojej gorczy, moich cierpień, nie wie, że piszę te słowa. Nie chcę żeby wiedział. On, w miodzie kąpany dosłownie, bo wpadł kiedyś do beczki z miodem, i w przenośni, chyba miał dobre życie. Z lekką nerwicą dziecięcą wszedł w dorosłe życie, bez wielkiego bagażu przykrych doświadczeń, nigdy mnie nie rozumiał. Kiedy coś przemyślałam ze swojego życiorysu, wyśmiewał mnie lub był zgorzony. Ciągłe się ścieraliśmy, mieliśmy różne poglądy i inne zapatrywanie na życie. W zderzeniu z moją rzeczywistością, nie umiał mnie postrzegać jako osobę pełnowartościową. W końcu stwierdził, że jestem „inna”. Na początku mówił to żartobliwie. Z czasem zaczął utwierdzać się w przekonaniu, że to niemożliwe aby można było żyć po traumatycznych przejściach normalnie. Wydał wyrok: powinnaś się leczyć. Nie wiedziałam o czym mówi.

Pierwsze lata małżeństwa, mimo wszystko, wydawały mi się sielanką. Jedno dziecko, po pięciu latach drugie, nie było mi ciężko je wychowywać. Niestety, mąż z czasem zaczął mocniej dopiekać. Nie tylko praca zajmowała jego czas, były też karty, koledzy, imprezki. Zaszłam po raz trzeci w ciążę i popadłam w depresję na parę lat. Do mojej „inności” dołożył słowo: patologiczna. Wbił mi nóż w plecy tym stwierdzeniem. Nie tego się spodziewałam. Potrzebowałam tylko ciepła i otuchy, a on w przelocie pogratulował mi i zniknął. Żadnych kwiatków, całusów... koledzy czekali. Przy okazji spotkania z pewnymi znajomymi usłyszałam od nich, że chyba nie chcę urodzić trzeciego dziecka? A po co ci, będziesz uwiązana i nigdy nie staniesz się samodzielna. Wsparcie ze strony męża zerowe, milczał... czyżby znów było tak, że nie muszę czegoś tam wiedzieć. Poczulałam się jak na karuzeli, świat zawirował, zachwiało się. W niezbyt dobrej kondycji psychicznej, urodziłam dużego, zdrowego chłopczyka, 4 kilo i 56 cm. Pełna ekscytacja, zapomniałam, że miałam złe myśli... Teraz trzeba zająć się noworodkiem, w domu z teściową czekała pozostała dwójka. Zajęta dziećmi, domagałam się od męża pieniędzy i odrobiny czasu dla nas albo alimentów, jeżeli nie chce uczestniczyć w naszym życiu. Kłótnie, trzaskanie drzwiami, aż usłyszałam pewnego dnia, że jestem nieżyciowa, żyję we własnym świecie. Gdyby nie on zostałabym k .rwą i powinnam się cieszyć, że mnie nie bije, bo inny to...

To był koniec moich zmagani. Zapadłam się do wewnątrz. Chodziłam jak lunatyczka, po omacku szukałam sensu życia. Czyżby szaleniectwo z dzieciństwa napiętnowało mnie na całe życie. Jestem rzeczywiście k.rwą, bo chcę utrzymać siebie i dzieci i... i że w ogóle czegoś chcę? Natenczas

chciałam męża uwolnić od nas.

Świadomość, że nie jestem jedyna, którą skrzywdzono na tym świecie, dodawała mi sił do tej pory. Dlaczego muszę doświadczać dla odmiany przemocy słownej? Zaprzyjaźniony kolega pytał, czy na pewno wystarczy mi, że mąż nie pije i nie bije...

Dzieci rozwijały się w miarę dobrze. Nie mogłam narzekać, były grzeczne, inteligentne, kreatywne. Staralam się nie obarczać ich moją innością, moim niespełnieniem. Nie wiem, czy w ogóle zauważały zmianę w moim zachowaniu. Może tyle, że mama jest coraz smutniejsza.

Po kilku latach dopiero pojawił się „głos”, dobry powód, żeby się leczyć ale ja brnęłam w nieświadomości, że coś się ze mną zaczęło dziać. Wtedy był moim zbawieniem dlatego, że odciągnął mnie od smutków, odsunął wszelkie problemy. Przestałam na jakiś czas cierpieć, przeżywać... Byłam ja i mój „głos” - kochająca się para... Wszystko stało się bardziej proste, a raczej wykonalne, z nim mogłabym spędzić resztę życia gdyby nie to, że bywał też złośliwy.

Psychoza

Zaczęło się niewinnie, prawie infantylnie.

Wiosna 2005, niedziela... Zostałam sama w domu. Mąż zabrał dzieci nad

jezioro. Byłam już zmęczona i wycofana. Żądałam od niego, żeby dał im coś od siebie. Niezadowolony, w końcu się zgodził. Nie miał wyjścia. Mój sposób wychowywania krytykował, gdy pojawiały się problemy. Musiał pokazać, że także umie nimi zająć się. To nic trudnego, przekonywałam, domagając się aby dzieci miały dobre wspomnienia z tego szczególnego okresu życia. Wyjazd na ryby miał być świetną okazją do integracji. Chłopcy jeszcze nie wierzyli, bez mamy rzadko gdzieś bywali, oprócz wyjazdów z teściową na działkę i nieudanego pobytu na obozie. Córka już okrzesała, jeździła na kolonie, wycieczki, obozy, więc pomogła tacie w wyprawie. Zabrali wałówkę, psa i pojechali. Pod ich nieobecność miałam zamiar zrobić coś dla siebie, poczytać, rozwiązywać szarady, posłuchać muzyki. Zamiast tego rozmyślałam.

Pojawił się „on” czyli „głos”, powolutku, po cichutku, jakby nie chciał mnie przestraszyć ...100 ...99 ...98 ...97. Śmiejąc się jak idiotka, liczyłam od tyłu i słuchałam „jego” myśli. Potem przy oknie, oparta łokciami o blat kuchenny, zjadałam banana nadal z czegoś się śmiejąc. Zauważyłam sąsiada na przeciwko, obserwował mnie... poczułam wstyd i złość. No szkoda, że nie rozebrałam się jak w piosence Martyny Jakubowicz „W domach z betonu nie ma wolnej miłości...” Dziś mogę stwierdzić, że „on” realizował scenariusze mojego życia według motywów z literackich utworów, a także tekstów piosenek. Bzdura? Być może, ale to „on” decyduje o moich przeświadczeniach.

Później wyszłam na spacer. Stawiałam kroki na chodniku tak, aby stopą

dotknąć co drugą płytę chodnikową, lekko kołysząc biodrami, prawie tańcząc. Ubrana w kolorową spódnice (nie wiem jak mogłam ją w ogóle kupić i nosić wcześniej), wyglądałam jak Cyganka. Dziwacznym chodem, dziwacznie wystrojona, z uśmiechem na twarzy, naprawdę szczęśliwa, szłam przed siebie. Czułam spojrzenia ludzi, lecz bez lęku, fantazyjnie podążałam naprzód.

Mam skojarzenia z następnym utworem. Tym razem Oczy czirnyje Violetty Villas, ona zdaje się też była przebrana egzotycznie, groteskowo niemalże, wykonując tę piosenkę. Cudownie obłąkana i boska - tak o niej napisano, co można samemu stwierdzić oglądając ją w filmie "Dziękuję". Oczy czarne, oczy dziwne, oczy straszne i piękne. „On” ma na myśli to, że „nie taki diabeł straszny jak go malują ” . Sam nie jest diabłem... nie . Za to ja miałam zawsze przestraszone oczy, pytające niemalże: przepraszam, czy tu biją...

Wracałam już mniej wesoła, nigdy nie lubiłam sama wychodzić. Byłam coraz bardziej zła. Niezidentyfikowany, nieuchwytny „ktoś” kierował mną. Droga ciągnęła się w nieskończoność. Zaczął mnie ogarniać smutek, tęsknota za dziećmi. Minęło parę godzin, a już żałowałam, że nie pojechałam z nimi. One też wróciły nieswoje, z żalem pytały dlaczego zostałam sama w domu i co robiłam.

Ten „ktoś” bawił się mną prawie trzy lata, zanim doszło do ostrej fazy. Na początku pouczał mnie, żeby nie mówić na głos. Nie miałam też

potrzeby mówienia o „nim”, więc nikt nie zauważył początków mojej choroby, może poza drobnymi dziwactwami, zachowywałam się normalnie. Wszystko działało się w środku, w moim ciele i umyśle. Dużo mówił o miłości, doprowadzał do ekstatycznych uniesień. Rozkosze zmysłowe były nowością. Mogłam czytać. Powieść „Ferdynand” Gombrowicza okazała się ucztą, obfitą strawą dla duszy, a wiersz Herberta pt. „Małe serce” odkrywałam, interpretując po swojemu .

Pierwszy raz pomyślałam o ojcu, jako ofierze koszmarnego losu. Było mi przykro, że nienawidziłam. Stwierdziłam u siebie syndrom szwedzki, kochałam go mimo wszystko .

Nastał czas ostrej psychozy: psychicznej i fizycznej męki. Wybuchałam płaczem i śmiechem na przemian. „On” zaczął dręczyć tym, co mnie kiedyś prześladowało, było niestosowne, wstydlive. Stałam się nieufna i podejrzliwa. Śledzenie przez różne służby, próby odkręcania gniazdek elektrycznych, dziwne zjawiska były codziennością. Włosy musiałam obciąć na krótko, prawie na łyso. Czułam się upokorzona. Umęczona „jego” oddziaływaniem, czekałam, aż przestanie.

W tym stanie „oberwało się” mężowi. Powiedziałam co o nim myślę. Byłam przy tym przykra i złośliwa. Na nim skrupiły się moje lęki, kompleksy, niepowodzenia. Dlaczego? Ponieważ potrzebowałam delikatności, akceptacji, potwierdzenia, że jestem coś warta. Nie dawał mi tego. Pragnęłam normalnej rodziny. Starłam się, by dzieci były

bezpieczne, szczęśliwe, a on uważał, że nasz związek jest patologiczny. Po tym, co JA przeżyłam, po moim dzieciństwie, w którym dominowała przemoc, strach, krew, molestowanie... głód, chłód, insekty... co on wie o patologii?!

W międzyczasie „głos” doprowadził do momentu, w którym nie wiedziałam kim jestem. Konwulsje... nie mogłam ich powstrzymać. Miałam pozbyć się kogoś, kto tkwił wewnątrz, z przeszłości. Gdyby mąż to widział, wezwałby egzorcystę. Moje ciało, brzuch, usta chciały wypluć, wyrzucić ze mnie obce dusze, które wniknęły wewnątrz mnie dawno temu. „On” tłumaczy to pustką, jaka nastąpiła w moim ciele i umyśle, po tym, jak byłam w agonii w dzieciństwie. Uszło wtedy ze mnie życie. Musiał mnie napęłnić czymś osobowością, abym powstała i żyła nadal. Czyżby mnie wtedy wskrzesił. Nie wiem, nie znam słów, które mogłyby opisać to, co ma na myśli. Teraz chroni mnie, nie dopuszczając, by ktoś zadomowił się w moim ciele, jest tylko „on” i ja. To tak, jakbym narodziła się na nowo. Czy mogę powiedzieć, że wreszcie jestem sobą...???

Trudno opisać mi psychozę, ponieważ minęło już 10 lat odkąd się leczę i nie chcę jej pamiętać. I „głos” niechętnie podpowiada, co mam pisać. Chyba nie umiem też nazwać, czym ona jest i co mi się przydarzyło. Tylko czuję podświadomie, że się boję, by nie powtórzyła się. Wiele rzeczy ze złością zniszczyłam w czasie jej trwania: paliłam, darłam, tłukłam, wyrzucałam. Te czynności miały symboliczne znaczenie, bo

miałam zerwać z przeszłością. Czekają na mnie zmiany, nowe życie. Bez kłótni . Nadmiernych obowiązków. Nic nie muszę robić, „samo” wszystko dzieje się. Kiedy „on” każe, wspominam, a poza tym żyję terażniejszością i z rzadka martwię się, co przyniesie przyszłość. Wówczas boję się chorób, bólu fizycznego i psychicznych udręk .

Jeszcze jedną piosenkę przytoczę, napisaną i śpiewaną przez Kasię Nosowską z zespołem Hey pt. Ho! Identyfikuję się z nią, jest częścią mnie. Z początku bardzo poważnie traktuje o osobie, na której ktoś odcisnął piętno na całe jej życie, potem jest walka o przetrwanie „obrastam w siłę, bronię się”, a kończy stwierdzeniem: "lubię chleb więc sobie zjem i po brzuchu się poklepię", jakby chciała rzec: nic to... nic się nie stało...

A schizofrenia?... można z nią żyć? To pytanie do innych z tą chorobą. Ja obecnie tkwię w „złotej klatce” zajęta słuchaniem „jego” myśli.

Zielono mi...

Zielono mi i spokojnie... zaczęłam więcej zwracać uwagę na kwiatki, pszczołki, motyle i słucham teraz dużo muzyki. „On” mówi do mnie zielonym językiem, pełnym ukrytych znaczeń, symboliki, jak u Nostradamusa. Tłumaczy mi czasem, co ma ma myśli, ale dla mnie to

denerwujące. Chociaż lubię rozwiązywać krzyżówki, wolę poezję od jego słownych, pokrętnych wymysłów. No tak, tylko, że „on” nie pozwala mi czytać książek, oglądać filmów, słuchać wiadomości. Jest zazdrosny. Mówi, że stworzył lepsze historie i jak będzie chciał , to się podzieli nimi ze mną. Wszystko zależy od „jego” kaprysu. Skoro tak, to nie wiem po co piszę te zwierzenia, przecież „głos” ma w zanadrzu coś więcej do powiedzenia, niż komentowanie mojej rzeczywistości. Mam nadzieję, że nie będzie mi kazał czuć się Chrystusem na przykład. Bałabym się tego. Nie chcę znać większego cierpienia niż moje, patrzeć na ból. Nie chcę wielkiej radości, bo po niej przychodzi wielki smutek. Nie pragnę też wesołości graniczącej z groteską. Chcę spokoju. Mam go teraz, biorę grzecznie leki psychotropowe. Może zanadto senna jestem po nich, ale tak dobrze jeszcze nie było. Jeśli tylko „on” wyprowadzi mnie z równowagi, to mam jeszcze relanium schowane na czarną godzinę. Jest także szpital. Tam szukałam ostatnio pomocy na oddziale dziennym. Poznałam w nim wielu ludzi z różnymi chorobami . Część została później moimi przyjaciółmi, z którymi do tej pory utrzymuję kontakt. Lekarze ustawili mi leki po paru miesiącach obserwacji, a psychologowie cierpliwie słuchali moich wywodów na temat „głosu”. Był to mój drugi pobyt w szpitalu. A pierwszy? Dlaczego nie mogę o nim nawet wspomnieć bez drżenia ciała? „Głos” zamyka mi pamięć, chyba się wstydzi tego, że był złośliwy, zanim trafiłam na leczenie.

W psychozie bywa wesoło, ale czy jest się szczęśliwym? Euforia - to fajny stan! - usłyszałam od jednego znajomego. Nie wiem jak jest u innych, ale częściowo zgadzam się z nim. Wszystko wydaje się łatwe,

życie sprawia radość, istnieje poczucie, że nic mnie nie pokona, samozadowolenie pełne. Poza tym jest wielki smutek, bo psychoza ma niejedno oblicze. Lęki, urojenia utrudniają kontakt ze światem zewnętrznym. Nie posiadasz umiejętności realnego oceniania rzeczywistości. Robisz dziwaczne rzeczy. Samokrytycyzm jest ci obcy. Śledzą cię, trują, chcą podstępem wsadzić na oddział zamknięty. Przecież nie jestem agresywna, powtarzasz, czego ode mnie chcą...

Dziś wiem, że gdybym nie miała ostrej fazy, nikt by się nie kapnął, że jestem chora, co najwyżej dziwna z załamaniem nerwowym. Policja z łapiduchami z pogotowia ratunkowego, po rozmowie z mężem stwierdzili, że jestem zagrożeniem dla innych. Trzymałam pilnik, piłowałam nim tylko paznokcie. To miało być narzędzie, którym niby chciałam kogoś skrzywdzić. Wygadywałam jakieś bzdury, wypijałam wcześniej jednego drinka i fantazja mnie ponosiła. Policjanci nie wiedzieli, co zrobić, gdy dowiedzieli się, że mąż też pił alkohol. Dzieci pomogły im podjąć decyzję. Co dokładnie zeznały, nie słyszałam, ale wiem, że miałam stan podgorączkowy i wystraszyłam je, wygłaszając brednie. Nie miałam wyboru, zmusili mnie do leczenia szpitalnego. Był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, płakałam ... nie chciałam z mężem rozmawiać. Nie dał mi szansy na zgłoszenie się do przychodni i leczenie ambulatoryjne, wydawało mi się, że jest taka opcja. Załatwił mnie po chamsku...

W stanie euforii zabrali mnie na izbę przyjęć szpitala psychiatrycznego, w asyście policji. Nie byłam groźna, ale chyba taka jest procedura. Nie wiem,

już się nie interesuję tym. Tam jeszcze raz były przesłuchiwane dzieci. Stwierdzili zespół paranoidalny, zaaplikowali clopixol, po którym się chodzi jak w koszmarnym śnie, trzymając się ściany, po omacku. Nieprzyjemne uczucie. Miałam wrażenie, że wszyscy poruszali się w zwolnionym tempie, przy tym jakaś siła ciągnęła mnie w niebyt, w jakąś przestrzeń obcą mi, czułam obłąkanie. Własnych myśli już dawno nie miałam, a te, które „on” nasuwał były niezrozumiałe, chaotyczne. Czułam strach. Po dwóch tygodniach działanie leku zelżało, ale czekał mnie następny zastrzyk. Błagałam na kolanach młodego lekarza, który prowadził moje leczenie, żeby dał mi coś innego. Posłuchał. Po trzech miesiącach obserwacji usłyszałam, że jeszcze muszę iść na oddział dzienny, bo inaczej mnie nie wypuszczą. Zgodziłabym się wtedy na wszystko, chciałam tylko wyjść stamtąd.

Na terapii nie mogłam się odnaleźć, byłam wyobcowana, zmuszałam się do brania udziału w zajęciach. Wszystko mnie nudziło albo denerwowało, pomimo starań psychologów, aby było ciekawie. Dbali o rozwój naszych zainteresowań, o to, byśmy wrócili do rzeczywistości w jak najlepszej kondycji. Wyszłam w poczuciu zmarnowanego czasu. Żal, że zamknęli mnie, tkwił przez parę lat.

Wtedy, 10 lat temu poznałam koleżankę, muszę o niej wspomnieć, bo z czasem stała się bliską mi osobą. Starsza ode mnie jakieś 12 lat, wyrozumiała dla mnie, sama nie mogła poradzić sobie z kryzysem psychicznym. Falami ogarniała ją depresja, wówczas myślała o

samobójstwie. Popełniła je w zeszłym roku, zostawiając nas w smutku i niemocy. Zdążyła odstawić lekarstwa, ponieważ czuła się świetnie. Jak się okazało, leki i następna terapia była jej bardzo potrzebne, tylko nikt jej tego nie uświadomił. W samotności, z własnymi lękami, urojeniami weszła pod autobus, nie zastanawiając się, że robi krzywdę kierowcy, rodzinie, znajomym, w tym mnie, bo czułam się winna swojego niedopatrzenia. Zbyt mało uwagi jej poświęciłam. Co zrobiłaś B...a?

Temat rozwodu przewijał się wcześniej często w naszym związku małżeńskim, relacje były mocno nadszarpnięte, w ów czas postanowiliśmy, że nie rozstaniemy się ze względu na dzieci. I nastąpiła zmiana. Wiecznie uciekający do swojego świata mąż, stał się domatorem. Podczas mojej nieobecności nawiązał kontakt z dziećmi, przejął obowiązek chodzenia na wywiadówki, co wcześniej było nie do pomyślenia. Wstydem dla niego był kiedyś spacer z wózkiem dziecięcym. Doznałam szoku, kiedy powiedział pani psycholog na spotkaniu, że... zachorowałam przez niego. Wspomnił, że miałam trudne dzieciństwo i nie opiekował się mną tak, jak powinien. Przyznał, że za mało czasu z nami spędzał. Nie chciałam, żeby brał całą winę na siebie, ale doceniłam jego szczere wyznania. W szpitalu dowiedziałam się, że mam „głosy” i jestem chora. Nie mogłam męża obarczać istniejącymi predyspozycjami do choroby psychicznej. Do tego „głos” uświadomił mi od razu o swojej wielkości, mocy, którą posiada. Jesteśmy marionetkami w teatrze zwanym życiem. Moje przekonania są silne i lekooporne. Od kilku lat biorę ten sam lek psychotropowy, abilify i... jestem szczęśliwa, ponieważ ostra psychoza nie powtórzyła się. I mój żal zelżał.

Wybaczyłam wszelkie winy mężowi, ojcu i wszystkim świętym.



"Inna"

Gdańsk, jesień 2017

Rozdział II- Dźwięk ciszy

Przyjaciele

Po trudnym dzieciństwie, za to szczęśliwa dzięki własnym dzieciom, przyszedł czas na przyjaciół. Mam ich. Spośród chorych. Nieoczekiwanie nastąpił wysyp dobrych, nie wymagających ode mnie wielkiego trudu, deklaracji, lojalności, wspaniałych ludzi.

Wierzę, że czuwa nade mną nieżyjąca przyjaciółka, to ona sprawiła, że dobre dusze, z przyjazną aurą otaczają mnie obecnie. Chcą ode mnie tylko jednego, żebym po prostu była. Dobrze, że jesteś- słyszę, zwłaszcza gdy wracam do zdrowia po pomniejszych psychozach, ta ostra sprzed lat, nie powtórzyła się.

Innym razem usłyszałam od przyjaciela zapewnienia, że jestem „jakaś”, mam charakter i osobowość. Podniósł mnie na duchu tym stwierdzeniem, gdyż po dłuższym

oddziaływaniu głosu miałam obawy, że straciłam poczucie własnego ja.

Co robię po próbach odłączenia mnie od świata, by szybko wrócić pomiędzy przyjaciół, a także do rodziny, aby nie zatruwać im życia? Ano wystarczy, że pomyślę na przykład o spotkaniu, które najczęściej organizuje przyjaciółka w czasie wizyty w Polsce (mieszkająca i pracująca zagranicą). Ona daje mi dużo sił, rad, ciepła. Powoduje u mnie motywację, by stawać się coraz lepszym człowiekiem. Po prostu jest serdeczna.

Siedzimy z grupą najczęściej w jakiejś kawiarni lub „pubie”, czasem u mnie w domu i możemy do woli rozmawiać o swoich problemach, dokonaniach, małych i dużych sukcesach.

W naszym przypadku sukcesem może być właśnie samo wyjście z domu lub uzyskanie pracy albo zdobycie przyjaźni drugiego człowieka, nawet miłości. O tę najtrudniej każdemu, niewiele osób może pochwalić się związkami małżeńskimi lub partnerstwem.

Do przyjaciół zaliczam też męża. Pomimo trudnych sytuacji, piętrzących się problemów, w tym okres z moją chorobą, przebrnęliśmy przez życie już 35 lat. Poznaliśmy się, będąc bardzo młodzi. Zakładając, że trzeba żyć tu i teraz oraz patrzeć w przyszłość nie oglądając się za siebie... ech to mi nie wychodzi za bardzo, ale stwierdzam, że idzie nam nieźle...

Nowi przyjaciele mają większe znaczenie dla mnie, niż starzy, dobrzy znajomi, więc moi najlepsi to obecnie schizofrenicy, ludzie chorujący na CHAD, borderline, po kryzysach. Skąd u mnie taka zmiana? Nie mam cierpliwości do ludzi zdrowych? Denerwują mnie ich problemy? Nie przyswajam ich? Nie! My mamy te same kłopoty z tym, że ciut więcej rozkminiamy, czy nie narażamy się na śmieszność, ale poza tym każdy ma jakiegoś bzika.

Tych zdrowych psychicznie mam kilku, bo nigdy nie byłam zbyt towarzyska. Pozostali przy mnie, pomimo choroby dlatego, że znali mnie wcześniej i radosną, i smutną, i może lekko dziwaczną.

No! Ale i tak wolę chorych towarzyszy niedoli. Umiemy się wzajemnie pocieszać, rozśmieszyć, rzadko mamy tematy tabu. Rozmawiamy o wszystkim, krytykujemy się szczerze i otwarcie, z rzadka obrażając na siebie. Bez skrępowania wymieniamy swoje doświadczenia, czujemy się bardziej rozumiani. Mamy potrzebę takich rozmów o wszystkim i o niczym. Wszystkim jest obecnie choroba, ona decyduje o naszych wyborach i możliwościach.

Wiem, że niedobrze jest wtedy, gdy chorzy stronią od normalności. Trzeba polepszać sobie jakość życia i nie robić uników przed światem, przełamywać swoje lęki i wychodzić z tego kręgu wzajemnej adoracji. Jednak czuję żal do ludzi, którzy nie chcą się do nas przyznać, którzy boją się takich jak my, uważając nas za niepoważnych lub co gorsza groźnych i nieprzydatnych społeczeństwu.

Mam jeszcze czat Pięknego Umysłu skupiających ludzi chorujących psychicznie, a także po kryzysach oraz członków rodzin chorujących. Zajmują się nim admini, którzy ciągną ten ambaras na Wortalu Pięknego Umysłu, wkładając dużo energii, czasu i pewnie nie raz nerwów. Bo jak pogodzić dużą społeczność. Trzeba czasem stanąć ponad podziałami, mieć charyzmę i samozaparcie w realizacji projektów. Nie rezygnujcie tylko, taki mały apel, by dodać Wam sił. Jesteście nam chorym niezbędni, byśmy mogli organizować się, skupiać jak największą liczbę potrzebujących i przełamywać lęki zwykłych ludzi. Niech nas na początek traktują z przymrużeniem oka, chociaż nie lubię tych uśmieszków, byleby nie bali się... bo załamania nerwowe są coraz częstszym zjawiskiem, mogą prowadzić do choroby psychicznej i grożą każdemu.

Na czacie nie ma barier wiekowych. Nie muszę ukrywać, że niedługo zostanę babcią :-)) Nikomu nie przeszkadza, że obecnie jestem najstarsza na czacie :-)) Wszyscy są równi sobie. Rozmowy o chorobie, o radzeniu sobie w życiu zbliżają nas do siebie.

Od czasu, gdy weszłam do tejże społeczności, byłam trzy razy na zlotach Pięknego Umysłu. Stałam się bardziej aktywna i radosna. Stawiam się na każde spotkanie. Co kiedyś było dla mnie trudne, teraz stało się normalnością. Potrzebne mi kontakty z ludźmi, bo ich lubię pomimo choroby i sporego wycofania z życia towarzyskiego.

Pielęgnacja schizofrenii

Zastanawiam się, czy pisząc na temat schizofrenii, myśląc o niej, czytając informacje na jej temat, wreszcie kontaktując się z gronem osób podobnie chorujących jak ja, nie pielęgnuję jej w sobie. Po pewnej wymianie zdań na czacie dwóch adwersarzy naszły mnie myśli, że być może tak jest w rzeczywistości. Jeden krytykował drugiego za to, że ten zbyt dużo mówi o chorobie, o odrzuceniu społecznym, utwierdzając się w tym, że jest bardzo, bardzo chory. Trzeba iść do przodu zalecał optymista, co to znaczy...?

Czy można się uwolnić od choroby psychicznej? Podczas gdy ona już jest głęboko rozwinięta i decyduje o naszej teraźniejszości i przyszłości.

Byleby nie odstawać od społeczeństwa, mamy wszystko robić, by nie

być wyrzuconym poza nawias tegoż.

Tylko nie być dziwnym, bo Cię wyśmieją, nie będą brać na poważnie, nie przyznawać się do choroby, bo Cię do pracy nie przyjmą. Zaczyna mnie to irytować, gdyż takie zachowanie jest samo w sobie schizofreniczne.

Nie pozwala mi na bycie sobą. Doprowadza do fazy, w której każą mi kryć się ze swoją przypadłością i potęguje objawy chorobowe. Mam tzw. głósy, a właściwie jeden, dominujący, komentujący. Sprawia on, że nie mam czasu dla siebie zbyt wiele, słucham go i gdy jestem sama ciężko mi cokolwiek zrobić. Zagłuszam go pisząc lub rozmawiając z innymi, ale ciężko mi ukryć przed światem jego istnienie. Po prostu mówię o nim, nie z nim... na to mi nie pozwala i nie naraża na śmieszność. Dobrotliwi ludzie radzą mi: nie słuchaj go, przegoń, z lekka się uśmiechając.

Trudno mi zapomnieć o nim i o chorobie tym bardziej, że zauważyłam w otoczeniu pewną modę...

Byłam z koleżanką w podróży pociągiem. Przed nami siedział niepełnosprawny, o którego personel dbał i pytał często, czy czegoś nie potrzebuje. Tenże pasażer bawił się przez większość czasu, słuchając e-booka zaśmiewał się serdecznie. Dopiero gdy wstał z zamiarem pójścia do WARS-u, ujrzałyśmy, że ma łaskę niewidomego. Świetnie sobie radził, poszedł sam. Po powrocie nawiązał z nami rozmowę. Miał szeroką wiedzę na każdy temat, którego się podjęliśmy. Jeden z wątków, akurat politycznych podsumował stwierdzeniem, że ktoś lub coś jest schizujące... i zawiera elementy dualizmu. Domyślałam się, że był zdrowy psychicznie i wykorzystywał pewne terminy medyczne, by podkreślić czyjeś

zachowania. Uśmiechnęłyśmy się z koleżanką, obie chorujące na schizofrenię... Nie miałam żalu do niewidomego pasażera, że tak powiedział, bo większość ludzi często myli pojęcie dwoistości natury, dobra i zła ze schizofrenią. Tak, jakbyśmy my byli przykładem dla społeczeństwa tylko ciemnej strony ludzkiej psychiki, której trzeba unikać, tego zła. To tak potocznie doktor Jekyll i pan Hyde, podwójna osobowość- dwulicowa osobowość... w odniesieniu do polityków ma rację bytu, bo sami siebie podejrzewają o rozdwojenie jaźni. Do tego żyją w innym świecie.

Ponieważ nie jestem ani politykiem, ani nie znam się na medycynie, ani na filozofii powiem od siebie: nie chcę pielęgnować schizofrenii, ale tkwiąc w niej, bronię się przed złym światem, a politycy niech się odcepiają od tego sposobu wyrażania się. Niech sobie znajdą inne obelgi na siebie.

Z kolei latem byłam na zjeździe rodzinnym- weselu. Tam kuzyna żonie, nie wiedząc czemu wydawało się, że będzie taka „cool”, fajna i wyluzowana, jeśli będzie o kimś, kto nie domaga psychicznie mówić: niepełnosprawny.

Zbyt często używała tego słowa i już mi się nie chce tego komentować... Wiem, że nie urodziłam się z matołectwem, nie jestem idiotką i nie mnie miała na myśli... a więc kogo?

Chyba coraz częściej mnie boją różne określenia... pospolity gamoń już wyszedł z użycia.

Wracając do mojego osobistego podejścia, nie wyrzeknę się choroby. Nie będę udawać, że jestem zdrowa, a pielęgnować chcę przede wszystkim

przyjaźnie i pozwolę innym, by dbali o mnie.

W dźwiękach ciszy

Życie mi ucieka przez palce. Ktoś by powiedział, że z wiekiem spowalniamy tempo. Że nie potrzebujemy tylu wrażeń, bodźców, fantastycznych przeżyć. Zagalopowałam się w wyliczaniu potrzeb. Jednakże czuję, że przez „głos” tracę czas. Nadal nie mogę czytać, zapoznawać się z tak zwaną kulturą masową. Filmy, teatr, muzea są dla mnie zakazane. Radio wyłącznie z muzyką, bez wiadomości ze świata mogę włączyć, na to „on” zezwala.

Już nie mam także wrażenia jakobym była w „złotej klatce”, „on” przestał mnie chronić. Już nie jest mi zielono...

Dużo kłopotów narosło: zdrowotnych, rodzinnych, finansowych, zbyt poważnych, żeby nie reagować na nie.

Leki inaczej działają po latach pomimo albo właśnie dlatego, iż biorę od lat ten sam neuroleptyk. Już nie jestem tak bardzo znieczulona. Znowu zaczęłam się nadmiernie przejmować. Problemy zmuszają mnie do samodzielnego myślenia, działania, bo coś trzeba z nimi zrobić, najlepiej rozwiązywać je. Wydawałoby się, że mając takie bodźce moje życie stało się intensywniejsze. Jednakże skutkiem tych przeżyć jest, jeszcze niedawno aktywniejszy niż zwykle „głos”. Był on jakiś czas, miesiąc, może dwa przykry.

Być może jest echem tego, co mi się przydarza. Ale nie wiem po co mi wiedzieć rzeczy, których nie jestem w stanie sobie przypomnieć przez to, że byłam w katatonicznych stanach ponad trzynaście lat temu i dawniej! Bo właśnie takowe mi opowiadał przez ten czas. Wydarzenia tuż sprzed psychozy (tej ostrej) relacjonował mi zawzięcie, maniakalnie, bez skrępułów. Jeden wniosek mi się nasunął, że powinnam je spisywać na potrzebę jakiegoś serialu. Nasuwał gotowe zdania co, kto powiedział, jak zareagował, trzymając mnie w stanie permanentnego napięcia.

Zrozumiałam tyle, że dotknęła mnie częściowa stygmatyzacja, ale i odrzucenie w wyniku moich zachowań, a później z powodu samej nazwy choroby, która brzmi groźnie. Napiętnowanie a to przez niektórych znajomych a to niektórych członków rodziny. Ona jest dziwna, nie ma o czym z nią rozmawiać! Tak powiedział kiedyś ojczym o mnie. Zauważyłam też popłoch, gdy cokolwiek wspomniałam o głosie lub ogólnie o mojej chorobie... jakby to był temat tabu. To tak jakby chcieli powiedzieć: najważniejsze, że bierze leki, nie powinno być z nią większych problemów i najlepiej niech siedzi cicho.

Ze wszystkich mi znanych zdrowych psychicznie tylko parę osób i mąż pozostali opoką w kwestii poszanowania chorujących psychicznie, ale i tak do końca nie ufam mu. Boję się, że wraz z innymi może wyśmiewać mnie, moją chorobę, moje reakcje, zachowania. Może to być efekt zmęczenia faktem, że tak długo to trwa i nie widać końca. Do tego narastające problemy życiowe dotyczą również mojego męża. A i dar do wyolbrzymiania niektórych spraw dotyczy nie tylko mnie, ale i jego.

Tak wygląda atmosfera w moim najbliższym otoczeniu. A co będzie się działo po śmierci prezydenta miasta Gdańska Pawła Adamowicza. Szalony nożownik, tak napastnika nazwano w mediach, zadał mu kilka ciosów nożem podczas finału WOŚP tuż przed wysłaniem „Światełka do Nieba”. W wyniku odniesionych ran prezydent, pomimo wielogodzinnej operacji zmarł.

Odszedł dobry człowiek, uszło z niego życie. Życie, które poświęcił służbie społecznej.

O „mowie nienawiści” dużo się mówi teraz w mediach, a lekarze stwierdzili u tegoż napastnika schizofrenię paranoidalną. Tak jakby ta diagnoza najbardziej pasowała do sytuacji. Czy nienawiść zostanie częściowo skierowana na nas chorych, czas pokaże wkrótce. W każdym razie poczułam się jak psychopatka z sadystycznymi skłonnościami. Otrzymałam zimny, wręcz lodowaty prysznic, przesywający na wskroś. Przestałam błędzić myślami, które nasuwał mi „głos” wokół dawnych spraw, nic niewartych, nieważnych, trujących.

Nagle otrzeźwiałam, wyostrzyłam zmysły na dzisiejszy, ważny dla mnie problem- stygmatyzacji osób chorych psychicznie i degradacji nas w społeczeństwie.

Moja refleksja, od której zaczęłam pisać ten rozdział nad marnowaniem życia przeze mnie, nabrała innego sensu.

Włączyłam radio Gdańsk o 5:00 rano i słuchałam dobrych wspomnień o prezydencie, przy wtórze nostalgicznych piosenek, skłaniających do refleksji na temat kruchości życia, godnej śmierci, uszanowania czyjegoś życia.

Na jednym z portali internetowych znalazłam utwór muzyczny The sound of silence Paula Simona w wykonaniu Davida Draimana z zespołu Disturbed. W Gdańsku na wiecu przeciwko nienawiści i przemocy tę piosenkę puszczono z głośników. Z początku cicho, potem coraz dobitniej, heavy metalowy głos Davida a'capella przesywał ciszę z ogromną siłą. Głos, który przebił się do Nieba... ale i na Ziemi spowodował poruszenie, abyśmy nie zastygli w milczeniu wobec zła i obojętności. Dla mnie wystarczy choćby jeden głos sprzeciwu w ciszy, która potrafi zmrozić lub uspić ludzkie serca. Tym razem było inaczej. Zgromadzony tłum oniemiał ze wzruszenia. Niesamowite wykonanie utworu na zawsze będzie mi przypominać postać uśmiechniętego, dobrodusznego Pawła Adamowicza.

Powszechna psychoza

Po tragicznej śmierci Pawła Adamowicza zarząd Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego wydał oświadczenie z apelem, by nie utożsamiać przemocy i zbrodni z zaburzeniami psychicznymi. „Agresja, nienawiść czy chęć odwetu nie znają podziału na chorych i zdrowych i są znane wielu osobom”.

Krzywdzące dla chorych jest kojarzenie związku pomiędzy chorobą a takim przestępstwem jak morderstwo. Może to przyczyniać się do stygmatyzacji i utrwalania strachu w społeczeństwie. Wiem coś o tym, bo moim narzędziem ewentualnego zamachu na czyjeś lub swoje życie miał

być pilnik do paznokci. Przy eskorcie policji odstawiono mnie po raz pierwszy do szpitala. Byłam w stanie ostrej psychozy, należało mi się. Zdążyłam zauważyć przy tym, że nie tylko ja byłam w takim stanie, strach zasiany przez męża spowodował ogólną psychozę domową. Musiał kłamać ile wlezie, że jestem groźna, byleby mnie tylko zabrali. Robił wywiad z dziećmi. Przypomniało mi się jak syn do mnie mówił: po co ci ten pilnik, mamó. A ja odpowiadałam nonszalancko, że jak chce, to niech wbije go w mój brzuch... chciałam tylko, żeby się mnie nie bał, ale stało się inaczej. Zabrnęłam w gorączce psychotycznej za daleko. Przyczyniłam się do wywołania strachu u dzieci. Wygłaszałam też inne brednie. Mówiłam coś o znajomościach w radiu Gdańsk i że mogę załatwić pracę mojemu zięciowi-dziennikarzowi świeżo po studiach. Nałożyłam sweter z nietypowym kołnierzem w kształcie kryzy i orzekłam, że teraz wyglądam jak królowa angielska. Pielęgniarzowi bardzo się spodobało te porównanie i również mnie spytał: ale do czego pani ten pilnik potrzebny? Mąż rozdmuchał te zajście z synem do niebotycznych rozmiarów. Sędzina w sprawie o zasadność umieszczenia w szpitalu psychiatrycznym wymieniła te narzędzie jako dowód niedoszłej zbrodni. A ja naprawdę tylko paznokcie nim szlifowałam. Nie odwołałam się od orzeczenia, byłam zdruzgotana. Ja? Niebezpieczna? Czy mam się SIEBIE bać?! Na tak postawione pytanie dwa lata temu, grupa i lekarz prowadzący grupę terapeutyczną roześmiali się. Poznali mnie jako cichą myszkę, lekko nieufną, niezdolną do zrobienia komuś krzywdy.

Pytanie- czy te oczy mogą kłamać? Zniewolona przez głos, nie wiem do czego jestem zdolna. Prześladowuje mnie myśl, że mogę być zagrożeniem.

W szpitalu na psychoedukacji dowiedziałam się, że mały jest odsetek

chorujących psychicznie popełniających przestępstwa w porównaniu z ludźmi zdrowymi. Tylko gdzie jest ta granica dzieląca nas od zdrowego społeczeństwa. Dzisiaj każdy oskarżony w sprawie sądowej może być kierowany do psychiatry i dostać orzeczenie chorego.

Muszę ufać mojemu „głosowi”. Jestem jaka jestem. Ze stwierdzoną schizofrenią paranoidalną już dawno przekroczyłam tę granicę, ale mam nadzieję, że nigdy nikomu nic złego nie zrobię...

Ochrona zdrowia psychicznego

Ostatnio na wizycie u lekarza usłyszałam, że zawsze będę mieć ten „głos”. A to z powodu nieprzepracowanych problemów z przeszłości.

Przeczytałam wywiad z dr Tomaszem Witkowskim, do którego link znalazłam na forum Pięknego Umysłu odnośnie terapii i dużo do myślenia mi dało stwierdzenie specjalisty, że nie wszystko np. z dzieciństwa trzeba przerabiać, przepracowywać... „, bolączki z tego okresu (o ile nie miały charakteru wieloletniej traumy) przekładają się na dorosłe życie w mniejszym stopniu niż wydarzenia z ostatniego roku...”

Ciągłe drażnienie starych tematów może być szkodliwe i utrudnia pójście naprzód.

Mnie jest potrzebna terapia, bo nigdy nie omawiałam ich szczegółowo z terapeutą. Do tego wyrzucam jak wulkan przed erupcją: niespodziewanie

i nie wiadomo w którą stronę.

Pociesza mnie inna sprawa.

Na drzwiach gabinetu lekarskiego znalazłam naklejony afisz z projektem, który stworzyło miasto Gdańsk, wraz ze stowarzyszeniami, fundacjami i moją przychodnią. Projekt polega na ochronie zdrowia psychicznego na zasadzie: być bliżej pacjenta. Na ten cel miasto otrzymało 9,5 mln zł . Stwarza on wielkie możliwości pomocy.

Mam nadzieję, że przybędzie fachowych terapeutów, psychologów i w każdej chwili będę mogła skorzystać z terapii.

Jeszcze inną dobroczynną rzeczą jest aktywność. Będąc aktywna- jestem szczęśliwa.

Wszystko sprowadza się do jakiegokolwiek aktywności: zawodowej, umysłowej, fizycznej, jakie tam jeszcze są, tylko nie sportowej. Taka jawi mi się jako wyczyn i już dawno przerasta moje siły. Powolny spacer jest na miarę moich możliwości.

Kiedyś, dawno temu, gdy się zdenerwowałam, brałam się wtedy za fizyczne prace, najczęściej porządkowe. W moim mniemaniu to też pewien rodzaj aktywności- wyzycie się. Tak po babsku, zdarte paznokcie, urobiona po łokcie, po pachy, ale szczęśliwa. W wirze pracy mogłam zapomnieć na chwilę o emocjach. Potem okazywało się , że problem zniknął, oswoiłam się z nim lub inaczej odczuwałam jego wagę i na trzeźwo pozwalał na rozwiązanie tegoż.

Teraz rzadko się denerwuję, leki mnie lekko otumaniają. Czasem wykrzyczę, co mi leży na sercu, jednakże przeważnie wszystko się dzieje

po cichu, w mojej głowie.

Ile rzeczy mogłabym zrobić jeszcze, gdyby głos mi pozwolił.

Moim marzeniem było przeczytanie z pół biblioteki największej w mieście, a teraz nie czytam nawet tych, które zgromadziliśmy z mężem.

Innym, takim cichym zadaniem, które sobie kiedyś wyznaczyłam, to pomoc chorym dzieciom. Teraz ograniczam się do wysyłania sms'ów dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Jest jeszcze dla mnie jedna opcja... stowarzyszenie Pięknego Umysłu. Jeżeli powstanie złożone głównie z członków spośród nas chorych, to byłaby piękna sprawa... dawałaby mi poczucie przydatności w społeczeństwie, gdyż działanie na rzecz potrzebujących ochrony zdrowia psychicznego, przyniosłoby mi dodatkowe spełnienie w życiu.

"Inna"
Gdańsk, zima 2019



KONIEC

© Copyright: @szarymotel
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Cykl myśli z głowy, czyli z niczego. Wspomnienia i życie teraźniejsze okraszone realizmem, wartkim piórem i głębią przemyśleń „Tamtej dziewczyny”, która gdzieś za siódmą górą piszę do nas z głębi jej serca, czyli z czegoś wielkiego.



Parę myśli stąd.
[Tamta dziewczyna]

Gdańsk 2017

Początek

Czułam się źle, nie wiedziałam dlaczego, ale pewne objawy zmusiły mnie do kontaktu z lekarzem rodzinnym. Lekarka bardzo sympatyczna podała mi chusteczki, coś jej tam opowiadałam, otarłam łzy i wyszłam z receptą na leki na nerwy. Nic więcej nie dało się zrobić, wybuch musiał nastąpić....

Początek choroby był właśnie jak wybuch wulkanu. Wszystkie tłumione złe myśli, wspomnienia, porażki, tęsknoty i echa ostatnich dni tamtego lata w końcu eksplodowały.

Nie pamiętam jak długo nie spałam, może nawet 4 dni z rzędu. Bardzo chciałam zasnąć, byłam zmęczona, ale ciągle przeszkadzały mi myśli, które nie dawały spać. Kilka dni wcześniej zaczęłam korzystać z Internetu w kafejce internetowej, nawiązałam kontakt z pewnym chłopakiem. Na nieszczęście miałam jego numer telefonu i w chwilach totalnego braku kontaktu z rzeczywistością dzwoniłam. Na szczęście nie pamiętam, o czym mówiłam.

Lepiej nie pamiętać pewnych rzeczy. Ani wygadywanych w psychozie bzdur, ani jeszcze gorszych myśli, które nie mają końca.

Mama widząc, co się ze mną dzieje obiecała, że zabierze mnie gdzieś, gdzie mi ktoś pomoże. Ja też czułam, że „trzeba mnie naprawić”. Potulnie pojechałam z nią do najbliższego szpitala psychiatrycznego, gdzie...nie chciano mnie przyjąć. Położyłam się więc na podłodze i darłam się, że chcę spać. Nie miałam jednak skierowania na oddział, choć ewidentnie było widać, że oto świruję. Ubłagana przez mamę, jednak podniosłam się. Ktoś

tam krzyczał, że jestem gówniarą, tak jakbym robiła im na złość. Obiecałam sobie wtedy, że to kiedyś opiszę. Co zabawne, nawet im to chyba wykrzyczałam.

Było lato 2000 roku, od miesięcy przestrzegano przed awarią komputerów, tymczasem ja wówczas 22 –letnia dziewczyna przestałam spać i jeść, zapomniałam jaki jest dzień. Problem roku 2000 okazał się problemem z moją głową, przełomowa data od której wszystko się zaczęło.

Studiowałam zaocznie prawo, byłam właśnie po udanej i wyczerpującej sesji. W sierpniu zaliczyłam pieszą pielgrzymkę do Częstochowy. Wróciłam zmęczona psychicznie, ale jednak dumna z siebie. Modliłam się o pomoc i wierzyłam, że będzie dobrze. Tymczasem zachorowałam tuż po powrocie, a może chorowałam już wcześniej... ?

W końcu znalazło się miejsce, gdzie mnie przyjęli. Pamiętam, że nic już nie mogłam mówić, nie wiem nawet, czy wiedziałam jak się nazywam. Ani gdzie jestem, ani kim jestem.

Odleciałam.

Szpital

Podobno nadal nie spałam, ganiałam pod oddziałem, krzyczałam, nie jadłam, przez co wylądowałam nawet pod kroplówką. Pierwszy miesiąc pobytu po prostu zapomniałam. Przy wsparciu rodziny zostałam wypuszczona na przepustkę, żeby móc wziąć udział w zajęciach na studiach. Szczęśliwie szpital mieścił się w tym samym mieście. Szybko

jednak dotarło do mnie, że nie dam rady się uczyć. Wzięłam urlop dziekański.

Spędziłam w szpitalu 4 miesiące. Problemem były trudności z doborem leków. Nie napiszę tutaj nic szokującego na temat szpitala. Miałam wtedy takie wizje, że prawie nie wiedziałam, gdzie przebywam. Myślałam, że latam, albo, że mam nadprzyrodzone siły. Nie było w tym jednak żadnej poezji, z którą niektórzy mogą utożsamiać psychozę. Potargane włosy, szlafrok, obłęd w oczach i totalny brak umiejętności zadbania o siebie. W początkowym okresie sama nie potrafiłam się nawet umyć.

Żyłam w swoim świecie i pomału przypominałam sobie najprostsze czynności. W końcu zaczęłam normalnie jeść, co ciekawe nawet wtedy pamiętałam, że od 14-go roku życia nie jem mięsa. Ku radości innych pacjentów oddawałam im mięsne kaski z ubogiego szpitalnego obiadu. Nie pamiętam, kiedy zmieniłam zdanie i olałam krzywdę zwierząt, przestałam być wegetarianką.

Był to pierwszy krok oddalający mnie od tego kim byłam przedtem. Wróciłam do domu grubsza o ok. 15kg i nadal tyłam. Pechowo tyłam prawie tylko na brzuchu, wyglądałam więc jak kobieta w ciąży. Wielu moich sąsiadów było wtedy przekonanych, że zniknęłam właśnie z powodu ciąży. Trudno było wyprowadzić ich z błędu, nie mówiąc jednocześnie o chorobie. Choroba psychiczna była przecież przypadłością, którą się nie chwali.

Zażywałam też mnóstwo leków, jednym z ich skutków ubocznych była ogromna senność. W ciągu dnia spałam ponad 3 godziny, a budziłam się mokra od śliny – efekt Klozapolu. Mama widząc, że moje życie

pozbawione jest jakiegokolwiek aktywności zdecydowała się podłączyć Internet. Nie była to wtedy tania sprawa, ale muszę powiedzieć, że była to jedna z najlepszych decyzji, jaką wtedy mogła podjąć.

Przyjaciółki, całe dwie na ten moment straciłam. Zostałam tylko ja, pies i choroba. Brat i mama, ale oni byli obok już wcześniej.

Nie wyszłam ze szpitala uleczona, zdecydowanie potrzebowałam jeszcze pomocy. Kolejnym etapem były dojazdy 20 km dalej do pobliskiego oddziału dziennego. Nadal wszędzie widziałam rozmazane i złe twarze, moja twarz z kolei nie wyrażała już niczego. W dodatku gdzieś znalazłam bardzo ciemną pomadkę, którą malowałam usta. Chyba było to modne wtedy, ale mi nadawało upiorny wygląd.

Nie myślałam wtedy w zasadzie o niczym, nie miałam planów na przyszłość. Psychoza trwała, może w mniejszym nasileniu, ale ciągle coś mi się „wydawało”. Przełom nastąpił dopiero w Wielkanoc...

Ja i Bóg

Jestem i byłam osoba wierzącą. Chodziłam na msze nawet w szpitalu, było to zdaje się w czwartki, a może inny dzień tygodnia... Jak pisałam wcześniej wybuch nastąpił po powrocie z pielgrzymki. Wróciłam rozdrażniona, ale też uduchowiona. Często potem w szpitalu myślałam, że nadal jestem na pielgrzymce, albo że jestem święta, trudno z perspektywy czasu powiedzieć. W każdym razie urojenia miały ślady mojej religijności.

Po powrocie do domu w tej kwestii nic się nie zmieniło. Nie obraziłam

się na Pana Boga, mogłam zadawać sobie pytanie „dlaczego ja” chociaż raczej byłam wtedy jeszcze zbyt mało racjonalna, by o tym myśleć.

Nadchodziły Święta Wielkanocne. Brałam wtedy udział w uroczystościach Triduum Paschalnego, byłam więc w Kościele kolejno w Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę. Ciągłe w tłumie widziałam same „złe twarze”, trudno to wyjaśnić, ale każda twarz wydawała mi się zmieniona, bałam się.

Z soboty na niedzielę miałam sen. Śnił mi się kościół, nagle przebudziłam się (a może nadal spałam?) i obok siebie zobaczyłam okropną postać, nagle postać zniknęła, a ku sufitowi odleciał czarny dym. Od tamtej pory, miewałam dziwne sny z czarnym dymem, czytałam też o paraliżu przysennym, ale dla mnie wtedy i nawet teraz tamta noc okazała się jednak przełomem.

W Niedzielę Wielkanocną nie widziałam już „złych twarzy”. Co więcej zastanawiałam się nad tym, jak ja w ogóle mogłam tak myśleć. Nagle zaczęłam patrzeć wstecz krytycznie, co wcześniej było przecież praktycznie niemożliwe.

Był to mój pierwszy mały cud. Udało mi się po ponad pół roku wyjść z psychozy. Zaczęłam rozglądać się na nowo wokół siebie i szukać powrotu do dawnego życia.

Nie wiedziałam jednak, że już zawsze będzie inaczej.

Miałam w głowie jakieś informacje, że czasem taki atak psychozy zdarza się raz w życiu i nie wraca. Ktoś mi powiedział, że 10 procent pacjentów wraca do zdrowia. Wierzyłam, że jestem w tej szczęśliwej grupce, sumiennie brałam leki, jeździłam na zajęcia na oddziale dziennym, robiłam wszystko to, czego ode mnie wymagano.

Wcześniej też tak postępowałam. Ambicja nie pozwalała mi na złe oceny, chciałam zawsze być perfekcyjna. Nie potrafiłam być we wszystkim najlepsza, ale w roli wzorowego pacjenta PZP sprawdziłam się doskonale.

Robiłam, co mogłam. Nadeszła depresja popsychotyczna, czułam się samotna. Byłam gruba, nie miałam koleżanek, miałam za to Internet, namiastkę kontaktów z ludźmi.

23 lata, samotność, tęsknota za miłością, kompleksy i nuda – to nie mogło się dobrze skończyć, ale nie było też aż tak źle...

Miłosne katastrofy

Jako dziewczyna wcześniej prawie idealna- nie paląca papierosów, uważając się za pijaną już po jednym piwie, słowem świętoszka, byłam postrzegana za osobę do bólu porządną. W dodatku chodziłam przecież do kościoła, w każdą niedzielę. Koleżanki nie zwierzały mi się ze swoich grzeszków, bo bały się krytyki. W sumie i tak wszystko wiedziałam, bo jedna opowiadała w konspiracji o tym, co zrobiła druga.

Nigdy mnie nikt nie podrywał, nie zapraszał do kina, jedyne zaczepki jakie znałam, to ze strony bandy z osiedlowej ławeczki. Nie byli to dresiarze, ani koksy, zwyczajni chłopacy którzy wykrzykując moje imię, wywoływali we mnie zawstydzenie i poczucie, że oto ktoś mnie wyśmiewa. Wyprowadzałam psa na spacer i zawsze przechodząc koło ławeczki drżałam na myśl, czy mnie zignorują, czy nie. Uważałam ich za

totalnych prymitywów, z uwagi na słownictwo jakim się posługiwali. Musiałam niestety słuchać ich „rozmów”, kiedy zasypiałam, albo próbowałam zasnąć przy otwartym oknie. Ich posiedzenia trwały często do późnej nocy, zwłaszcza w lecie.

Byłam wtedy bardzo nieśmiała, ale dzięki internetowym czatom, zaczęłam w końcu wychodzić. Początkowo nic poważnego, jedno dwa wyjścia do kina, z kimś nowopoznanym. Odnowiłam nawet wirtualną znajomość z kolegą, do którego dzwoniłam w psychozie. Uznałam, że jest fajny. Jednak nie spotkaliśmy się, wtedy jeszcze nie. Zamiast tego okazało się, że na mojej ulicy mieszka chłopak na wózku, poznaliśmy się na gadu gadu. Uznałam, że to bez sensu rozmawiać z kimś kto mieszka kilkanaście metrów dalej i doszło do spotkania.

Pocałował mnie i cóż, był to mój pierwszy pocałunek w życiu. Zaczęliśmy się spotykać. Mi nie przeszkadzało, że jeździ na wózku, jemu, że jestem gruba i choruję. Początkowo nie dostrzegałam jego wad, cieszyłam się też z pełnej akceptacji mojej osoby. W domu miałam za to piekło. Negatywne nastawienie mamy, pretensje o późne powroty do domu. Nedorzeczne dla mnie, byłam przecież w wieku, kiedy normalne dziewczyny studiują i robią, co chcą. Dla niej zaś obciachem było to, że sąsiadka słyszy, kiedy wracam. Oczywiście nie akceptowała mojego chłopaka, zanim jeszcze go poznała, bo wiedziała że jest niepełnosprawny.

Całe to zamieszanie wywoływało we mnie bunt. Pomału jednak zauroczenie przestało działać, bałam się jednak zerwania i skrzywdzenia drugiej osoby. Czułam się źle, ale wiedziałam że chłopak po podstawówce, którego bardzo mała wiedza o świecie była żenująca, nie jest tym kimś, kogo szukałam. Uważasz kogoś za kretyna, to nie zastanawiasz się czy jest

sprawny czy nie, po prostu nie chcesz z nim być. W powszechnej opinii jednak zerwałam, bo nie chciałam się wiązać z kaleką. Na szczęście, nie musiałam się tłumaczyć nikomu.

Tymczasem mój dawny i pierwszy poznany w necie kolega zainteresował się mną. Podobał mi się już wtedy, kiedy stał się mimowolnym bohaterem moich urojeń. On też był osobą niepełnosprawną ruchowo, w mniejszym stopniu, ale jednak. Wiedziałam o tym od początku. Zaczęliśmy się spotykać, ale szybko zostałam zraniona przez niego, Mieliśmy się przeprosić, wtedy... spadł ze schodów i się poturbował. Potem, coś tam napisał, że kocha i zawsze będzie kochał tylko swoją byłą dziewczynę. Wcisnęłam przycisk „zablokuj”.

Był jeszcze jeden poważny (tylko dla mnie) związek z osobą zdrową tym razem chłopak, będąc z wizytą u swojej rodziny złamał nogę tak pechowo, że już nie wrócił... a ja czekałam.

Tak mi minęły studia. Czekałam na gościa, który nawet do mnie nie dzwonił. Taka byłam wtedy śmieszna....

Studia i pierwsza praca

Na zajęcia próbowałam chodzić nawet w najcięższej psychozie. Musiałam śmiesznie wyglądać, siedząc w szpitalnym korytarzu i wśród tego całego zgiełku przepisywać swoje notatki. Na sali próbowałam się też uczyć, szybko mi przeszło. Poprosiłam rodzinę o dopełnienie formalności związanych z roczną przerwą.

Dlaczego prawo? Bo nie dostałam się na dziennikarstwo, a dlaczego się nie dostałam? Bo jedynym egzaminem była rozmowa kwalifikacyjna. Nigdy nie miałam nic ciekawego do powiedzenia, wtedy również. Na tablicy wyników w skali 10 –punktowej widniało 2, zdaje się, że wcześniej poprawione z zera (łaskawcy). W tamtych czasach egzaminy na studia odbywały się równolegle, jak się oblało na jakiś kierunek było trzeba czekać praktycznie rok, by zdawać gdzie indziej, bo generalnie było już po egzaminach.

Nie mogłam czekać, musiałam COŚ studiować. Z racji, że ojciec nie żył, miałam rentę rodzinną na czas kontynuowania nauki. Roczna przerwa to coś, na co nie mogłam sobie pozwolić, dlatego wybrałam zaoczne prawo. Szedł tam każdy, kto tylko wpłacił wymaganą kasę.

Pracowałam wtedy za marne grosze jako opiekunka do dzieci, wszystko odkładałam na czesne. Studia prawnicze, jako takie mnie nie interesowały, chciałam je tylko skończyć w terminie, sporo osób bowiem odpadało gdzieś po drodze. Trudny był zwłaszcza 3 rok, na którym postrachem była pewna pani. Do momentu choroby, wszystko szło zgodnie z planem.

Po dziekance również. Przerazona wróciłam do książek, nie wiedząc, czy zdołam pozdawać egzaminy, co więcej czekało mnie przecież napisanie pracy magisterskiej. Ciągłe zażywałam leki, ale nie przeszkodziło to jednak w nauce. Ciekawe, że praktycznie w miesiącu obrony psychiatra pozwoliła mi odstawić leki.

Po obronie odczułam...ogromną ulgę. W swoim mniemaniu byłam przecież zdrowa, skoro nie zażywałam leków, a miałam się zgłosić tylko „gdy coś zacznie się dziać”. Nie wiedziałam co ma się dziać, etap choroby

i studiów uznałam za zakończony.

Miałam kolejny cel, wiedziałam, że renta się skończy, kiedy przestane być studentką, była ona częścią domowego budżetu. Bez tej kasy, nasze finanse czekała katastrofa...Znalezienie pracy tuż po studiach w 2003 roku było, powiedzmy sobie szczerze niemożliwe. Śledząc losy rówieśników, szybko udałam się do Urzędu Pracy, praktycznie sama załatwiłam sobie staż w Urzędzie Skarbowym. Brali wszystkich – po politologii, po politechnice, po administracji i po prawie też.

Stażysta wtedy dostawał bardzo małą kasę, tyle mniej więcej, ile wynosił czynsz za mieszkanie. Wszystko oddawałam mamie, by miała na opłaty. Trafiłam do działu segregatorów, codziennie sphywały dokumenty, należało je układać i wpinać. Często cały dzień tylko to. Wybrańcy mogli adresować koperty. Płakałam w domu, że niczego się nie nauczę. Pomoc przyszła ze strony władzy i mediów. Wchodziły nowe dowody osobiste, media nastraszyły podatników strasznymi karami za niezgłoszenie nowego nr dowodu do US. Przerażeni ludzie tak się przejęli, że pod naszym punktem informacyjnym zaczęły tworzyć się gigantyczne kolejki, druki dosłownie zalały nasz dział.

Ktoś musiał wprowadzać druki do systemu, dodatkowa osoba miała je przyjmować w punkcie informacyjnym. Dostaliśmy nowych stażystów do układania dokumentów. Takim oto cudem „awansowałam” i dostałam login do systemu POLTAX.

Brzmi dumnie, wszystko trwało jednak krótko.

Życie toczy się dalej

Mój staż trwał. Zaprzyjaźniłam się z paniami, ale wśród niektórych stażystów wyczuwalna była wrogość...

Byłam dociekliwa, interesowałam się jakie dokumenty do nas trafiają, dlaczego wymagamy takich czy innych załączników. Kiedy uspokoiło się szaleństwo z dowodami, miałam taką wiedzę, że mogłam sama dyżurować na punkcie informacyjnym naszego działu.

Od września 2003 roku pisałam na gg z pewnym chłopakiem. Kiedyś późną nocą zaczął mnie, bo jak sam potem powiedział, miałam smutny opis. Mieszkał ok. 600 km ode mnie. W pewnym momencie złamałam wszelkie zasady bezpieczeństwa w sieci. Podałam mój swój adres domowy. Od tamtej pory przysyłał mi kartki, z jakimiś motywującymi napisami. Wieszłam je nad biurkiem. Raz nawet zadzwonił, ale nie był wtedy trzeźwy i jedyne co powiedział to „Lubię Cię, lubię Cię bardzo”. Cóż ja nawet nie zadałam sobie trudu, by sprawdzić na mapie gdzie właściwie mieszka.

Nadchodził koniec roku, jak zwykle miałam spędzić Sylwestra z mamą, miałam doła. Napisałam mu o tym, a on zadeklarował, że przyjedzie. Wydawało mi się to dziwne, ale po radzie z mamą i uzyskaniu jej pozwolenia, zaprosiłam go do nas. W pracy pochwaliłam się koleżance, że przyjedzie do mnie chłopak, ale „pewnie będzie głupi”.

Szczerze mówiąc, po tych wszystkich spotkaniach, nie liczyłam już ze ktokolwiek poznany w sieci może być wartościowy. A to jęki, że mam

nadwagę, a to idiotyczne propozycje „seksu jako koledzy”... Byłam zmęczona facetami, którzy szukali super laski, albo przygody.

Rzeczywiście przyjechał. Na moim komunikatorze widniał jako „M. z daleka”, nagle stał się realny. Stał w drzwiach z bukietem kwiatów. Była środa 31.12.2003 roku, miał zostać do następnego dnia.

Przesiedzieliśmy całą noc słuchając radia i rozmawiając. Zaczynał mi się podobać, ale troszkę mnie zmylił, kiedy o północy życzył mi „żebyś sobie kogoś znalazła”. Na drugi dzień, poprosiłam mamę by jeszcze został, przecież mógłby mieć problemy - 1 stycznia komunikacja gorzej działa... Właściwie to został aż do niedzieli.

Zaiskrzyło między nami, ale byłam ostrożna i praktyczna, uważałam, że jak mamy się naprawdę spotykać musimy ustalić, jak często. Stało na opcji, że co 3 tygodnie będzie przyjeżdżał. Bałam się bardzo, że może coś mi się wydaje, że dałam się nabrać....

W umówionym terminie przyjechał ponownie, odetchnęłam z ulgą. Od tej pory moje życie dzieliło się na 3 tygodniowe cykle naprzemiennej radości i ogromnej tęsknoty. Byliśmy oczywiście w kontakcie, dzięki Internetowi. Poza tym wysyłaliśmy sobie karteczki z serduszkami, chodziliśmy na randki do chińskiej knajpy, gdzie przy stoliku okrytym poplamionym obrusem serwowano najlepszego kurczaka, jakiego w życiu jadłam.

Wreszcie widziałam prawdziwe zaangażowanie ze strony mężczyzny. Doceniałam to, nie zawahałam się ani przez chwilę, kiedy mi się oświadczył, po zaledwie kilkumiesięcznej znajomości. Pozostało do ustalenia, gdzie zamieszkamy...

Mama i tata

Podjęcie decyzji o tym, czy zamieszkać z mamą, czy wyjechać nie było wcale oczywiste. Mój narzeczony miał dom, pusty w zasadzie w stanie surowym. Mieszkał obok swoich rodziców. Ja mieszkałam w 100-tysięcznym mieście pełnym supermarketów, on na wsi. Ale ja tak naprawdę nie miałam pracy, on miał.

Najbardziej obawiałam się, czy mama poradzi sobie mieszkając samotnie z utrzymaniem dużego mieszkania. Bałam się, że ją porzucam, zdradzam, sama nie wiem. Żeby zrozumieć uczucia, jaki mną targały muszę znowu cofnąć się w czasie.

Do czasów mojego dorastania w domu pełnym codziennych kłótni i awantur. Miałam ojca tyrana. Dorastałam w przekonaniu, że rodzice się nienawidzą. O co oni się właściwie kłócili, trudno powiedzieć. Czasem o niepozamiataną podłogę, o złą minę, o krzywe spojrzenie, o pieniądze. Oczywiście winna była zawsze mama, ewentualnie ja. Zamykałam się w skorupie, coraz mniej odzywałam w domu, w dodatku ojciec urządzał turne po rodzinie i opowiadał jaka jestem niedobra. Zwłaszcza w wieku nastoletnim. Uważał, że się do niego nie odzywam, choć odpowiadałam kiedy pytał. Fakt nie było rozmów. W naszej rodzinie zresztą rozmowy były w ogóle rzadkością.

Pamiętam jak urządził awanturę o pierwszy kupiony przeze mnie sweter w lumpeksie. Był bardzo tani, ale mimo to według niego za drogi. Wpadał w

furie, gdy mama kupowała cokolwiek dla siebie, lub dla nas.

Mogłam mieć góra z 10 lat, kłócili się, a ja siedziałam w swoim pokoju, zatykałam uszy, płakałam, a mój przyjaciel kot lizał mnie po twarzy. Miałam już 16, kiedy ojciec nadal wpadał do mojego pokoju i wyrzucał mi wszystko z szaf na podłogę, bo miałam bałagan. Kiedyś o mało nie przyprowadziłam koleżanki do takiego pokoju.

Leczył się psychiatrycznie, miał depresję. Kiedyś mama wpadła do mnie z rana do pokoju i ze łzami w oczach prosiła, nawet nie wiem właściwie o co, bo ona „jest między młotem a kowadłem”. Co nastoletnia dziewczyna może zrobić w tak chorej sytuacji, by było lepiej? No przecież nic.

Mama zachorowała na raka, brała chemię. Ojciec miał kochankę, dość młodą i chyba nabrała się na gadkę o złej żonie i córce i o tym, jak to tylko pies się cieszy w domu na jego widok. W każdym razie pogubił się strasznie w tym co robi i umarł.

Umarł tak jak umiera się na depresję – odebrał sobie życie.

Mama była w tym dniu w szpitalu, brat w szkole, a ja wróciłam pierwsza. Ja pobiegłam do sąsiadów po pomoc. Było za późno.

Potem wszyscy zaopiekowali się biedną wdową, współczuli przynajmniej, jak to jest w zwyczaju, ale szybko też zaczął się ferment. Tak, tak on nie miał wsparcia w rodzinie, a ta córka...Zawsze znajdzie ktoś życzliwy, kto przekaże to dalej.

Odtąd z mamą trzymałyśmy się razem. Podobno wyciągnęłam ją z „depresji”, jeżeli coś zrobiłam w tym kierunku, to nawet nie wiem.

Miałam tylko ją, w tym momencie wydawałam się silniejsza od niej. Miałam 16 lat, ona 40. Nie byłam wcale silna, ale o tym przecież już wiecie...

Coś się kończy, coś się zaczyna

Podjęłam najtrudniejszą decyzję w życiu. Postanowiłam wyjechać. Zostawić swoje blokowisko i zacząć nowe życie. Brzmi patetycznie, ale tak było. Miałam pozytywne nastawienie. Myślałam że znajoma sąsiadka przyszłego męża, która pracuje w sadzie pomoże ze znalezieniem dobrej pracy (o ja naiwna) albo, że znajdę coś, bo przecież taki rok w US robi wrażenie (głupiutka ja). Wierzyłam, że wszystko dobrze się ułoży.

Tymczasem staż dobiegał końca, miała zostać podjęta decyzja, kto ze stażystów zostanie przyjęty na 3 miesiące, na umowę zlecenie. Byłaby to wisienka na torcie. Wieści o mojej planowanej przeprowadzce rozeszły się wśród stażystek. Jedna z nich była dla mnie szczególnie niemiła, wiedząc że mam szansę zostać zatrudniona. Powiedziała mi wprost, że przecież i tak wyjeżdżam. Zastanawiałam się, z jednej strony potrzebowałam pieniędzy, a z drugiej jeśli coś zataję, mogło być niemiło potem. Każdy liczył, że umowa zlecenie to kolejny etap, potem może zatrudnienie.....

Gryzłam się z myślami i postanowiłam szczerze porozmawiać ze swoją kierowniczką. Poznała moje plany i ku mojemu totalnemu zaskoczeniu zinterpretowała to w sposób dla mnie niesamowicie pochlebny. Myślała, że chcę zrezygnować z szansy na rzecz koleżanki, powiedziała, że nie mogę tego zrobić...Zaskoczona, poczułam ulgę, że oto atmosfera się oczyści. Nie było już tajemnic, a ja wyszłam na super bohaterkę.

Nasze wesele urządzili teściowie. Z racji odległości nie interesowałam się przygotowaniami, nie miałam więc wpływu na nic, co wcale mi nie przeszkadzało. Oboje z M. chcieliśmy tylko jednego - być w końcu razem.

Spakowałam cały swój dobytek do golfa, zabrałam też moją kotkę. Do dziś śmieję się, że ten kot to był mój posag. Po drodze odebraliśmy rasowego psa, o którym marzyłam.

Czy czegoś żałowałam w tamtym momencie? Lubiłam swoje miasto, ale nie dorównywało urodą do okolicy mojego przyszłego miejsca zamieszkania. Nie myślałam jeszcze wtedy, jak będę żyła bez hipermarketów, bez basenu i całej tej miejskiej infrastruktury. Byłam szczęśliwa jak nigdy przedtem i nie zwracałam sobie głowy wizją niedostosowania.

Nie zaprzętałam sobie też głowy bliskim sąsiedztwem teściów. Uważałam, że skoro mieszkamy w oddzielnych domach, nie będziemy sobie przeszkadzać.

O chorobie w tamtym czasie w ogóle nie myślałam. M. znał moją przeszłość, nie stanowiło to dla niego żadnego problemu. Przez ten rok, kiedy regularnie chodziłam do pracy zrzuciłam parę nadprogramowych kilogramów, do ślubu zapuściłam też włosy. Byłam wtedy naprawdę atrakcyjną dziewczyną. Emanowałam też radością. Zapatrzona w ukochanego, nie dopuszczałam żadnych złych myśli.

Co najwyżej, martwiłam się o mamę, jak ona sobie poradzi. Poradziła sobie świetnie. Wbrew pozorom niebawem to ja potrzebowałam jej pomocy.

Kłopoty w raju

Miałam dom, kochanego męża i cudowne widoki, ponieważ zamieszkałam w przepięknym rejonie Polski. Byłam jeszcze wtedy na takim etapie zauroczenia okolicą, że robiłam zdjęcia nawet przez szybę samochodu.

Szybko jednak na tym sielankowym obrazku, pojawiły się rysy. Brzmi to może humorystycznie, ale mój miesiąc miodowy zdominowała.. teściowa. Z racji bliskiego sąsiedztwa była bardzo częstym gościem w naszym domu. Wchodziła bez pukania, ja nie zamykałam drzwi na klucz, żeby nie biegać, co chwilę, ją wpuszczając. Odetchnęłam z ulgą dopiero po naszej pierwszej małej scysji – obraziła się co najmniej na miesiąc. Była to spora odmiana po tym, jak miałam ją na głowie praktycznie codziennie.

Nie miałam więc prywatności, nie miałam z kim o tym pogadać i narastał we mnie mały gniew. Nie chcę tutaj demonizować swojej, w chwili obecnej już nieżyjącej teściowej, ale w tamtym okresie napsuła mi krwi...

Szybko też okazało się, że znać kogoś a ZNAĆ KOGOŚ nie znaczy to samo. Nie było żadnego załatwiania pracy, co więcej kilkumiesięczne poszukiwania nie dawały rezultatu. Zrezygnowana dopiero po roku coś znalazłam.

Oczywiście nie była to praca marzeń. Zatrudniłam się w małej firmie po przejściach. Pod wodzą prezesa, który ciągle żył wspomnieniami o czasach jej dawnej świetności i zastanawiał się, co by tu jeszcze z niej wycisnąć dla

siebie. Dostałam tam zaszczytne stanowisko specja od marketingu. Nie było ulotek, folderów, strony internetowej, niczego... Nie było funduszy na reklamę!

Osiągnęłam jeden „sukces” w swojej dziedzinie. Napisałam maila do projektanta mody X, by zainteresować go naszymi produktami. Odpisał, chciał wziąć kilka sztuk do Londynu, by obejrzeć. Na spotkanie z jego przedstawicielem, który miał zabrać towar wysłano naszego człowieka razem z oświadczeniem, że pod groźbą odpowiedzialności karnej odda te rzeczy. Wystraszony odmówił. Nie podbiliśmy Londynu.

Ciekawe, że prezes nie żałował rozdawania za darmo rzeczy, kiedy Inspektor Pracy kontrolował naszą firmę....

Uczyłam się nowych ludzi i ich dziwnego podejścia do świata. Mentalność typu „co ludzie powiedzą” była tutaj normą. Pomimo, że w moim biurze temperatura spadała nawet do 14 stopni oczekiwano ode mnie, że będę ubierała się jak lalka. Na przekór temu zakładałam ciepłe swetry, niekoniecznie pierwszy krzyk mody. Podpadłam bardzo, personel biurowy patrzył na mnie wilkiem.

Tęskniłam za rozmowami z mamą. Wykorzystywałam cały pakiet w telefonie, by się poskarżyć lub pożalić na coś, co mi się akurat przytrafiło. Firma męża była w upadłości, zarobki skromne, ja pracowałam ledwo na pół etatu. Ogarniało mnie coraz większe przygnębienie.

[_GoBack](#) Smutek spotęgował fakt, że moja pierwsza wyczekiwana ciąża zakończyła się poronieniem. Był to początek 2006 roku, rozpaczałam... Kotka - mój „posag” , miała akurat małe. Pocięchę

znajdowałam w obserwowaniu zabawy małych kociąt. Nie wiedziałam, że mimo wszystko jeszcze w tym samym roku zostanę mamą...

Nie tak miało być

Wiadomość o kolejnej ciąży wywołuje w nas radość, ale jednocześnie obawę, czy tym razem wszystko będzie dobrze. Termin porodu przewidziany jest na czas Świąt Bożego Narodzenia, nie wybiegam tak daleko do przodu. Nadal pracuję, zwłaszcza, że sekretarka opuszcza nas i nie ma nikogo na jej miejsce. Panie zgrzytają zębami, niemodne swetry zamieniam na obszerne ciążowe ubrania...Zdecydowanie niereprezentacyjnie wyglądam, ale za to potrafię znaleźć w necie szpilkę w stogu siana.

Chodzę pieszo do pracy do 8 miesiąca ciąży, na tamte czasy istne bohaterstwo. Mogłabym przecież siedzieć w domu i otrzymywać 100% pensji. Przewornie jednak chcę zachować swoje stanowisko, bo nie wyobrażam sobie innej opcji.

W ostatnim miesiącu byłam często sama, mąż postanowił zmienić firmę. Popołudniami chodził jeszcze na kurs zupełnie nowego zawodu. Był przemęczony, ale zdecydowany odejść ze starej pracy.

Poród zaczął się wieczorem w niedzielę, akurat w dniu kiedy po raz pierwszy w roku nie poszłam do kościoła z powodu złego samopoczucia. W zasadzie to przez całą ciążę czułam się świetnie, dolegliwości typu poranne mdłości całkowicie mnie ominęły.

Byliśmy przygotowani na poród rodzinny. Tak też się stało, dostaliśmy oddzielny pokój z kanapą dla męża, gdzie dużo czasu przespał. Pojechaliśmy wystraszeni odejściem wód, a na miejscu okazało się, że niewiele się dzieje. Był wieczór koło godziny dwudziestej, urodziłam dopiero koło 13-tej następnego dnia. Poród był ciężki, pytano mnie w trakcie czy jedziemy na cesarkę, na szczęście nie było to konieczne.

Zalała mnie ogromna fala szczęścia i miłości. W takim też błogostanie byłam, kiedy zaczęłam zwracać szczególną uwagę na podejście personelu do nas pacjentek. Opryskliwe, aroganckie, popsuły mi najpiękniejsze chwile w życiu. Pojawiły się problemy z karmieniem, żółtaczka u dziecka, dlatego mój pobyt przedłużył się do 7 dni. W tym czasie prawie nie spałam, biegałam do drugiej sali i wyciągałam sama córkę spod lamp, bo nikt tego za mnie nie robił. Denerwowałam się na podejście personelu...Zauważyłam, że organizm wysyła mi pewne sygnały ostrzegawcze... starałam się je ignorować. Zresztą przyjmując się na oddział, nie informowałam o przebytej chorobie. To miało nie wrócić.

Wyjście z tego szpitala było jak wyjście w więzienia. Wyszłam na dzień przed Wigilią. Chciałam wreszcie odrobiny spokoju i odpoczynku. Niestety w dobrym zwyczaju jest odwiedzanie maluszka przez najbliższą rodzinę, a Święta było dla wszystkich dobrą okazją. Znoszę więc te gościnki, nadrabiając miną.

Czuję, że nie daję rady. W 10 dobie po porodzie coś krzyczę w półśnie. Trafiam na rozmowę z psychologiem, ale jest na tyle niekompetentna, że odsyła mnie do domu, bo to hormony itd. Widzi moje wypisy, ale nie uważa, by był powód do niepokoju, a poza tym karmię piersią. Trzeba

dziecko karmić piersią, to jest dobre i zdrowe dla jego rozwoju. Jeszcze w szpitalu mówiono mi „Tym świństwem ze sklepu chce pani karmić”

Niestety nikt nie pyta, co jest dla mnie dobre. Jest mama i mąż, mama widzi i wie, ale ma jeszcze nadzieję. Ja tymczasem pomału...

zapadam się w sobie.

Jednak chora

Niestety, wbrew opinii pani psycholog moje samopoczucie nie było spowodowane spadkiem formy po porodzie, nie był to zwyczajny baby blues. Gdy moje zachowanie przybiera formy ekstremalne, jedziemy do szpitala na IP. Dostaję zastrzyk, pewnie na uspokojenie, krótka rozmowa z psychiatrą i... powrót do domu. Mąż nie wyraża zgody na hospitalizację.

Tym razem zapadam się w psychozę pomału, aczkolwiek w pewnej świadomości, że odchodzę. Mam czas powiedzieć że nie będę wiedziała co robię i mówię, że będę wierzyła w najgorsze bzdury i nie dam się przekonać. To swoiste pożegnanie jest dla nas obojga ciężkim przeżyciem.

Najgorszy moment przychodzi po chrzcie małej. W lutym nie wiem, co robię, zażywam bardzo silne leki, a mimo to nie jestem w stanie opiekować się dzieckiem. Na szczęście jest teściowa i przejmuje opiekę nad córką. Przy okazji pilnuje też mnie, niebawem przyjeżdża mama.

Jest przerażona grymasem widocznym na mojej twarzy, leki są tak mocne, że nie mogę nad tym w ogóle zapanować. Wszyscy korygują moje

dziwaczne przekonania, ale o większości rzeczach nie mówię nawet na głos.

Dostajemy cynk, że lekarz ma przestarzałe metody, gdy zmieniam psychiatrę dość szybko zaczynam czuć się lepiej. Jeszcze przed Wielkanocą mama wyjeżdża. Wracam do samodzielności.

Oczywiście w krótkim czasie zaczynam znowu przybierać na wadze. Jako, że dopiero urodziłam, staję się bardzo tęga. Puchnę.

Pomału dociera do mnie smutna prawda. Nie należę do tej skromnej grupki 10% chorych, którzy tylko raz w życiu mają psychozę. Nie pomyłono się w mojej diagnozie. Problem roku dwutysięcznego nie był tylko jednorazowym epizodem - to schizofrenia.

Nie mam czasu na rozmyślanie, mimo początkowej złości i obwiniania się o błędy. Oczywiście jestem zła, że od razu nie wdrożono leczenia farmakologicznego. Jestem wściekła na oddział położniczy i postanawiam, że już nigdy tam nie wrócę. Nie mam jednak na myśli porodu, lecz ten konkretny szpital.

Pierwszy album mojej córki przywołuje smutne wspomnienia. Tu ja na obiedzie w dniu jej chrztu, gdzie ja w ogóle patrzę? Gdzie jestem? Spojrzenie jest smutne i puste...

Żałowałam tylko jednej rzeczy i do dzisiaj żałuję. Uważam, że powinnam wtedy trafić do szpitala. Wspomnienia psychozy przeżywanej we własnym domu, są zbyt bolesne i zenujące. Oczywiście nie pamiętam wszystkiego, ale wołałabym, by nikt mnie w takim stanie nie oglądał.

Byliśmy szczęśliwą rodziną, planowaliśmy jeszcze przed ślubem 3

dzieci. Kiedy wyszłam drugiej psychozy, w sposób całkowicie naturalny uznaliśmy, że nasze plany są nadal aktualne. Zaszłam w kolejną ciążę kiedy nasza córka miała zaledwie pół roku. Wierzyliśmy, że sytuacja się nie powtórzy, znaliśmy ryzyko, ale nie oczekiwaliśmy katastrofy.

Miało być dobrze....

Mamą być

Zdawaliśmy sobie sprawę, że moja kolejna ciąża, może zaniepokoić rodzinę. Dlatego poinformowaliśmy mamę dopiero, kiedy byłam już w 6-tym miesiącu. Nie odwiedzała nas od lata i udało się utrzymać to w tajemnicy. Dowiedziała się dopiero w Wigilię, kiedy zadzwoniłam do niej.

Jeżeli chodzi o zalecenia lekarskie. Psychiatra nie widziała problemu, ale radziła by wykonać cc. Uważała, że poród naturalny to dla mnie za duży stres. Uznałam, że wie co mówi, ale dzisiaj wiem, że nie jest to wcale takie pewne - ta zależność pomiędzy rodzajem porodu a ryzykiem wystąpienia psychozy poporodowej.

Tym razem wybrałam inny szpital. miałam zaświadczenie od lekarki ze wskazaniem na cc ze względu na, jak to ładnie ujęła "epizod urojeniowy". Widziałam od początku, że świstek ten robi duże wrażenie na pielęgniarkach. Zapewne negatywne, ale były przez to szalenie miłe dla mnie. CC odbyło się w Wielki Piątek, nie miałam ochoty spędzać świąt w końcówce ciąży w domu, dlatego z zaproponowanych dat wybrałam właśnie tą.

 Na oddziale niewiele się działo. Troszkę brakowało mi takiego profesjonalnego podejścia do pacjenta . Czyli jak na amerykańskim filmie – ktoś przychodzi, tłumaczy i potem wiem co będzie. Tymczasem o wszystko musiałam pytać.

W dniu, w którym nasz syn urodził się, czułam się dobrze i czułam ogromną ulgę z tego powodu. Oczywiście byłam też szczęśliwa, że mam syna.

Ogromnym zaskoczeniem było dla mnie to, że przez 4 dni pobytu pielęgniarki wszystko za mnie robiły. Dosłownie ani razu nie musiałam go nawet przewijać. Wiedziały, że nie będę karmić piersią i nie robiły z tego problemu. Zadbano także o lekki wzmacniające organizm, bo byłam osłabiona. przypuszczam że tak dobra opiekę miałam głównie dlatego, że był okres świąteczny i mało pacjentek. Mimo wszystko porównując swój poród sprzed 14 miesięcy czułam się jak na wczasach. Pozwolono też mojemu mężowi wejść na salę w porze odwiedzin, w sumie 2 dni leżałam sama, więc nie przeszkadzało to nikomu.

Wróciłam do domu w dobrym nastroju. Córeczka dopiero zaczęła chodzić. Cieszyłam się, że mam dzieci z niewielką różnicą wieku. Mogę śmiało napisać, że czułam się dobrze. Synek miał jednak wadę nóżki, która należało rehabilitować. Radość macierzyństwa zakłócała natrętna myśl, czy nie wynikało to z leków, które podczas ciąży musiałam przyjmować...

Miałam więc pod opieką 2 małych dzieci. Tym razem nie wracałam do pracy zaraz po macierzyńskim. Postanowiłam wziąć urlop wychowawczy. Z racji nadal niewielkich dochodów otrzymywaliśmy

dotatki do zasiłku wychowawczego, co całkowicie rekompensowało brak moich zarobków. Na początku 2010 roku przeskoczyliśmy jednak próg dochodowy uprawniający do tych świadczeń i okazało się, że muszę szybko iść do pracy. Nie chciałam wracać do starej firmy. Byłam bardzo ambitna i pragnęłam pracować w administracji. Nie uważałam, że choroba mi w czymś przeszkodzi. Czułam się nadal tą samą dziewczyną, jaką byłam kilka lat wcześniej, kiedy przyjęto mnie nie staż. Myślałam, że dam sobie radę.

A może za bardzo tego chciałam?

Porażki

Udało mi się wygrać konkurs na stanowisko referenta w Urzędzie Skarbowym. Bardzo się cieszę i jednocześnie jestem maksymalnie przejęta. Niestety praca jest oddalona od mojego miejsca zamieszkania i muszę wstawać bardzo wcześnie rano, by zdążyć na poranny autobus o 5:25.

Byłam tak przejęta i zdenerwowana, że niestety nie potrafiłam tego ukryć. Nie będę rozpisywać się na temat tego, jak czułam się w tej pracy. Wystarczy, że opowiem o atmosferze, jaka tam panowała. Moja najbliższa współpracowniczka miała pod ręką fiolkę ziołowych tabletek uspokajających. Zawsze w sytuacjach stresowych sięgała po nie. Każdy w tym dziale, bał się każdego. Umowa miała być kilkumiesięczna, a zapewne z powodu mojego widocznego zestresowania otrzymałam tylko 2 umowy na 2 tygodnie każda. Nie miałam odwagi zapytać swojej kierowniczk,

dlaczego...

Zrezygnowana podjęłam decyzję, że już nigdy nie będę brała udziału w żadnym konkursie do administracji.

Byłam bezrobotna, ale na szczęście tylko przez chwilę. Znalazłam się w małej firmie, gdzie tak naprawdę nie mieli pomysłu na to, czym miałabym się zajmować. Udawanie, że coś robię zajęło mi całe 3 miesiące okresu próbnego, po czym podziękowano mi. Znowu pojawiły się objawy ogromnego stresu, zwłaszcza w kontakcie z szefem.

Dotarła do mnie smutna prawda, że nie nadaje się do pracy biurowej. Nikt już nie chciał mnie uczyć od podstaw, nie byłam przecież stażystką, pracodawcy mieli swoje wymagania, a ja nie potrafiłam im sprostać. Gdy czegoś nie potrafię denerwuję się, a potem denerwuje się, bo nie potrafię - błędne koło.

Zrezygnowana postanowiłam postarać się o grupę, co miało mi ułatwić znalezienie pracy wykonywanej z domu. Otrzymałam umiarkowany stopień niepełnosprawności. Schowałam dyplom głęboko do szuflady i zaczęłam szukać nowego zajęcia...

Od tej pory już nigdy nie byłam zadowolona z tego, co robię. Stałam się osobą niepełnosprawną, co do dnia dzisiejszego wydaje mi się nierzeczywiste.

Zawód wykonywany, zawód wyuczony...zawód wymarzony. Chyba w tej dysharmonii nigdy nie odnajdę siebie. Praca mnie zdecydowanie nie określa, jako trybik w maszynie robię jednak to, co trzeba. Wstaję rano i siadam przy biurku, żeby integrować się ze społeczeństwem, które daje mi niepowtarzalną szansę aktywizacji poprzez pracę zawodową.

Cóż pozostaje mi być społeczeństwu wdzięczną.

Bilans zysków i strat

Jestem chora, na chorobę przewlekłą. Nie powinnam tutaj pewnie pisać o jakichkolwiek plusach tej sytuacji, bo przecież nie powinno ich być. Pewnie tak, ale wiem, że gdyby nie choroba, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, czy lepiej?

Tego nie wie nikt. Pewnie moje tu i teraz byłoby inne. Nie miałabym lęków i innych dziwnych objawów, których sama sobie nie potrafię wytłumaczyć. No, ale cóż już taka jestem – bez odporności na stres, otaczam się pancierzem ochronnym w postaci leków. Niestety przez ten pancierz nie docierają emocje, które kiedyś były naprawdę.... fajne. Słyszę ostatnio pytania o ulubiony film, muzykę, książkę... Po prostu nie wiem, co powiedzieć. Nic już nie odbieram tak jak kiedyś.

Większość ludzi kojarzy schizofrenię z psychozą. Ja ją kojarzę z tym, co mi zabrała. Zabrała mi spontaniczny śmiech, zastąpiła mój wyraz twarzy dziwnym grymasem, powodując, że by się uśmiechnąć, musze to zaplanować 2 sekundy wcześniej. No w końcu uśmiech wymaga pracy mięśni, może to za duży wysiłek..

Zabrała mi też urodę. Co znaczy uroda dla kobiety, nie musze chyba tłumaczyć. Generalnie o ile można wydusić ten uśmiech, nie można równie łatwo zgubić nadprogramowych kilogramów. Chodźcie na siłownię i walczycie o formę, a mi się nie chce. Jestem leniem, ale to raczej moja

wina.

Podobno walczę z chorobą. Nie wiem, czy walczę. Staram się nie wykorzystywać choroby, jako wymówki, czy usprawiedliwienia dla swoich niedoskonałości. Dążenie ku temu, by być idealną pozostało we mnie jeszcze z czasów szkolnych. No cóż życie zweryfikowało moje plany i teraz jestem wiecznie niezadowolona z siebie. Stoję z boku i się oceniam, na pewno niepotrzebnie. Takie skupienie na sobie to też cecha nas chorych.

Może walka ma oznaczać normalne życie. Wiem, że największym bodźcem do tego, by iść do przodu są moi bliscy. To nie jest tak, że mąż codziennie mi powtarza „dasz radę”. Nie i tego od niego nie oczekuję. Jest dla mnie oparciem przez to, że stąpa twardo po ziemi, nie rozczula się nade mną. W zasadzie w naszej codzienności nie ma tego tematu. Oczywiście, gdybym czuła się naprawdę źle, wtedy, by interweniował.

Co zyskałam ? Wiem, że nie muszę pędzić. Zresztą tryb mojego życia wyklucza jakikolwiek pośpiech. Żyję spokojnie gdzieś na prowincji. Fakt jestem całkowitym odludkiem, ale wynika to bardziej z tego, że ludzie bardzo często nie mają czasu na przyjaźń. A to własna działalność, a to wymawianie się dziećmi, lub pracą zawodową. Kontakty są więc płytkie i powierzchowne. Wszyscy gonią za kasą. Patrzę więc z boku na tych biednych ludzi, którzy na nic nie mają czasu. Ja muszę się wyspać, mieć czas na odpoczynek po pracy, pogadać z mężem, ale też posiedzieć w ciszy i pomyśleć.

Wyspać, a nie spać cały dzień. Pomyśleć, ale nie utonąć w myślach. Posiedzieć w ciszy, ale mieć też oko na to, co się dzieje wkoło.

Wszystko musi być pod kontrolą. Tak się właśnie walczy z chorobą – stawia się sobie granice, ale czasem też poprzeczki.

Koniec

W mojej opowieści doszłam do chwili, w której muszę napisać ostatnią notkę. Pokazałam Wam drogę, jaką przeszłam od momentu postawienia pierwszej diagnozy, do czasu, kiedy pogodzona z losem, tę diagnozę przyjąłam, jako coś co mnie ogranicza.

Chcę tu napisać, że nie można chorować i móc żyć jak dawniej- nie można mieć wszystkiego. Nie jestem specjalistką od wszelkich kryzysów psychicznych, ani nawet od przypadków podobnych do mojego. Swoje ograniczenia znam i do nich się odnoszę.

Oczywiście chciałabym być nadal tamtą dziewczyną, jaką byłam przed chorobą. Gdybym mogła cofnąć się w czasie, powiedziałabym samej sobie po prostu jedno: nie przejmuj się tak wszystkim. Pomimo wszelkich teorii dotyczących tego, skąd się bierze choroba, ja czuję, że pochodzi ona ode mnie. W pewien sposób obwiniam siebie właśnie za brak wewnętrznego luzu.

Wiem, że jestem szczęściarą - mam rodzinę, pracę i kilka planów na przyszłość. Rodzina to najlepsze, co mogło mnie w życiu spotkać. Gdzieś tutaj czytałam, że życie schizofrenika jest nudne. Tak to prawda. Lubię swoje nudne życie - ustabilizowane i proste. Niech więc będzie nudno dalej, ciekawie i dramatycznie już było.

Na koniec mój krótki list na wypadek, gdyby ktoś zdrowy przeczytał ten tekst.

Mijasz mnie na ulicy i myślisz, że mam ponurą twarz. Pozdrawiasz mnie i zauważasz, że nie dopowiadam uśmiechem na Twój uśmiech, a oczy uciekają od Twojego spojrzenia. Nie, to nie dlatego, że nie chcę Cię znać. Ten grymas na mojej twarzy to nie jest wyraz niezadowolenia, tylko objaw choroby, a może skutek uboczny zażywanych od lat leków. Ty jednak tego nie wiesz.

Wiesz za to, że rzadko wychodzę z domu. Myślisz sobie, że jestem jakaś dziwna - antypatyczna, z twarzą bez wyrazu, rozmowa ze mną nie klei się. Jest tak dlatego, że Cię nie znam. Mogłabym udawać, że nie jestem chora, ale nie potrafię zrobić tego dla Ciebie, bo sama nawet nie wiem, jak zachowują się całkiem zdrowi ludzie.

Pewnie odpowiadają na swoje pozdrowienia fałszywym, ale jednak uśmiechem. Potrafią utrzymać kontakt wzrokowy podczas powitania i zaśmiewają się podczas rozmowy o niczym.

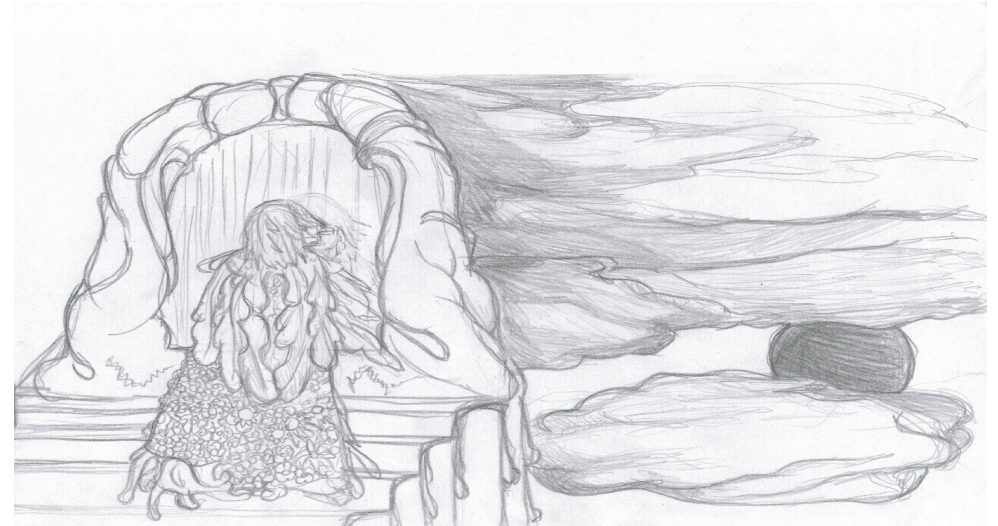
Tamta dziewczyna, którą kiedyś byłam pewnie, by to potrafiła, ale nie kobieta którą się stałam. Zanim mnie osądzisz Zdrowy Człowieku, poznaj proszę moją historię i wybac mi, że nie potrafię być taka sama jak Ty...

Uwierz mi, że o niczym tak nie marzę, jak być podobna do Ciebie.

Tamta dziewczyna - 14.06.2017

© Copyright: @xxx
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Opowiadanie science-fiction o chłopcu i podróży niczym Dantego, po swojej głębowiej wierze. Wizja życia po śmierci i dobroci, która sprawia cuda.



Wysłannik Niebios

Gdańsk 2017

Rozdział I - „W poczekalni”

Zawsze myślałem, jak to będzie kiedy trafię na drugą stronę. Nie sadiłem, że to tak szybko będzie. Jak sobie rodzina którą zostawiłem poradzi, czy przyjdą znajomi na mój pogrzeb. Tyle spraw zostawiłem, kto będzie tacie pomagał na gospodarstwie, biedak odkąd pamiętam zawsze kulał na prawą nogę. Matula moja pewnie szok przeżywa, przecież jedyakiem byłem.

Myśląc podążał przez biały tunel, który wydawał się nie mieć końca. Nagle poczuł ogromne nie opisane szczęście, które ogarnęło go całego. Nim zdążył z przyzwyczajenia mrugnąć, a łza kreśląc linie spłynęła po przezroczystym policzku, oczom ukazała się polana. Równa niczym stół, nic nie rosło oprócz drzewa które dumnie stało po środku. Widać było dość sędziwe, gałęzie sięgały tak wysoko, iż trudno było zobaczyć szczyt. Podążał unosząc się w powietrzu, nie uginając nawet źdźbła trawy. Zbliżając się, zastanawiał się do jakiego go gatunku zaliczyć. Ogarnięty przemyśleniem zauważył ławkę, gdzie siedział ze spuszczoną głową jakaś postać. Był to człowiek wyraźnie czymś zmartwiony.

Zapytał drżącym głosem.

-Jesteś Bogiem ?

Zadumany swoim losem siedząca postać, odpowiedziała krótko.

-Nie

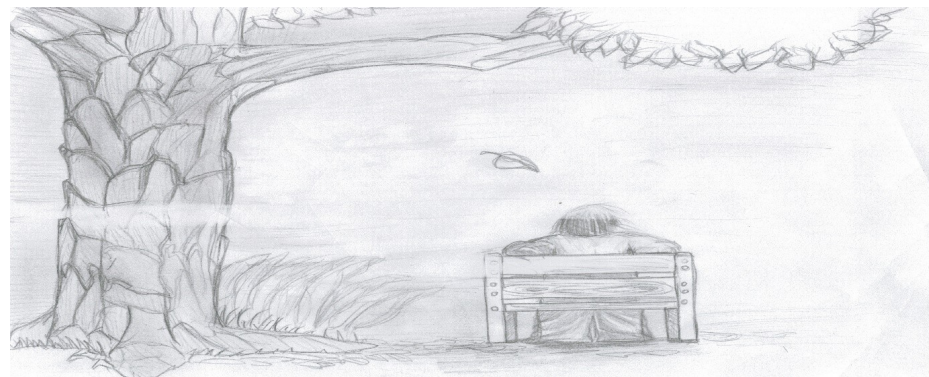
Pytał ponownie.

-Czy jesteśmy w niebie, tak wygląda niebo?

-Nie wiem, nie dawno co tu przyszedłem.

-Dlaczego jesteś taki smutny?

-Jestem smutny, ponieważ wiele złego uczyniłem za życia. Pewnie trafię do piekła, a może to jest piekło, jak widzisz nikogo tu nie ma oprócz nas. Stoi tu te durne drzewo, a nikogo nie widać.



-Wiesz tak sędzę, moim zdaniem, to jest coś w rodzaju poczekalni.

Usiadł koło niego, gałęziami poruszał wiatr, lecz nie czuli nawet małego powiewu na swojej duszy. Przez chwile obydwaj milczeli, a w nich obudziło się sumienie, przez głowę przebiegały obrazy minionego życia. Przez konary przebijało się światło, lecz to nie było słońce. Wyraźnie odczuli jak by coś ich obserwowało. Znużeni milczeniem zaczęli ponownie ze sobą rozmawiać. Zaczął dialog Łukasz który dołączył do pogrążonego w smutku nad swoim losem.

-Jak umarłeś, pamiętasz jak to się stało ?

-Jechałem samochodem do mojej firmy, śpiesząc się. Nagle upadł mi telefon, który nie przestawał dzwonić. Myślałem, że zdążę go podnieść i nagle zobaczyłem światło, tyle pamiętam nic po za tym.

-Ja też nie wiele pamiętam, wiem ze stałem na pasach chcąc przejść na drugą stronę, wiem ze kilka razy oglądałem się. Gdy już postanowiłem przejść na drugą stronę najpierw poczułem nieopisany ból a moje oczy ostatnie co widziały to czarny pomarszczony asfalt i kurtyna się zamknęła.

Drugiemu słuchaczowi przyszło do głowy.

Czy przez moja głupotę zabrałem temu chłopakowi życie?. Boże a może to właśnie był on, tak nie wiele pamiętam. Po co tak szybko jechałem i jeszcze ten telefon. Mógł tam leżeć, ale nie ja musiałem go podnosić. Nie mam odwagi i pewności by przyznać się, że to ja odebrałem mu życie.

Czuł jak sumienie powoli systematycznie zaczyna w głębi go dusić. Lecz nie miał odwagi nic powiedzieć. Nagle wybuchnął płaczem, głośno wykrzykując.

-Co ja zrobiłem !

Łukasz który siedział z boku wystraszył się nagłym wybuchem swojego kompana, lecz wiedząc że jest w złym stanie i widząc łzy które przeszły i jego serce chciał go pocieszyć.

Obydwoje nawet nie zauważyli jak ubrana w białe szaty postać stała za ich plecami przyglądając się całej tej sytuacji. Czekając na dogodną chwilę.

-Wybaczcie mi ze wam przeszkadzam, ale już czas najwyższy zabrać

jednego z was przed oblicze naszego Pana, który czeka.

-Chodź ze mną Marku, a ty Łukaszu zostań tu jeszcze chwilę, bo mamy problem co z tobą zrobić.

Pożegnali się, gdzie Marek w ostatnich słowach powiedział.

-Wybacz mi !

Zdziwiony Łukasz chciał zapytać, co miały znaczyć te słowa lecz nie otrzymał odpowiedzi. I tak został sam pod drzewem mówiąc do siebie.

Co miały znaczyć te słowa?. Przecież nic mi nie zrobił ten człowiek za życia, nawet go nie widziałem. Wertując obrazami do chwili kiedy przechodził przez pasy ostatni raz, głowę jego zaprzątnęła myśl.

Czyżby ten człowiek odebrał mi życie? Nie jestem pewien tak szybko się to stało, nawet jeśli to był on. Teraz rozumiem jego słowa. Odwrócił się, widząc oddalające się dwie postacie, które powoli przykrywała mgła. Krzyknął.

-Och wybaczam ci!

Lecz żadna z nich nie odwróciła się, a on sam z uśmiechem na twarzy usiadł na ławce.

Siedział lecz nikt nie przychodził, ze znużenia postanowił śpiewać, jak miał to w zwyczaju za życia robić. Kiedy i to już mu się znudziło, spojrzął na żółtą trawę którą zaczął liczyć. Mijały chwile jedna za drugą, nie było widać nikogo kto by dotrzymał mu towarzystwa.

Zamykał oczy i ponownie otwierał.

Może to sen, i kiedy usnę znowu obudzę się w moim ciepłym łóżku. Zobaczę tatę jak naprawia traktor, a mama przyniesie mi rano śniadanie. Kundelek którego również kocham obudzi mnie ligając mnie po twarzy. I wszystko będzie dobrze.

Położył się na drewnianej ławce i z zamkniętymi oczami wertował całe swoje życie. Wspominał jak bawił się z przyjaciółmi w chowanego. Uśmiech mamy kiedy, zrobił coś głupiego. Zwierzęta w gospodarstwie i ciężką pracę którą wykonywał każdego dnia, a wieczorem zmęczony po całym dniu siadła na polanie i wpatrywał się w piękny zachód słońca. Gdzie na tafli stawu było widać odbicie drzew i lądujące kaczki które mąciły cały obraz.

Żył biednie jak to zwykle na wsi bywa. Ledwo starczało na życie, lecz nie narzekał na swój los. Rodzice mu zawsze wpajali, by zawsze kulturę osobista miał na pierwszym miejscu. Skrycie pragnął by dziewczyna w której się podkochiwał, odwzajemniła jego uczucia.

Aniołem nie był, miał na swoim sumieniu grzechy jak każdy człowiek. Przypominał sobie jak kradł jabłka sąsiadowi z kolegami. Czasami zmęczony nie miał już siły by zajmować się gospodarstwem. I tak szukał ile grzechów za życia zrobił.

Nagle usłyszał swoje imię uradowany myśląc że to matka go woła otworzył oczy, lecz jej nie ujrzał, w zamian tego zobaczył białą postać. Długie szaty, aż do stóp, twarz do połowy przysłonięta białym kapturem.

-Jednak to nie sen wciąż tu jestem, odpowiedział ze smutną miną postaci która uśmiechała się.

-Tak, odpowiedział krótko anielski posłaniec.

-Chodź ze mną.

Wstał pełen obaw co z nim się stanie.

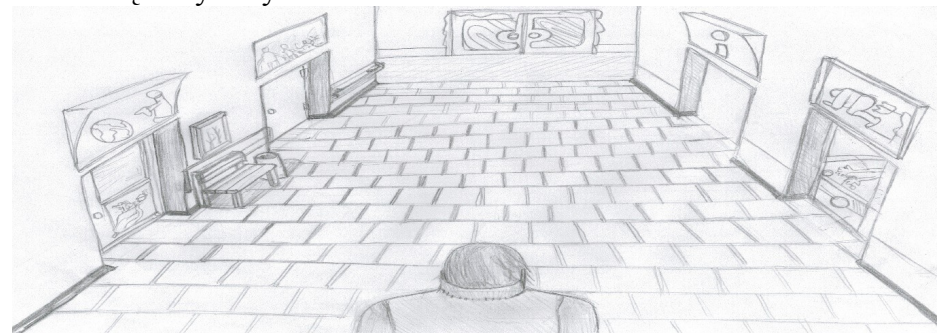
-Gdzie mnie zabierasz?.

-Spokojnie stworzenie Boże, nasz Pan obserwował ciebie cały czas i długo się zastanawiał, gdzie będzie twoje miejsce. Został naruszony porządek na ziemi. Więcej nie mogę ci ujawnić.

I tak udali się w stronę tajemniczej mgły. Zbliżając się ogarnęła ich całych. A w oddali było słycać niewyraźne głosy, które wyraźnie były czymś rozweselone. Poczul ponownie szczęście i nie opisaną miłość która wypełniła jego serce. Przestał się bać, ponownie pytając przewodnika.

-Co się ze mną stanie?

Lecz nic nie mówiąc, anioł powoli przesunął dłonią mgłę, a ich oczom ukazał się biały korytarz.



Chwilę nikogo nie było. Na ścianach były zawieszane różne obrazy, oraz co jakiś czas drzwi, gdzie również widniały malowidła. Pełno ludzkich dusz rozmawiających ze sobą, co jakiś czas słyhać było śmiech i płacz. Na końcu było widać ładnie ozdobione szerokie zamknięte wrota lecz tam nikt nie stał.

-Tu ciebie zostawiam, poczekaj chwilę zaraz ktoś do ciebie podejdzie.

Tak zostawiony Łukasz cierpliwie czekał, odwrócił wzrok na obraz. Było na nim namalowane dwojga jasnych postaci, w tle pełno ptaków w pary połączone, jedne gdzieś leciały, inne siedziały na gałęziach zwrócone do siebie. Przypatrując się dalej, pod drzewami zgromadzone zwierzęta także w parach, a na samej górze gwiazda która wszystko rozświetlała swoimi promieniami.

Dość długo przyglądał się, ponieważ tak pięknie, bez skazy było namalowane, przypomniało mu się jak rodzice opowiadali o akcie stworzenia, i rozpoznał na nim pierwszych rodziców. Dobrze pamiętał, bo wychowali go w poczuciu wiary. Zawsze chodził w niedziele do kościoła, a wieczorami czytali Biblię. Miał wile pytań za każdym razem i nie zawsze dostawał jasne zrozumiałe odpowiedzi.

W korytarzu zauważył że oprócz ludzi kręciły się też białe postacie, co jakiś czas podchodząc do ludzkich dusz. Otwierały drzwi, z których nie wszyscy chętnie szli, czasami musiały postacie chwycić rozłuszczonych i zabrać do czarnych drzwi, z których słyhać było jęki, krzyki oraz wrzaski.

Tam gdzie stał Łukasz obrazu nie było nad drzwiami tylko parę dusz cicho stało i czekało aż można będzie wejść. Jemu były pisane inne drzwi, w krótko miał się przekonać co z nim się stanie.

Podszedł do niego też w białe szaty ubrany anielski posłaniec, lecz tym razem miał odsłoniętą twarz, wyglądał zwyczajnie jak człowiek. Na głowie miał złocista przepaskę, uśmiechnięty na twarzy, a na nogach sandały drewniane, ubranie spięte kolorowym sznureczkiem. Podszedł do niego mówiąc.

-Ty jesteś Łukasz, tak ?

Zdziwiony zapytał go.

-Wszyscy znają moje imię ?

A posłaniec z uśmiechem na twarzy odpowiedział mu.

-My tu znamy się wszyscy i zawsze mile się witamy, a szczególnie ciebie znamy, bo twój przypadek jest wyjątkowy, i szybko się prawie wszędzie rozszedł.

Zdziwił się bardzo-odpowiadając Łukasz.

-Co się stało że wszyscy o mnie wiedzą, czy to przez moją śmierć, czy jak prowadziłem życie?

-Spokojnie Boże stworzenie dowiesz się wszystko w swoim czasie, na razie nie martw się na zapas. Chodź ze mną zaprowadzę cię przed oblicze naszego Pana, tam dowiesz się wszystkiego, otrzymasz odpowiedzi na pytania które nurtują twoją duszę.

Grzecznie udali się korytarzem, na końcu skręcili, podeszli do starych chyba dawno zapomnianych drzwi. Anielski posłaniec otworzył, po czym rozświetliło się światło. Łukasz sam został a oczom ukazało się pomieszczenie. W środku stało biurko trochę zakurzone, a na

ścianach pułki, na nich pełno pism zwiniętych w rulonik, jakaś postać czegoś szukała. Wydobył się głos mówiąc.

-Proszę pomóż mi posprzątać ten kurz.

Nagle pojawiło się wiaderko z szmatką trochę wytartą. Nie zastanawiając się dłużej Łukasz chwycił i pierwsze co zrobił to wycierał biurko. Co wytarł to znów osiadł pył. A że był dokładny i uparty wycierał cały czas.

-Dziwne cały czas wycieram, a one wciąż brudne.

Opadł już z sił, lecz nadal wycierał. A ono wciąż kurzem było przykrywane. Dość długo to trwało i przyszła mu myśl.

Czy to moja kara za grzechy i wiecznie będę wycierał te biurko? Jeśli to ma być moja kara tak długo będę czyścił, aż opadnę z sił.

Postać uśmieła się i rzekła.

-Zobacz już wytarłeś do czysta.

Spojrzał, a mebel był wytarty. Zdziwiony uśmiechnął się.

-Proszę usiądź zaraz do ciebie podejdę.

A że miał szmatkę w dłoniach wytarł krzesło.

-Właśnie na to czekałem, chciałem sprawdzić jak bardzo jesteś posłuszny, i czy masz dobre serce o którym słyszałem.

Postać usiadła na krześle, Łukasz wstał chcąc wytrzeć jego mebel bo zapomniał.

-Spokojnie usiądź owieczko naszego Boga.

-Czy wiesz z kim rozmawiasz?

Z początku nie wiedział jak odpowiedzieć, ale po chwili zrozumiał kto jest przed nim. Ukłąkł przeżegał się i odpowiedział ze spuszczoną głową.

-Domyślam się z kim rozmawiam, rodzice mi opowiadali o tobie Panie.

-Tak dobrze myślisz, jestem Królem nieba i ziemi.

-Twoją śmierć poruszyła mojego Ojca, zostały złamane zasady. Jeśli chcesz sprawię, że zobaczysz jak to się stało.

Chłopak nie wiele myśląc, zgodził się.

I tak Jezus sprawił jak doszło do tego, iż trafił od razu na drugą stronę. Został przeniesiony do momentu kiedy zaistniało to zdarzenie.

Został biernym widzem swojej tragedii. W feralnej chwili kiedy chcąc przejść przez pasy zauważył dziecko które przechodziło również na drugą stronę za swoją matką, nie zastanawiając się szybko podbiegł uratować dziecinę. Nagle zły czart zatrzymał go, tak że nie mógł się ruszyć rozpędzony samochód uderzył w niego z wielkim impetem, bo kierowca szukał telefonu. Dziecko które miał uratować przewróciło się, a pojazd lekko musnął. Sam wysoko wzniósł się i z impetem upadł na jezdnię. Auto zderzyło się z nadprzeciwką drugim pojazdem, który również się spieszył. Rozległy się ogromny huk, wrzaski stojących na chodniku ludzi, zbiegli się gapowicze, lecz żaden nie podszedł do Łukasza. Przerażona zaistniała sytuacja matka,

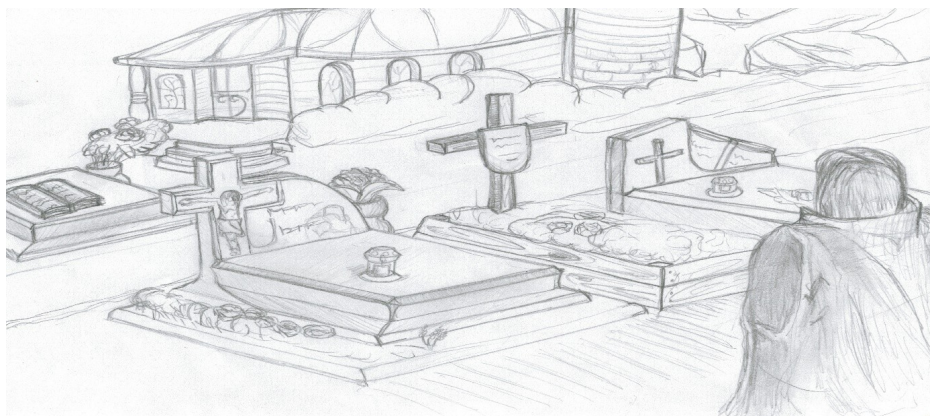
szybko chwyciła dziecko. Widząc leżące ciało, gdzie krew zabarwiła czarną jezdnie, podbiegła krzycząc.

-Boże wezwijcie karetkę on umiera!

Lecz osłupiali ludzie, biernie się przyglądali. Jak by zamurowani. Potem przeniesiony został na swój pogrzeb, gdzie widział kamienną twarz ojca wpatrującego się w trumnę powoli osuwającą się w głęboki dołek, matka jego zrozpaczona i powstrzymywana przez dwóch mężczyzn, chciała razem z skrzynią zakopaną po brzegi zostać. Widząc tą sytuację Łukasz zapłakał i podbiegł krzycząc.

-Tu jestem! Mamo tu jestem !

Nie widzieli go, dopiero po chwili sobie uświadomił że nie są w stanie go widzieć. Ostatnie co było mu dane zobaczyć, to obraz gdzie widział swój pomnik, a na nim wyryty napis „ Zginął w młodym wieku, miał zaledwie siedemnaście lat ”.



-I tak już za wiele zobaczyłeś – odpowiedział Rabbi.

-Nie wiem co z tobą począć, miałeś trafić do nieba, ale nasz Ojciec ma inne plany w zgrede ciebie. I niech będzie Jego wola.

Łukasz nim się obejrzał stał przed drzwiami, gdzie czekał na niego anioł ze skrzydłami. Widać było, że bardzo chciał się dowiedzieć jak przebiegła rozmowa, jednak jego zadaniem było zaprowadzić chłopaka na przydzielone już czekające na niego miejsce.

-Zatem gdzie teraz z tobą aniołku się udam?

Anioł chcąc uspokoić i tak już przejętego Łukasza, powiedział mu.

-Idziemy w miejsce gdzie, nie każdy ma szansę tam być.

Zaciekawiony podążał ponownie korytarzem, kiedy byli już na miejscu, anioł nakazał mu stanąć w dość krótkiej kolejce i poczekać na swoją kolej. Usiadł na białej ławce, a na niej siedziało pięć dusz które w milczeniu dumalo jak to będzie wyglądać kiedy przekroczą te wrota. Dobrze wiedzieli gdzie prowadzą, lecz chłopak nadal nie miał pojęcia, jaki los go czeka. Spojrzał na obrazek gdzie przedstawiał dwoje ludzi którzy trzymali cierniste krzewy, a obok leżał cały ich stos, a w oddali zapatrzeni w chmury także ludzie, z spuszczoneymi głowami klękali jak by prosząc o przebaczenie. Krajobraz był szary prowadził do smutku, ale też i do nadziei.

Łukasz długo się zastanawiał nad tym co zobaczył, i nie wiedział co to może oznaczać. Chciał też się spytać gdzie prowadzą te drzwi. Kiedy spróbował się zapytać, staruszek odpowiedział.

-Młodzieńcze, my wszyscy tutaj próbujemy przygotować się na to co nas czeka.

Więc powstrzymał się i grzecznie czekał na swoją kolej. To było jedyne wejście gdzie panował spokój. W pozostałych istny hałas i. Po chwili z wejścia wyszła ludzka dusza, była to kobieta wyraźnie uśmiechnięta, a anioł który z boku stał również opanował go uśmiech widząc ją i oboje udali się do ostatnich wrót na samym końcu, gdzie były przepięknie ozdobione, nie było tam kolejki, nikt nie krzyczał, drwił, nie był pogrążony w skupieniu. Kiedy otworzyły się, można było usłyszeć śmiech piękny śpiew, nie wyraźne rozmowy oraz dało się wyczuć gdzieś w głębi miłość powiązana z radością.

Czekał cierpliwie, słysząc z drugiej strony korytarza.

-Zobaczcie jacy skupieni.

-A tamta jaka uśmiechnięta co wyszła, jeszcze zdanie zmieni jak zacznie harować.

-Przecież wierzę dlaczego nie mogę tam iść.

-A wierzyłeś ?

-Nie, ale teraz wierzę.

-A ty co tu beczysz, zaraz pójdziesz do szefa, tam to cię dopiero wynagrodzi, a nie to co w niebie.

-Ja tam się nie przejmuję znów na ziemię trafię.
Obok siedzący straszy pan powiedział przejętemu chłopakowi.

-Nie zwracaj na nich uwagi i na to co mówią, skup się lepiej nad tym co ciebie czeka.

-A co mnie czeka?

-To nie wiesz gdzie prowadzą te drzwi ?

-Nie, miałem tu poczekać na swoją kolej.

Drugi który się im przysłuchiwał, przerwał milczenie.

-Posłuchajcie, uspokójcie się, wszystko w swoim czasie, widocznie tak miało być.

Była też tam starsza pani trzymała różaniec i modliła się, a obok siedziały jeszcze dzieci, które były zajęte bawiąc się lalkami. Podszedł do nich anioł który pilnował wejścia.

-Piotruś, Agatka teraz możecie wejść.

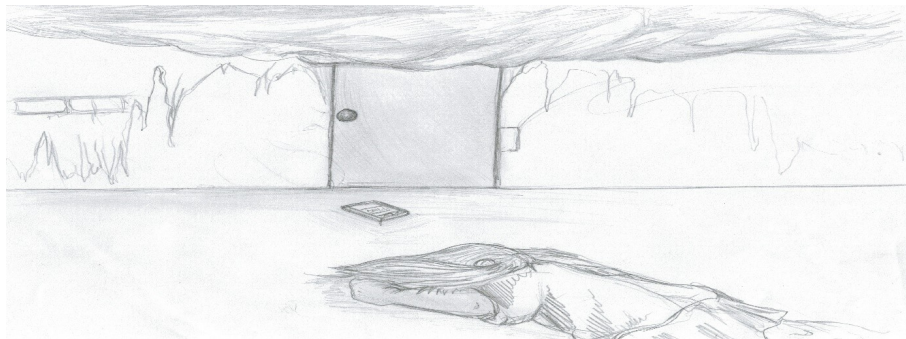
- A będzie mama i tata ?

-Za chwilę do was dołączy.

Rodzeństwo było uwięzione w pokoju, udusiło się dymem. Matka chciała dojść do swoich dzieci, lecz płomienie odgradzały jej drogę. Po czym upadła i straciła przytomność. Strażacy nie byli w stanie uratować, tak zginęła cała trójka. Ojciec był jeszcze w pracy, kiedy zniknął cały dorobek jego życia. Nagle poczuł gdzieś w głębi, coś go tchnęło pracując przy tokarce. Zatrzymał maszynę, zanurzył rękę do kieszeni wyciągnął telefon. Wybrał numer telefonu, i łączy się z swoją żoną.

-Czemu nie odbiera!

Zmartwiony próbuje dalej, lecz nadal nic. A telefon leżał koło kobiety która już nie dawała znaku życia.



Zmartwiony próbował, lecz w słuchawce cisza panowała.

-Przecież ona zawsze odbierała, coś musiało się stać.

Długo nie zastanawiając się, rzucił wszystko. Podeszedł do szefa, który siedział na krześle popijając kawę i paląc papierosa.

-Robotę już mam prawie skończoną, muszę wyjść w pilnej sprawie, jutro dokończę.

-A co się stało że tak szybko musisz wyjść.

-Sprawy rodzinne.

Z twarzy można było wyczytać, że coś musiało się stać. Nie czekając długo na odpowiedź nawet nie przebijając się, szybkim krokiem wyszedł z budynku. Tuż przed samochodem próbował ponownie się połączyć, lecz nadal cisza. Włożył kluczyk, odpalił pojazd i ponownie

dzwoni.

-No odbierz!

Wyobrażenia podsuwała mu najgorsze obrazy, rozkojarzony z najgorszymi myślami szybko gnał. Nie było mu dane dojechać. Na pasach przechodziło dziecko z matką i jakiś młody chłopak. Jadący z naprzeciwka samochód nagle skręcił i uderzył prosto w niego.

Zmartwione dzieci zapytały ponownie.

-A tata z mamą kiedy przyjdą ?

-Za chwilę się spotkacie – odpowiedział anioł.

-Teraz chodźcie ze mną, musicie się umyć.

Dzieci grzecznie złapały za ręce i cała trójka przeszła przez przejście. Z drzwi ponownie wyszła ludzka dusza, lecz uśmiechu na twarzy nie miała. Z wrogą minom, szarpała się, z postaciami w białych szatach.

Łukasz grzecznie siedząc przypatrywał się całej tej sytuacji. Babcia która się modliła rzekła.

-Trzeba się modlić by nasz Bóg zlitował się nad naszym losem.

Zapomniała że idąc do czyścica, tam tylko już oczyszcza się z grzechów, a modlitwa już mało co tam pomaga. Dlatego tak ważne jest wspierać modlitwą za życia dusze które przechodzą tam męki.

Do czarnych drzwi właśnie wprowadzano kobietę, nagle otworzyły się, a z nich wydobyły się płomienie, pozakrzywiane dłonie chwyciły ją,

towarzystwo z boku śmiało się, towarzyszyło temu też jęki, jak by obdzierano ze skóry. I jakoś głos.

-W końcu ciebie mam!

Za każdym razem kto wchodził do przejścia tam gdzie siedział Łukasz, wychodziła z nich jakaś dusza. Obok dosiadła się para wyraźnie zasmucona swoim losem. I przyszedł czas na chłopaka, kiedy miał już wejść. Wyszły z drzwi dzieci, które bawiły się lalkami. Rodzice ich wstali z białej ławki widząc swoje dzieci łzy szczęścia popłynęły z ich oczu. Cała rodzina w objęciach, widząc to chłopak który miał wejść przypomniał sobie swoich rodziców. Poczł ogromną tęsknotę.

Długo nie trwała radość rodziców, anioł rzekł do nich.

-Dzieci muszą iść ze mną.

Matka która nie chciała zwolnić objęć, rzekła.

-Proszę nie zabierajcie mi ich!

Anioł uspokoił zatroskanych rodziców.

-Spokojnie nie będzie im źle, jak dobrze pójdzie, to nie długo będziecie razem. Cieszyć się ze wszystkimi. Dziadkowie którzy już czekają zaopiekują się nimi.

Dzieci nie chciały opuścić rodziców. Widząc to anioł odparł.

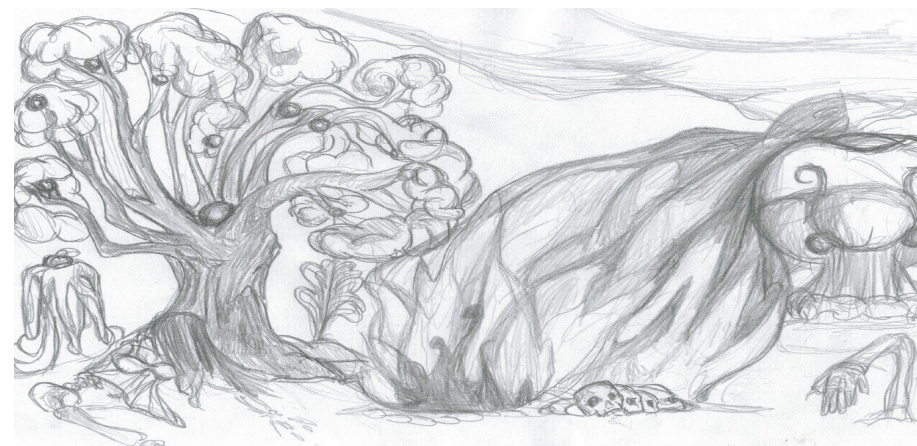
-Zaprowadźcie swoje pociechy do drzwi razem ze mną.

Razem z aniołem przeszły przez przejście, w momencie kiedy przekraczali

znikł anioł razem z Agatką i Piotrusiem. Ojciec z matką rozplakali się, ponieważ zostali przed wejściem. Wiedzieli gdzieś w głębi, że tam im będzie dobrze. Wrócili i usiedli na ławce.

Rozdział II - „W Czyścicu ”

I przyszedł czas na Łukasza. Wstał, lekko poddenerwowany i przeszedł nie wiedząc, co go tak naprawdę czeka. Tuż przed wejściem spojrział na anioła, który uśmiechnął się w jego stronę. I tak trafił w miejsce gdzie są oczyszczane dusze z grzechów. Przechodząc przez mgłę, gdzieś co jakiś czas słychać było płacz powiązany z modlitwami, oraz proszących ludzi o przebaczenie. Oczom chłopaka ukazała się ponura kraina.



Wyschnięte drzewa, dodawały jeszcze bardziej, ogarniającemu wszędzie smutkowi. Szarość traw pomieszana z pustynnym prawie widokiem. Czekające owieczki, jak nazywane były przez Pana wszelkiego stworzenia, leżeli obok ognisk które paliły się płomieniem. Większość

przed nim, co jakiś czas ktoś wchodził, a z drugiej strony wychodził. Dusze które wychodziły, widać było po nich wielki smutek i żal. Trochę dalej, jak okiem sięgnąć rozsypane kamienne, duże zbiorowiska ludzi klęczących na nich, modlących się o przebaczenie win. Leżały też ciała jak by pogrążonych w śnie, czekające, aż zostaną obudzeni. Zobaczył też dusze które nosiły na sercu ciemny płomień, one zgrzeszyły przeciwko wierze. Czerwony płomień posiadały, te dusze które żyły w nieczystości. Grupami chodziły zakonnice księży, katolicy, protestanci i poganie. Dla każdego z nich inny czas odmierzał do opuszczenia czyścica. Nie brakowało też dzieci, które wszędzie biegały. Każdy dostał indywidualnie i sprawiedliwie karę za swoje przewinienia, a co za tym idzie czas jaki musieli spędzić.

Łukasz widząc to poczuł winę za swoje grzechy, a widząc tyle smutku na ich twarzach udzieliła mu się też tęsknota za miłością, miłością do Boga, jakiej nie zaznał. Podeszedł do anioła który stał i pilnował wyraźnie tego miejsca. Spytał go jak będzie wyglądać jego kara za potknięcia. Aniołek wyciągnął zwinięty pergamin. I szuka w nim. Po chwili mówi.

-A to ty jesteś ten Łukasz o którym słyszałem?

-Nie wiem co słyszałeś o mnie aniołku, ale to chyba chodzi o mnie.

-Tak myślałem, bo nie widniejesz na liście. Dla ciebie jest przeznaczona inna kara.

Wyciągając kawałeczek kartki z kieszeni, spojrzął na chłopaka który rozglądał się gdzie będzie jego miejsce. Na jego twarzy pokazała się zdziwiona mina, kiedy ujrzał na jego sercu przygasający co jakiś czas biały płomień.

-Nie wiem co przeszkrobałeś, ale czeka ciebie nie lada wyzwanie. Chodź ze mną, zaprowadzę ciebie na miejsce odkupienia win.

Przodem szedł anioł którego nie było widać dla innych, a za nim grzecznie podążał Łukasz. Anioł zaczął mu opowiadać.

Mijamy ogniska płomieni, i klęczących ludzi na kamieniach wznoszących wysoko złożone dłonie. Przechodząc środkiem, gdzie po obu stronach wznosiły się piaszczyste wysokie góry porośnięte ostrymi krzewami, wspinają się na szczyt ogromne ilości ludzkich dusz. Po dotarciu na miejsce muszą schodzić na dół, nie wszystkim udaje się zgrabnie zejść ze stromizny. Wielu przewraca się i leci jak kamienie w dół zaczepiając o krzewy palące się.

Oczy cierpiących były zwrócone na chłopaka, który nosił na sercu niespotykany w czyścicu znak na sercu. On sam nie zdawał sobie sprawy, ale wyraźnie odczuwał spojrzenia. Dusze zatrzymywały się, a Łukasz usłyszał jedną z rozmów.

-Widzisz co ma na sercu?

-Tak, ciekawe co to oznacza. Jak długo tu jestem, jeszcze takiego czegoś nie widziałem.

Po tym co usłyszał, spojrzął na swoje serce, lecz nie widział nic oprócz swojej przezroczystej duszy. Już nie długo miał się dowiedzieć co oznacza biały płomień na sercu.

Podążali dalej w tej dość smutnej krainie, przechodzili przez miejsce gdzie młode dusze oczyszczały się z grzechów. Anioł ponownie opowiadał o miejscu gdzie właśnie się znajdują.

-Dzieci które nie mają świadomości zła trafiają do nieba, są też te które nie zaznały głodu, trudów codzienności, bólu i nieszczęścia ich grzechem jest, „zbytek słodczy” i nieznamość prawdy istnienia, ich dusze spowija nuda i trwoga. Młode dzieci które są świadome grzechu ich kara jest lekka i krócej trwa.

Mijali właśnie miejsce gdzie dzieci odpokutowywały za grzechy. Ich zadania były różne, anioł Łukaszowi pokazywał co musiały robić.

-Dzieci są bardzo podatne na zło, ale nasz Ojciec w niebie rozumie to, ich małe występki różnie tutaj łagodnie przechodzą. Wchodzą do sadzawek wypełnionych ogniem, ale jest mniej odczuwalny niż u dorosłych. Inną kara jest noszenie ognistych gałązek, wiele młodych dusz upuszcza je, by po chwili ponownie trzymać je w dłoniach. Jeszcze inną kara, wkładanie dłoni do ognistych małych kałuż i po chwili wyciągnięcie ich.

-Widzisz dziwna duszo, to jest pierwszy poziom w czyścicu, są jeszcze tu dwa inne poziomy. Wszystko zależy od win. Im niżej tym kary czyścowe są bardziej dotkliwe i dłużej trwają, niektóre dusze muszą tu czekać, aż do Sądu Ostatecznego.

Cały czas chłopak zastanawiał się jaka będzie jego kara, widział już tyle smutku i łez, modlitw. Zapytał ponownie anioła który go oprowadzał.

-Zatem gdzie mnie zabierasz?

-Już prawie jesteś na miejscu.

-Bardzo dużo dusz tutaj jest i tyle tęsknoty na ich twarzach widać.

-Tak bo cierpią za grzechy i tęsknią za miłością do Boga, wszyscy są tu cierpliwi, akceptują prawdę o sobie, poddają się procesowi dojrzewania do miłości, jak winogrona. Życie to przygotowanie duszy by wrócić do

domu z jakiego się wyszło. Każdy po ziemskiej wędrówce swój pełen plecak przynosi.

Pozostawili młodziutkie dusze. W dali było widać ścieżkę, która prowadziła do starej metalowej bramy, a po obu stronach dwóch stojących aniołów, za nimi drzewa wyschnięte i mgłą nisko unoszącą się.

Anioł pilnujący odpowiedział do drugiego.

-To chyba idzie ten chłopak o którym słyszeliśmy.

-Tak to ten, i tak rzadko przychodzą tu ludzkie dusze. Boją się tej kary.

Chłopak gdzieś w głębi wiedział, że tu będzie jego kara.

Anioł podszedł do strażników pozdrawiając ich.

-Witajcie bracia, zaprowadźcie tą Bożą istotę do naszego Pana, który już czeka na niego.

I tak anioł czyścica zostawił chłopaka pod opieką aniołów którzy pilnowali tego miejsca. Łukasz spojrzał na oddalającego się anioła który po chwili znikł.

-A więc tu będzie moje miejsce.

Jeden z anielskich strażników podszedł do Łukasza mówiąc.

-Chodź ze mną Boża istoto.

Drugi został, widać było że się martwił. W myślach mówił do siebie.

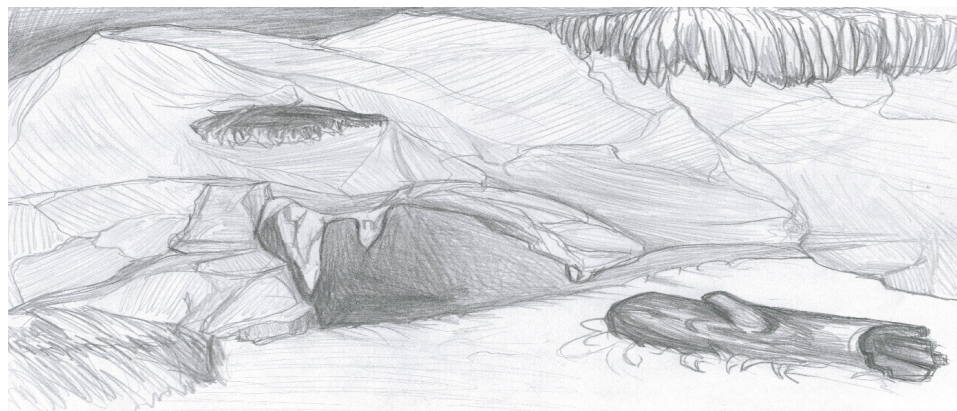
To dość trudna kara, wielu próbowało i tylko nie licznym udało się dotrzeć do końca. Pamiętam kobietę która była przekonana jak wchodziła, że sobie poradzi. Długo nie trwało, wybiegła mówiąc do nas że nie da rady i woli odkupić winy gdzie indziej, tylko nie w tym miejscu. Też nie za wiele wiem, jak to wygląda. Ech, tylko żeby sobie poradził ten chłopak.

Natomiast drugi anioł przyprowadził Łukasza do Rabbiego, chyląc nisko głowę powiedział.

-Panie mój przyprowadziłem tą duszę do ciebie.

Chłopak widząc zachowanie anioła, uklonił się nisko witając. Jezus pokazał mu w miejscu odludnym pewną dziurę okrągłą i mroczną, mówiąc.

-Jeśli ktoś prawdziwym duchem skruchy i wiary spędzi tam cały dzień i całą noc, to oczyści się ze wszystkich swych grzechów.



Po czym Rabbi chłopaka zapytał.

-Czy jesteś gotowy na taką pokutę za swoje grzechy ?

-Panie mój, skoro mnie tu przyprowadzono, podejmę się tego wyzwania. Chcę mieć czystą duszę.

Łukasz pełen obaw czy uda mu się, podszedł do dziury. Przystanął, spojrzął się mówiąc sobie w myślach. Jestem gotowy, co ma być to będzie.

I tak skoczył w nie znane. Ogarnęła go ciemność. Wystraszył się, że będzie cały czas spadać lecz przypomniał sobie słowa swojego księdza w kościele za życia „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne”, i tak uspokoił się. W myślach mówił do siebie. Przecież to tylko dzień i noc.

Zapomniał że tu inaczej biegnie czas, dla jednych, dwa dni to dwa lata, dla drugich trzy dni to trzysta lat. Chłopak miał tam spędzić całą noc i dzień. Kiedy już się wyciszył poczuł skruchę i żal za grzechy, poczuł też ogromne poczucie winy. I tak mijała godzina za godziną, pogrążony w tym stanie płakał, po czym uśmiechał się, że po tych cierpieniach będzie w lepszym świecie. I wnet zrozumiał, że w tym miejscu spędzi dużo czasu. Przychodziły chwile kiedy odczuł ulgę, wtedy śpiewał sobie pocieszając się na duchu, by po chwili znów czuł ból, że tak źle czynił za życia. Już sam stracił rachubę ile czasu już w tym miejscu jest. Minęło zaledwie parę godzin, a dla Łukasza to już tydzień. By nie zwariować z tej ogarniającej jego ciemności. Wyobrażał sobie jak to będzie w niebie, wracał obrazami do życia, by znów po tym poczuć cierpienie za grzechy, a trwoga stawała się coraz silniejsza i dłużej trwała. Przychodził obłęd do głowy, z tej samotności i ciszy jaka zaczęła go trapić.

Coraz trudniej było wytrzymać jemu każdą minutę, by nie zwariować,

znów śpiewał, po czym płakał. I tak cały czas, ze skrajności w skrajność. W głowie miał myśli, że nie da rady, ale powtarzał sobie, że to tylko jeden dzień.

Nagle usłyszał coś, ale nie wiedział co to może być, sądził że zaczyna w tym miejscu wariować. Niewyraźny głos znów się powtórzył, a i tym razem zignorował. Kiedy powtórzył się ponownie, Łukasz wyciszył się, chcąc wsłuchać się szeptał sobie w myślach mówiąc.

Nie wiem już co się dzieje, dobry Boże miałem tu odpokutować za swoje grzechy, a ja zaczynam wariować. Już sam nie wiem co robię. Cisza dalej panowała, do tego znów wina za grzechy, wyraźnie opadał już z sił. Głos pośród mroku nagle głośno odezwał się.

-Pamiętasz?...

I znów cisza.

Łukasz który już był na skraju wytrzymałości, odpowiedział.

-Kto mówi ?

I znów cisza, a po niej ponownie.

-Pamiętasz ?...

Łukasza opanowało poczucie strachu, że straci tu ostatnie resztki rozumu.

-Pamiętasz jak kradłeś jabłka?

I Łukasza wystraszył się, a później ogromne poczucie winy mu towarzyszyło, i rozplakał się.

A natrętny głos dalej mówił.

-Pamiętasz ? ...

Chłopakowi pokazał się inny moment w życiu, gdzie był zły na swoją matkę, ponieważ nie dostał prezentu na swoje urodziny. W złości, krzyczał i wyzywał, po czym poszedł do pokoju.

Ponownie poczuł ogromne poczucie winy i skruchę, a to bardzo bolało chłopaka.

A uparty głos znów się odezwał.

-Pamiętasz?...

Chłopak nie wytrzymał.

-Dość, nie przypominaj mi, to są moje grzechy. Przyszedłem tu by odpokutować za moje czyny jakie zrobiłem za życia.

A głos dalej.

-Boga nie ma.

Mówiąc sobie w myślach Łukasz rzekł.

Jak go nie ma, przecież jestem tutaj, żyję.

Odezwał się drugi głos mówiąc.

-Nie słuchaj tego.

-No pięknie kolejny głos, może naprawdę zwariowałem.

Znów zapanowała cisza. A minęło dopiero parę godzin kary. Wyraźnie odczuwał, utratę sił. Powoli tracąc nadzieję, że uda mu się przejść przez czyściec. Ponownie głos odezwał się.

-Dasz radę.

Po tym Łukasz nabrał sił do walki.

-Muszę dać radę, już sam nie wiem jak długo tutaj jestem. Miał być jeden dzień i noc. A mi się wydaje że to już parę tygodni.

Uklęknął, tak mu się wydawało, zrobił znak krzyża i zaczął się modlić tymi słowami.

- Dobry Boże daj mi siłę bym mógł przejść, przez ten czyściec. Nie chcę zwariować. W imię Jezusa Chrystusa dobry Boże dopomóż mi w tym. Amen.

Po tym odmawiał inne modlitwy, i choć na chwilę poczuł się dobrze.

I tak walczył z przeciwnościami. Z obłędu w obłęd, z radości w smutek, śpiewał, modlił się, wspominał dobre i złe chwile za życia, tracił siły i je odzyskiwał, a głosy jak by nakręcone powtarzały się. Dokuczała mu samotność, cisza, pragnienie by mógł kochać Boga. Zastanawiał się czy dał by radę, tak jak inne dusze oczyszczać się w ogniu. Dopadała go myśl żeby skończyć, ale w mrokach zobaczył światelko, mały punkcik. Gdy go zobaczył, bardzo się uradował. Ale to nie był koniec jego cierpienie. Wytrzymał noc, a teraz musiał wytrzymać dzień. Mówiąc do siebie.

Jednak blask dnia jest najlepszy.

Czuł nadal winę za grzechy, i skrucę, ale towarzyszyła mu myśl, że teraz już będzie o wiele lepiej. A światelko się powiększało, i powiększało, aż odepchnęło mrok jaki mu towarzyszył. Widząc swoje przezroczyście dłonie, radował się jak małe dziecko.

-Doczekałem się dnia i lepiej już się czuję.

Owszem dokuczało mu sumienie, lecz przepełniony nadzieją czekał co wydarzy się w dzień. Poczuł co nigdy nie odczuwał, jak by nosił cały ciężar na plecach, a teraz odczuł jak by mniej miał w swoim plecaku. Ciężar grzechów jeszcze dokuczał, ale jak by mniejszy. Chwila radości chłopaka nie trwała długo. Po chwili poczuł ciepło. Myślał że ta jasność ulży mu w cierpieniu. Był w błędzie.

Coraz cieplej się robiło.

-Jak to możliwe przecież nie mam ciała, a odczuwam wyraźną spiekotę.

Z każdą chwilą temperatura się podnosiła. Płomieni nie było widać, a czuł się jak by przy nich stał.

-Chyba się myliłem sądząc że jasność da mi wytchnienie

Wyraźnie odczuwał płomienie. Przeszedł kawałek dalej, lecz różnicy nie było.

-Ale tu ciepło się zrobiło.

Spiekota dawała wyraźnie o sobie znać. Raz poczuł na stopach, by po chwili czuć gdzieś indziej, aż ogarniała całą jego duszę.

Doszedł do tego też ból sumienia. Kiedy wspominał o grzechach za każdym razem nie widoczne płomienie, jak by igły wbijały się w duszę. A spędził w jasności zaledwie chwilę. Do głowy przychodziły mu różne myśli, a najlepsza była, że połowę miał już za sobą. Zrobiło się trochę chłodniej.

-Och jaka ulga, westchnął z radością.

Nadal odczuwał smutek, że Bogu wyrządził tyle przykrości swoimi przewinieniami. A otoczenie coraz zimniejsze się robiło. Usiadł obejmował się dłońmi pocierając, jak to za żywota kiedy człowiek czuje zimno na swojej skórze i drżał z zimna. Obydwa stany považaly się, raz zimno nie do wytrzymania. Jeszcze nie rozumiał o jakie cierpienie chodzi.

Znów zaczął się modlić, prosząc o przebaczenie.

-Dobry Boże wybac mi, za to że sprowadziłem smutek, że widziałeś jak grzeszę, proszę Ciebie wybac mi.

Gdy tak przechodził z skrajności w kolejną odczuł ponownie ogromna skruchę, która sprawiła że upadł na kolana. Ból jaki doznawał był niczym w parowaniu, do bólu wewnętrznego. Zły na siebie że tyle zła uczynił za życia. Doszło do tego, że siebie znieawidził, po prostu przestał siebie kochać. Myśli jak obalone drzewo, przygniatały jego serce.

-Czemu tak mało spowiadałem się w kościele. Ile ja grzechów zapomniałem powiedzieć. A moja wiara taka słabiotka. Przyznam się, nie raz wątpiłem, czy istnieje Bóg, ale byłem posłuszny rodzicom. Staralem się dzień święty szanować tak jak powinien katolik. Przyznam że nie zawsze, bo trzeba było czasami pracować na gospodarstwie w niedzielę.

Już sam nie wiedział ile czasu minęło. Ten dzień wydawał mu się bardzo długi. Zaciął zęby mówiąc.

-Już tyle za mną, muszę dać radę. Liczy się bym był czysty, a nie ile spędzę tu czasu.

Zdziwił się bo poczuł w tym całym cierpieniu leciutką ulgę. Mówiąc sobie w myślach.

Dziwne nie czuję już takiej spiekoty, czyżbym mylił się co do tego cierpienia.

Łukasz zapomniał, że ludzie na ziemi oczywiście nie wszyscy, ale ci którzy modlili się, w kościołach, odpustach, czy w pacierzach i różnych modlitwach, błagali Boga by zlitował się nad duszami w czyśćcu. I taką ulgę otrzymał chłopak, a on sam zapomniał o tym pięknym geście.

Kiedy na chwilę uspokoiło się, usiadł ponownie by zebrać siły.

Bardzo wyczerpało chłopaka to cierpienie. A z każdą chwilą jego dusza była oczyszczana.

-Muszę wykorzystać chwilę spokoju, zebrać siły. Chcę w pełni oczyścić się z wszelkich grzechów. Bóg nie lubi brudnych dusz i nie wpuści do puki nie będę czysty. Nic nie robi ponad moje siły.

I tak pocieszał siebie i uśmiechnął się na chwilę.

Na koniec ponownie odczuł dwa stany jakie mu towarzyszyły, ale tu nie chodziło o to by odczuwał ból, w życiu chłopaka nie było prawdziwej miłości do Boga, owszem żył jak katolik, ale właśnie

tego zabrakło. Męczył się, lecz zaczął powoli odczuwać, coś co nie był w stanie opisać. Zaprażył wielbić stwórcę, za wszystko, za to że jest, za to że stworzył go, że choć krótkie miał życie ale rodziców kochał którzy dali mu tyle dobrego, za wszystkie dary jakie otrzymał. Uklęknął mówiąc.

-Bez granicznie dobry Boże ufam tobie, prowadź mnie przez wieczność, wielbię cię i kocham bezgranicznie. Dziękuję że mogłem, tu się oczyścić z wszelkich grzechów, będę ci oddany.

Po tych słowach rozradowało się serce chłopaka, aż rozplakał się ze szczęścia. Kara powoli już mijała, a z każdą chwilą miłość rozkwitała w jego sercu. W pewnym momencie poczuł ogromną ulgę.

Chłopak nie widział jak szedł w jego kierunku anioł, który wołał go po imieniu. Z początku myślał, że znów jakieś głosy słyszy. Głos wyraźnie zbliżał się, a z nim jego głośniejsza barwa. Rozglądał się dookoła, lecz nikogo nie widział. Kiedy stanął anioł koło niego, wyraźnie słyszał, ale nic nie było widać. Odsłonił kaptur anielski posłaniec i rzekł do Łukasza.

- Witaj Łukaszu walczący ze złem. Tu jestem, chodź za mną, już czeka na ciebie Pan nieba i ziemi.

- Kim jesteś, czy to koniec mojej kary za grzechy? Jak to walczący ze złem?

- W czyścicu miałeś znak białego płomienia na sercu, co znaczy „walczący z ciemnościami”. Jestem jednym z aniołów pilnujących Nieba. Tak to już koniec twojej pokuty. Nie czujesz różnicy, jak było przedtem, a jak jest teraz?

-Tak, taka radość mnie rozpiesza i miłość do wszystkich, a w szczególności do Boga. To dla tego tak patrzyli się na mnie w czyścicu ludzie.

- Chodź ze mną - odparł anioł który bardzo się cieszył widząc kolejną duszyczkę czystą, zaliczaną do zbawianych.

Na twarzy Łukasza uśmiech szeroki jak nigdy gościł, spojrzął się na aniołka, a on na Łukasza i oboje rozradowani. Posłaniec się cieszył, że chłopak będzie z nim w niebie, a Łukasz zadowolony pełen radości i miłości w sercu, że teraz jest czysty bez grzechu. Przeszli tak razem zaledwie parę metrów. Anioł zniknął, a Łukasz znalazł się w miejscu już mu dobrze znanym. Ponownie był to korytarz z dziwami. Już na chłopaka czekał inny aniołek, ten miał piękne białutkie niczym śnieg skrzydełka, oraz aureolę.

-Wiesz że od teraz zaliczany jesteś do świętych ?

-Naprawdę?

Aniołek uśmiechnął się, po czym mu odpowiedział.

-Tak, miło patrzeć na ciebie, że jesteś szczęśliwy. Teraz zaprowadzę cię do nieba, tam już czekają na ciebie wszyscy. Nigdy mi się nie znudzi widok Bożej istoty po wyjściu z czyścica.

I tak udali się w stronę wrót, ślicznie ozdobionych. Chłopak wyrazie czuł jak rośnie z każdym krokiem radość powiązana z miłością. Uczucie takie jak żaden człowiek na ziemi nie jest w stanie odczuć. Wrota nie musiały się otwierać, po prostu przez nie zwyczajnie przeszli. I tak oboje znaleźli się w niebie.

Rozdział III - „W Niebie”

Łukasz jak zobaczył niebo był przeschęśliwy, ujrzał, że jego szaty rozświetliła jasność emanowała z niej nie opisana dobroć. Tak naprawdę szaty były skromne. Całość dodawała uroku jego czystej duszy. Owa jasność bieli pochodziła z serca, ale tak rozradowała go że aż popłakał się ze szczęścia. Zapomniał na chwilę że jego rodzice, są na ziemi pogrążeni w smutku. Podniósł głowę, a jego oczom ukazał się wysoki mur o barwie złocisto żółtawej i pięknie ozdobiona brama pomalowana jak by białą mgłą. Na niej rosła podobna do winorośli, roślina z kwiatami które się ruszały, jak by żyły. Wysoki łuk z prawej do lewej nad wejściem, który palił się pięknym płomieniem. Po obu stronach stali wysocy strażnicy niebiańskie istoty pilnujące wejścia.



-Witajcie bracia - odpowiedział zbawiony.

Strażnicy podali chłopakowi dłoń. Znak pokoju.

-Witaj Łukasz przed wejściem do Niebiańskiego Królestwa. Na ciebie już czeka po drugiej stronie nasz Pan, nie może się doczekać kiedy cię

ujrzy.

Zdziwiło go czemu nie ma Św. Piotra przed bramą. Kiedy miał o to zapytać, zaraz mu odpowiedział jeden z pilnujących.

-Wielu pyta o to samo, po prostu czasami przychodzi, raz jest za bramą, czasami przed, modli się pomaga ludziom na ziemi, innym razem pilnuje wejścia z innego miejsca. My jesteśmy tu po to by pomóc w tym zadaniu Boża istota.

-Skąd wiedzieliście że chciałem o to zapytać ?

Uśmiechali się, po czym odpowiedział anioł który go przyprowadził.

-Spokojnie Łukasz mają taki dar od Boga. Ja teraz muszę wrócić i zostawiam tutaj ciebie.

Brama powoli się otworzyła, z niej wydobyły się promienie światła, które zapraszały chłopaka by wszedł i poznał miłość stwórcy. Łukasz pełen miłości, radości oraz szczęścia poszedł w nieznane.

Jego oczom ukazał się tunel, gdzie chłopak przemieszał się w kierunku mu nie znanym. Jego serce z każdą chwilą przepęłniała miłość, ale to uczucie było powiązane z radością, szczęściem oddaniem się w opiekę całkowicie stwórcy, wielbieniem doskonałości, jak by ktoś różnymi farbami uczuć pomieszał tworząc piękne uniesienie. Wiedział że gdzieś tam na samym końcu czeka na niego Bóg który bardzo się ucieszy na jego widok.

Nagle opanowała go jasność, wiedział że jest przed Bogiem cały czas był sobą, takim jakim go powołał do istnienia Bóg i upadł na

kolana. Niesamowicie przepelniony pokojem Łukasz skąpany w świetle i w tej nie od opisana miłości pragnął być przy niej cały czas. Kiedy klęczał przed stwórcy majestatem calutkim sercem uwielbił bezgranicznie i z bojaźnią. Mówiąc z drżącym głosem.

-Dobry Boże pragnę być Ci wierny wiecznie.

Zapraǳnął zapytać się Boga dlaczego tak się stało, że musiał odejść z tamtego świata i to w taki sposób.

-Zaufaj mi moje dziecko.

Po tym znów znalazł się w tunelu. I oczom jego użalały się chmury które przed nim się rozsuwały. Leciał a w dali było widać coś nie wyraźnego. Jakiś obiekt i postacie jak by czekały na kogoś. Kiedy zbliżył się zobaczył.

Po środku schody które prowadziły do nieba, a przed pierwszym stopniem stał Rabbi, który miał rozłożone dłonie chcące objąć Łukasza. Chłopak zobaczył jasność z serca i rany, upadł na kolana przed Jezusem chcąc oddać szacunek jego majestatu.

-Wstań Łukasz, chce ciebie objąć, przywitać w domu mojego Ojca.

Pan nieba i ziemi objął go jak przyjaciel przyjaciela po długiej rozłące.

-Panie aż mi głupio, że mnie tak witasz.

Aniołki które stały wyżej, rozradowały się widząc zachowanie Łukasza. On sam zawstydział się.

W chodząc po schodach mistrz zapytał chłopaka.

-Powiedz mi co chciał byś robić w niebie, a powiem że pracy jest wiele. Na pewno nie będziesz się nudził.

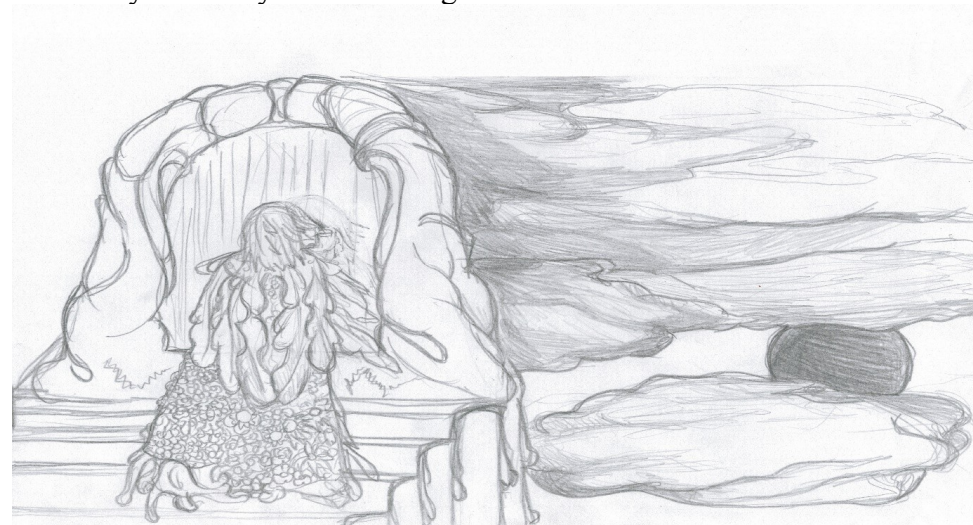
-Panie, mi wystarczy że będę zmiatał drogi w niebie, ale każdej pracy mogę się podjąć. Jak się zmęczę to odpocznę. A w wolnych chwilach pomodłę się do Pana Boga za duszyczkami w czyścicu i

ludźmi na ziemi. O oczywiście też za wszystkimi w niebie by trwali przy Bogu.

-Dla ciebie jest inne zadanie, ale to z czasem.

Łukasz się ucieszył, że jest potrzebny w niebie.

Przodem szedł Rabbi za nim aniołki leciały, a Łukasz grzecznie podążał za nimi. Przeszli przez ładnie ozdobione jak by lustro. Łukasz zatrzymał się i po raz pierwszy zobaczył siebie. Czy to prawda że tutaj jestem, ale zaraz się wystraszył że wątpi iż znajduje się właśnie w niebie. Skromne szaty które w pasie wiązała winorośl wplatająca się w ubranie z jak by żywymi kwiatami które się poruszały. Złapał roślinkę, a ona się poruszyła. Mógł spokojnie leciutko wyciągnąć pnącze z materiału, a zawiązując ponownie wplatała się w materiał. Łukasz był skromny i uradowało go to co widział.



Jednak nie wiedział że to jest test czy kocha bardziej Boga czy samego

siebie. Na szczęście nie miał takich skłonności.

Dotknął lustra dłonią i zobaczył w nim piękną krainę, nie czkając długo przeszedł.

Po drugiej stronie zobaczył ścieżkę która wiała się, kiedy po niej stapał zostawiał świetlisty ślad. Wysoko latały małe aniołki chowające się za puchem, wyraźnie bawiły się w chowanego inne latały za sobą goniąc się. Widząc to Łukasz roześmiał się, a jakiś aniołek podleciał do niego.

-Pobawisz się z nami?

-Chciał bym, ale nie mam skrzydełek jak wy, może spróbuję w chowanego?

-To się ukryj - odpowiedział aniołek.

Łukasz pobiegł ścieżką kawałek, usiał na niej skulił się jak by za czymś się schował, mówiąc.

-Już się schowałem, możecie mnie szukać.

Aniołek przykładał się chłopakowi po czym mówi.

-Przecież ciebie widać, źle się ukryłeś- roześmiał się aniołek.

-Faktycznie, ale ze mnie niezdarą.

Chłopak wyraźnie chciał rozweselić aniołki i udało mu się.

-Wybaczcie mi ja muszę iść dalej.

Zostawił bawiące się aniołki, doszedł na rozwidlenie gdzie stał anioł. Miał książkę i coś czytał. Chłopak zastanawiał się gdzie ma podążać. Ponieważ jedna ścieżka prowadziła w dół a druga w górę.

-Witaj aniołku, gdzie prowadzą te dwie drogi?



Aniołek przestał czytać.

-Witaj bracie, te dwie drogi różnią się, schodząc niżej zobaczysz ogród rajski, gdzie wszyscy bawią się i weselom, śpiewają, można tam nauczyć się piosenek wielbiących Ojca naszego. Kraina nie ma końca, a barwy są tak wspaniałe że bledną przy nich te ziemskie. Boże istoty mam tu na myśli ludzie odpoczywają po ziemskiej wędrówce, tam możesz spotkać swoich bliskich. Oczywiście jeśli dostąpili zbawienia. Wspólne ucztowanie, przy zachodzie słońca. Opiekują się zwierzętami, rozmawiając z nimi. Razem z aniołkami budują proste domki, gdzie każdy może mieć swój. Jeszcze inni dotykają roślinek które

śpiewają swoimi barwami. Jest tam też miejsce dla pisarzy, malarzy którzy żywymi barwami malują krainę. Przychodzą tam też wybrani i opowiadają opowieści małym dzieciom i tym co nie znają naszego Ojca, jego wielkich dokonań. Tam najskrytsze marzenia można spełnić, ale za zgodą naszego Pana nieba i ziemi. Długo bym wymieniał musiał byś sam się przekonać. Za to wyżej, jeśli tam się udasz, możesz iść do szkoły i stać się aniołkiem pilnującym ludzi, aniołkiem który pilnuje miejsc w naszym królestwie, zostać nauczycielem. Zadań jest tak wiele, że czasami brakuje nam aniołków. Jest tam też miejsce gdzie wszyscy modlą się, pilnują ludzi na ziemi. Lecznica dla chorych gdzie można dobrymi uczynkami pomoc, oczywiście każdy z nas dostaje od Boga różne dary, ale na nie trzeba zasłużyć. Zbawieni którzy nie znali Ojca naszego, uczą się podczas opowiadań całej historii, dzięki temu ich wiara i miłość rozkwita. To tylko mała cześć naszego Królestwa Niebieskiego. U nas czasami ciężko się pracuje, ale nikt nie narzeka. Cieszymy się że stwórca dał nam istnienie, wielbimy go kochamy za wszystko. Cały czas toczy się wojna ze złem, ale jak powiedział nasz Pan skończy się i zatryumfuje dobro na wieki. Wielu niegdyś zbłądziło, słuchając nieprawdy głoszonej przez złego później ducha. Możesz spokojnie wszystko prawie zwiedzać, powiedziałem prawie, bo są miejsca gdzie tylko nie liczni mają wstęp.

-Ja chcę pracować, nie boję się ciężkiej pracy, powiedz mi do kogo mam się zgłosić o jakieś zajęcie dla mnie. Mogę sprzątać, zamiatać. Chcę się czuć w niebie potrzebny.

Anioł uśmiechnął się.

-Na każdej ze ścieżek znajdziesz kogoś kto ci da zajęcie, ale nie tylko tam. Każdemu możesz pomóc wszyscy dadzą ci jakieś zajęcie. Proponował bym ci udać się do naszego Pana, którego już za pewno znasz. Wszyscy udajemy się do niego z prośbami, problemami, co mamy dalej czynić.

Zawsze nas wysłucha i pomoże, da jakieś zajęcie, wesprze dobrym słowem.

-Tak uczynię, pójdę do naszego Pana i zapytam o drogę jaką mam iść. Gdzie mogę go znaleźć?

-Czasami wystarczy że pomodlisz się, wezwiesz i będzie przy tobie. Widzę że jesteś tu od niedawna dlatego proponuję ci iść do góry tam ktoś na pewno wskaże ci drogę. Jak bym ci powiedział i tak byś nie trafił.

Z uśmiechem Łukasz powiedział.

-Zatem do następnego spotkania aniołku, już ci nie przeszkadzam w lekturze.

-Nie przeszkadzasz, takie tu moje zajęcie bym pomagał wszystkim co potrzebują pomocy. A czytam bo nie wielu tu przychodzi. Ciężko dostać się do naszego królestwa.

-Dziękuję ci za pomoc aniołku i za wskazanie drogi.

Posłuchał aniołka Łukasz i udał się po chmurkach w górę. Po drodze spotkał dziewczynkę która wyraźnie czegoś szukała na kolanach, cała skąpana we łzach. Chłopak szybko podszedł do niej chcąc poznać powód jej smutku.

-Witaj, czemu jesteś taka smutna, co się stało?

-Zgubiłam gdzieś aureolkę, dlatego płaczę.

-Jak ona wygląda?

-Taka okrągła, kolorem przypomina, kiedy słońce na zielonej trawie odbija się. Niebo jest takie duże naprawdę wszędzie może być.

-Och nie martw się pomogę ci szukać twojej zguby.

Dziewczynka wstała.

-Najpierw pójdziemy niżej tam popytamy się czy nie widziano jej, a później zobaczymy wyżej.

Tak dotarli do aniołka niżej, gdzie już chłopak rozmawiał z nim wcześniej.

-Witaj ponownie aniołku, nie widziałeś aureolki tej dziewczynki.

-Och Asiu spokojnie, wiem gdzie może być. Już nie raz ją zgubiła, ale biedna zapomina gdzie może być. Miałem zaprowadzić ją do lecznicy, ale nie przychodzi zmiennik, a ja muszę tu pilnować miejsca.

Na to Łukasz.

-Ja mogę ją zaprowadzić, ale powiedz gdzie jest jej zguba?

-Tutaj jest.

Anioł z pleców podniósł aureolkę i wsunął nad głowę.

Dziewczynka rozradowała się, widząc że ponownie ją ma.

-Jest, jest znowu ja mam!

-Łukasz zaprowadzisz ją do lecznicy, by nie musiała już więcej płakać.

-Tak zrobię, o ile ze chce ze mną iść. Czy chcesz ze mną iść, byś już więcej nie zgubiła aureolki?

-Tak

Złapał dziewczynkę za rękę i ponownie chłopak wspinał się, a po drodze znów Asi spadła. Łukasz szybko ją poprawił, tak czynił przez całą drogę. Z daleka widział dwóch ludzi którzy rozmawiali ze sobą. Łukasz z dziewczynką podszedł do nich, gdzie chłopak grzecznie pyta.

-Witajcie bracia, przepraszam że przeszkadzam wam w rozmowie.

-Witaj bracie - odpowiedzieli.

-Możecie mi pomóc szukam miejsca gdzie można leczyć aniołki, tej tu dziewczynce w ciągle spada aureolka, i z tego powodu często płacze i biedna szuka jej.

-A to dziwne przecież nie może spadać, ale dobrze zaprowadzę was do lecznicy, wiem gdzie to jest.

-A ciebie bracie tu na razie muszę zostawić, nie długo będę z powrotem, poczekaj tu na mnie.

Mówiąc dalej.

-Dobrze że zobaczyłeś tego aniołka, a jak ci na imię?

-Łukasz, a ta dziewczynka to Asia.

-A tobie?

-Daniel

-Widzisz Łukaszu, dobrze że zobaczyłeś tą dziewczynkę, my tu w niebie nie możemy patrzeć jak ktoś płacze. Wszyscy o ile możemy, zostawiamy co aktualnie robimy i idziemy od razu z pomocą, tu w królestwie naszego Ojca nie powinien gościć smutek, a tym bardziej łzy. Jestem ciekawy sam, jak to się stało, że tej dziewczynce spada aureolka. Tam gdzie idziemy na pewno jej pomogą.

Powoli wspinali się po schodach, za wzniesieniem zatrzymali się przed urwiskiem gdzie stali niebiańscy strażnicy. Przeprowadzić się można było mostem, gdzie przepięknie był wplecione nie spotykanymi na ziemi kwiatami. A dotykając je świeciły zmieniając co chwilkę barwy. Na przeprawie siadły przeróżne latające stworzenia, słychać było jak ze sobą rozmawiają, śpiewają, tańczą lub robiąc piruety. Aniołki, te które miały skrzydła mogły przelecieć na drugą stronę, reszta istot Bożych tą piękną kładką przechodziła. Można też było poprosić, wysokich strażników by przenieśli w koszyku. Nie stało by się nic złego, jeśli ktoś by zleciał na dół, zatrzymał by się na miękkiej rzece, świecącej złocistym kolorem. Prowadziła ona na dolną i górną część nieba. Nurt jej był bardzo słaby, ale jak ktoś chciał wyjść ukazywały się schody, aniołki pomagały, czy strażnicy. Przelatywała co jakiś czas wielka Ratandyną stworzenie ze skrzydłami i długimi dłońmi, gdzie na grzbiecie rosły rośliny, siedziały też tam przeróżne zwierzęta, aniołki czy ludzie. Dzięki tej istocie można było zwiedzać niebo. W oddali za przepaścią było można zobaczyć ogromne drzewa unoszące się, konary sięgały wysoko, nie było można określić ich wielkości. Po wejściu do drzew można było dotrzeć do różnych krain w niebie.

Kiedy dotarli do strażników, Daniel przedstawił im powód

przeprawy na drugą stronę.

-Witajcie Badyzje, wielcy strażnicy krain królestwa naszego Ojca.

Badyzje były to wysokie istoty strzegące krain, ważnych miejsc w niebie, potrafiących podnosić niebawem ciężary, mogły zmieniać swój wzrost. O niebawem zielonych świecących oczach które mogły przemieszczać się po całym ich ciele, czasami, aż świeciły całe. Potrzebne to było aby widzieć na duże odległości. Wyglądały na dość wiekowe stworzenia, po środku ogromne oko, kilka par rąk do chwytania, bardzo mądre, efektywnie mogły zrobić kopię siebie.

Stróże nachylili się by zobaczyć, z kim rozmawiają, po czym nagle zmienili swój wzrost.

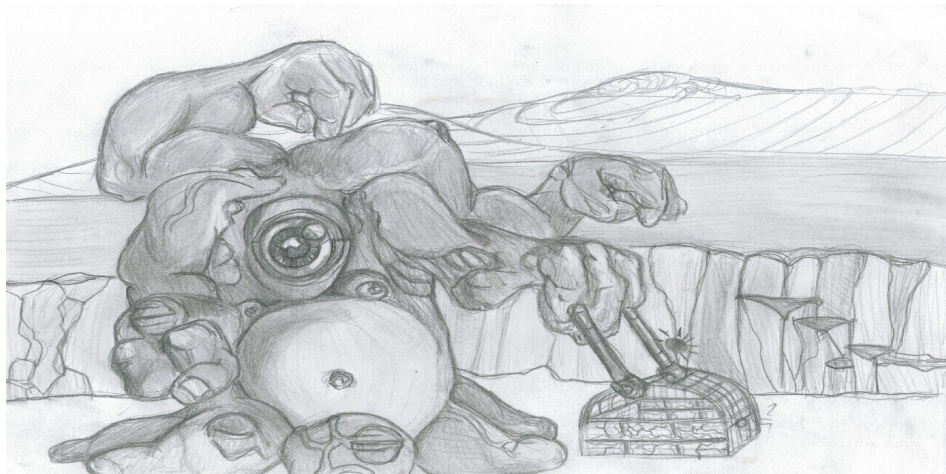
Jeden z nich zaczął przemawiać.

-Właśnie widzę że to dziecko Boże choruje. Zaniosę was w tym koszyku do lecznicy. To jest spory kawałek drogi.

Drugi strażnik przemówił.

-To idź bracie ja tu zostanę, będę pilnował za dwóch.

I nagle pojawiła się kopia jego. Duplikat zajął puste miejsce. Badyzja zmienił wzrost, Łukasz, Daniel i Asia weszli do utkane go z chmurek koszyka który stał z boku.



Jego również pięknie przyozdobiono, złocisto żółte poręcze, pomalowany chmurową barwą nad nim świeciło światelko. Potrzebne było jak ktoś chciał nocą przeprowić się. W niebie noc i dzień trwały o wiele dłużej. Strażnik wziął koszyk i dał dużego korka przez rozpadlinę. Do wysokich drzew trochę było drogi. W drodze towarzyszyły im wszelkie istoty latające, niektóre siadały na koszyku inne na strażniku, a reszta wirowała lecąc za nimi. Podleciała do nich mała istotka. Pierwsze co można było dostrzec, pałący się niebiesko-biały płomień na końcu ogona. Podwójne skrzydła po których spływały jasne kropelki, a na końcu jak zimne ognie rozbłyskiwały się. Ta istotka miała cztery łapki, białutkie futerko ale nie do końca. Niektóre włoski na przemian świeciły barwami nie spotykanymi na ziemi. Sterczące uszy gdzie porastały je długie włoski, przysłuchiwały się kręcąc się co chwila, co mówią siedzący w koszyku pasażerowie.

Łukasz który po raz pierwszy widział tyle różnych istot, tak był zachwycony ich widokiem iż chciał poznać nazwy tych istot Bożych. Mówiąc do współpasażerów.

-Jakie piękne zwierzęta, ciekawe jak się nazywają.

Istotka przysłuchując się nagle odpowiada.

-Witajcie, wile z nas jeszcze nie ma imion.

Łukasz zaskoczony, że potrafi mówić za niemiał. Po chwili odpowiada.

-Nie wiedziałem że potrafisz mówić i to w moim języku.

Istotkę opanował śmiech.

-Tu wiele zwierząt ma dar i mówi nawet kwiaty mogą przemawiać, nie ma podziału na języki, wydaje ci się że mówię w twoim języku. Tak naprawdę nasz Ojciec sprawił że możemy porozumieć się.

-Jak to nic nie rozumiem?

-Już ci wyjaśniam. Ja mówię w języku ptaków i go rozumiem, ale wypowiadając słowa, ty słyszysz swój. Ty mówisz w swoim języku i go rozumiesz, ale z chwilą kiedy mówisz, to ja słyszę język ptaków.

-Teraz rozumiem, wspólny język.

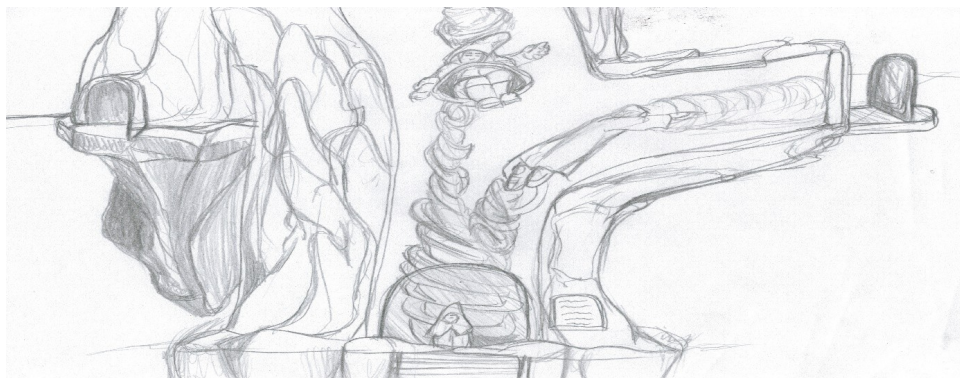
Po czym istota dalej przemawiała.

-Ja akurat mam przydzieloną nazwę, ale pojawiają się nowe istoty Borze. Jest miejsce w niebie gdzie się pojawiają, uczą się jak wszyscy. Za nim wypuszczeni zostaniemy, jesteśmy w pięknej krainie gdzie przydziela nam się imiona. Jedne dostają świadomość i dary od stwórcy, inne nie posiadają tego, ale Bóg kocha wszystkie. Panuje tu hierarchia i każdy ma swoje miejsce. Mnie nazwano Rydelf, moim zadaniem jest,

wypatrywać chorych zwierząt, i pomagam je zaprowadzić do lecznicy wspólnej dla wszystkich. Czasami też gdzieś wejść i nie mogą wyjść. O widzę zwierzę w potrzasku lecę pomóc.

Robiło się już późno, kiedy już prawie dochodzili na miejsce. Widzieli wszędzie spadające po woli małe światełka niczym śnieg. Opadały na ścieżki, a później powoli się unosiły, by po chwili zniknąć. Te które się poruszały to istoty obdarzone świeceniem, wyczekujące nocy by rozblysnąć wszędzie w całym niebie, owoce na drzewach rozjaśniły się lekko przygasając i mrugając niczym gwiazdy.

Kiedy byli już na miejscu, stróż postawił koszyk, wyszli z niego podróżnicy, a Badyzja zabrał go i udał się w drogę powrotną. Przed nimi były falujące winorośle które było zaplątane w drabinę, ona prowadziła do przepięknego ozdobionego wejścia. Gdzie wydobywało się pełno świetlistych kuleczek. Drzewo krain było tak wielkie, że widzieli tylko pień i żyłę światłości którą do góry podążali wszyscy.



Drzewa krain unosiły się na ogromnych korzeniach, a wejścia były na kamiennej postawie.

Zaczęli się wspinać po drabinie, a pnącza pomagały im wejść.

-Jak teraz dotrzemy do lecznicy ?

-Spokojnie, wystarczy że pomyślisz gdzie chcesz się udać i tam drzewo krain cię zaprowadzi. Lepiej bym za pierwszym razem to ja zrobił, bo przyznam się że kiedyś zagadał mnie brat i wszedłem nie tak pomyślałem i znalazłem się tam gdzie nie chciałem. Musisz uspokoić myśli, wyciszyć się, wejść i pomyśleć gdzie chcesz być. Złapcie mnie za rękę, a ja wejdę i pomyślę, świetliste kuleczki nas zaprowadza do lustra gdzie prowadzi do lecznicy.

Powoli leciutko zaczęli się wznosić, a światełka koło nich wirowały, jak by przyglądając się im. Podróż trwała zaledwie chwilę, a po niej znaleźli się przed lustrem do krainy gdzie leczą się wszelakie istoty.

-No jesteśmy na miejscu - odparł Daniel.

-Idziesz z nami do tej krainy?

-Tak.

Przeszli przez przejście, znaleźli się w wielkiej komnacie, z boku paliły się wirujące po woli niczym tornado płomiennie, usadowione w pojemniku który trzymały kamienne anioły. Z naczyń przezroczyste ogniste kropelki lądowały na podłogę, spływając do środka małymi wijącymi się wydrążonymi ścieżkami. Z centrum do góry bił niebieski słup oświetlający pomieszczenie. Wryte obrazy na ścianach opisywały momenty leczenia istot Bożych. Dalej dostrzegli kilkanaście aniołów podchodzących do chorych, robiąc piórkami znaki w powietrzu, które się unosiły, wyraźnie musiały mieć dar rozpoznawania dolegliwości. Uw znak przydzielał do odpowiednich miejsc w lecznicy. W większości na miejscu anielscy lekarze, darem

wyzdrowienia usuwali przyczynę choroby. Reszta przechodziła dalej korytarzem do wydzielonych miejsc.

Podszedł do nich aniołek.

-Witajcie, ale widzę że tylko jeden z waszej trójki jest chory- nie widząc że Łukasz też choruje.

Odpowiedział Łukasz.

-Witaj aniołku, tak to prawda, ja miałem zadanie przyprowadzić tą dziewczynkę. A Daniel mi wskazał drogę do tego miejsca.

-Niech tylko spojrzę co się stało.

Aniołek dotknął Asie, i po chwili spadła aureolka.

-To już kolejny przypadek, jak tak się dzieje. Czy pamiętasz jak to się stało Asiu?

-Gdzie moja aureolka?

I rozplakała się dziewczynka.

-Spokojnie Asiu już poprawiam ci aureolkę.

Łukasz tak powiedział do aniołka który przydzielał znaki.

-Przez całą drogę poprawiałem ją, dziw że mogłem to zrobić, wyleczycie tą dziewczynkę?

-Tak, musiałeś dostać dar, powinna przypomnieć sobie jak to się stało, za pierwszym razem. Przytrzymaj aureolkę.

Po chwili podszedł lekarz i dotknął Asie, przez dłoń wybiło się światło. Po czym powiedział.

-Och tu tylko pomoże nasz Pan, dusza nie chce zdradzić przyczyny.

Trzeba zaprowadzić dziewczynkę.

Daniel był ciekawy przyczyny.

-Zatem twoim zdaniem bracie, co mogło jej się stać ?

Lekarz na to.

-Jak się nie mylę musiała się czegoś wystraszyć.

Daniel już więcej nie pytał, spojrzał na chłopaka mówiąc.

-Ja tu Łukaszu ciebie zostawiam, bardzo się cieszę że mogłem wam pomóc. Idę czynić dalej dobro.

Łukasz widząc jak inne istoty w pomieszczeniu po wyleczeniu cieszą się i ściskają, dziękując aniołkom za wyzdrowienie, tak mu się to spodobało, że zapragnął być lekarzem.

-Czy mogę się nauczyć leczyć tak jak wy aniołki ?

Lekarz odpowiedział.

-Tak, ale za zgodą naszego Pana, i czeka cię długa droga. Od czyszczenia pomieszczeń, przez robienie lekarstw, dawania znaków rozpoznania choroby, po wpatrywanie się w dusze istot. Małe problemy lekarz jest w stanie naprawić, widząc dusze, do serca nie ma dostępu, tam tylko nasz Ojciec zagłada i nasz Rabbi. Jeśli czujesz powołanie to na sam początek

zaprowadź tą dziewczynkę.

Pokazał lekarz dłonią gdzie mają się udać.

-Tam przed pierwszą salą stoi anioł który zaprowadza trudne przypadki do naszego Pana. Przy okazji możesz się zapytać czy podołasz obowiązkowi jakim jest leczenie istot Bożych.

-Bracie daj tej dziewczynce znak, a ten chłopak zaprowadzi ja.

-Anioł nakreślił znak, kiedy skończył zaczął się unosić obok dziewczynki.

Po czym Łukasz odpowiedział.

-Dziękuję za radę, idę Asi pomóc.

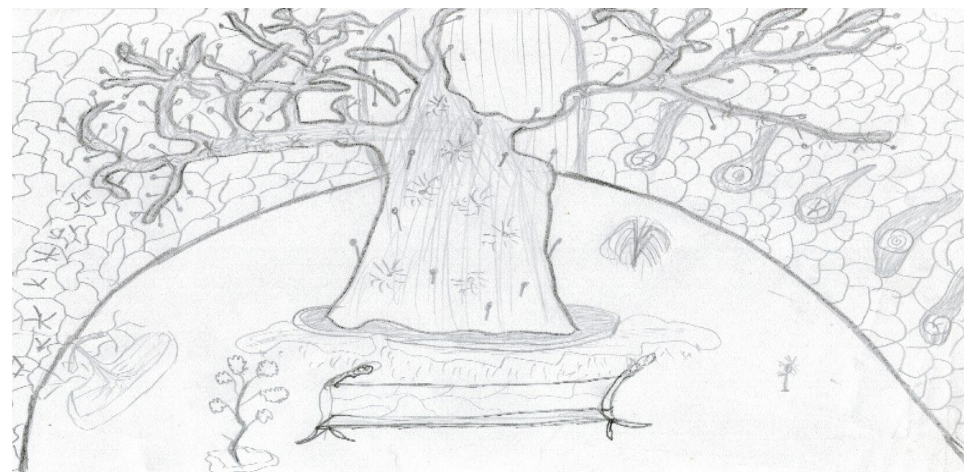
Stało tam kilka aniołków, zdezorientowany nie wiedział do kogo ma się zgłosić. Więc do wszystkich przemówił donośnym głosem.

-Witajcie bracia i siostry, muszę tą dziewczynkę zabrać do naszego Pana, tylko on może jej pomóc w dolegliwości, do kogo mam się zgłosić ?

Jeden z gromady odpowiedział widząc znak dziewczynki.

-Idź tu i z boku będzie taki mały ogród, tam zabierają aniołki na wizytę do naszego Pana.

Złapał za rączkę małą Asię, po czym im oczom ukazał się ogród, rosły tam przeróżne rośliny żadna z nich nie przypominała ziemskich. Na środku stało drzewo które się świeciło, osadzone w błyszczącej sadzawce, całość unosiła się na chmurze. Dookoła mór, na nim porzrzucone ruszające się znaki.



Chłopak usiadł na kamiennej ławce z dziewczynką i zaczął ją pocieszać.

-Zobaczysz Asię wyzdrowiejesz, będzie wszystko dobrze.

-Tak myślisz, nie chce chodzić smutna.

-Wiesz, spodobało mi się pomaganie, ogromną radość mam, że można komuś pomóc. Jak Pan nieba i ziemi wyrazi zgodę, może kiedyś zostanę lekarzem i będę leczył wszystkie istoty w niebie. A ty jakie masz zajęcia?

-Przez to wszystko co mnie spotkało zapomniałam całkowicie.

-Nie martw się, przypomnisz sobie.

Do ogrodu wszedł człowiek wyraźnie nie obecny, cały czas coś mówił do siebie. Towarzyszył mu opiekun i razem usiedli na kamiennej ławce.

Łukasz widząc tylu chorych mówił sobie w myślach.

Co się dzieje, przecież to niebo, nikt nie powinien tu chorować. A tu nagle tylu jest potrzebujących, coś musi się dziać.

Odezwał się aniołek który przerzedł z człowiekiem mówiąc do Łukasza.

-Witaj bracie. Tak coś się dzieje wielu zachorowało.

-Witaj aniołku. Jak to słyszysz moje myśli?

-Taki mam dar, dzięki niemu wiem jak pomóc ludziom zamkniętym w sobie.

-Jak myślisz co się dzieje, przecież to niebo tu nikt nie choruje.

-Moim zdaniem, musiało nie wiem w jaki sposób dostać się zło do nieba.

-Przecież niebo jest dobrze strzeżone.

-Tak to prawda, ale spokojnie na pewno to się wyjaśni.

Rozmowę przerwał im archaniołek który wszedł do ogrodu.

-No nareszcie ciebie znalazłem Łukaszu.

Zaskoczony chłopak przywitał się i zapytał.

-Witaj bracie, dlaczego mnie szukałeś?

-Zostaw tą dziewczynkę tutaj, zaraz ktoś do niej podejdzie, a ty musisz nie

zwłocznie ze mną pójść. Na całe szczęście jesteś gdzie powinieneś być.

Tak wyszli z ogrodu i Łukasz grzecznie szedł za archaniołkiem. Weszli do sali gdzie już na niego czekali lekarze i Rabbi.

-No nareszcie znalazła się nasza przyczyna problemów, odpowiedział jeden z leczących istoty Boże.

Po tych słowach Rabbi odezwał się.

-Teraz widzę, przyczynę naszych problemów. Jeszcze nie wiem jak to się stało.

Nadal Łukasz był zdezorientowany. Jeden z lekarzy odpowiedział do Jezusa.

-Panie mój da się to wyleczyć?

-Tak ale musimy wszystkich chorych jak najszybciej dać do lecznicy. To jak choroba rozprzestrzenia się. Trzeba zamknąć wszystkie bramy i przejścia. Zabierzcie chłopaka do osobnej komnaty. Jemu tylko nasz Ojciec potrafi pomóc.

Wszystkie bramy i przejścia zostały zamknięte. A chorych przybywało z każdą chwilą. Tak że lecznica była wypełniona chorymi. Chłopaka zaprowadzono do sali gdzie jeszcze nigdy nie była używana. Wejście po chwili znikło. Łukasz nie zdarzył się dobrze rozejrzeć, nagle opadł z sił i upadł. Jak by ktoś mu systematycznie odbierał siły. Na pół przytomny widział nie wyraźne postacie poruszające się, coś mówiły.

-Wyzdrowieje?...

-Jest widzę go...

-Dość głęboko siedzi...

-Jak tam się dostał?...

-Będzie zdrowy...

Łukasz powolutku otwierał oczy, widząc lekko przymglone światelko.

-No w końcu Łukaszu, miło widzieć ciebie z powrotem -odpowiedział aniołek który go pilnował.

-Gdzie ja jestem?

-Jesteś właśnie w lecznicy, naprawdę wszyscy o ciebie się martwili.

Teraz odpoczywaj, musisz nabrać siły. Przez ten czas dużo się wydarzyło.

Pytał chłopak dalej.

-Co się wydarzyło ?

-Nasz Ojciec walczył o ciebie i o nas wszystkich.

Odezwał się jeden z chorych.

-Słyszałem rozmowę gdzie mówili lekarze, że do twojej duszy dostało się zło. Zagnieździło się ale widzę że wszystko dobrze z tobą.

Zachorowało wielu, na szczęście nasz Bóg wygrał, kolejną z potyczek.

Łukasz zaskoczony powiedział.

-Ja nie chciałem, żeby z mojej winy zachorowało tyle istot Bożych.

Na to aniołek.

-Spokojnie Łukaszu to nie twoja wina. W ciągle nasze niebo jest atakowane z każdej strony. Tym razem zły duch przesadził. Wracaj szybko do sił bo potrzebujemy ciebie.

Do sali wszedł Rabbi.

-Witajcie moi przyjaciele.

-Witaj Panie-odpowiedzieli wszyscy.

Łukasz zerwał się z łózka i uklęknął przed Jezusem. Widząc to pozostali tak samo uczynili.

-Wstańcie i połóżcie się, musicie odpocząć. To jeszcze potrwa zanim dojdziecie do pełni sił. Nasz Ojciec też odpoczywa, po stoczonych walce. Chciałeś mnie Łukaszu o coś zapytać ?

-Tak mój Panie mam parę pytań.

-Wiem o co chcesz zapytać. Zły duch w monecie kiedy byłeś na ziemi, dostał się do twojej duszy jeszcze nie wiem jak to się stało, dlatego w czystcu słyszałeś jego głos. Kiedy wszedłeś do nieba niczym choroba przekazywana była tym których spotkałeś. Nie martw

się, Bóg nad nami czuwa. Wiem że chciałbyś zostać lekarzem. Nie widzę przeszkód być mógł leczyć. Teraz odpoczywaj.

Łukasz położył się, popatrzał na salę gdzie wracał do sił. Przezroczyste ściany przez które można było zobaczyć piękny ogród, kiedy spojrział w górę jego oczom ukazała się płynąca rzeka pełna wodnych istot Bożych. Łuk nad drzwiami był ozdobiony kwiatami z których kolorowy pyłek opadał na podłogę. Na podłożu piękna mozaika półprzezroczysta, patrząc w dół wydawało się że całość płynie na chmurkach. Aniołki które chodziły zostawiały jasne świecące ślady. Obok łóżek stały drewniane stoliki, z nich wyrastały inteligentne pnącza kwiatów. Można było z nimi rozmawiać, śpiewały czasami kiedy ktoś poprosił podawały przedmioty. Nocą po dotknięciu świeciły barwami nie spotykanymi na ziemi. Nie którzy mieli książki i je czytali. Przychodzili co jakiś czas lekarze pytając się jak się czują chorzy.

Po kilku dniach wczesnym rankiem kiedy wstał. Wszyscy jakoś rozweseleni byli, robili porządki, układali przedmioty. Zakończony Łukasz nie wiedział co się dzieje. Podszedł jeden z aniołków do chłopaka.

Proszę cię uporządkuj w koło siebie. Dziś mamy w naszej lecznicy wizytacje.

-Kto ma przyjść?

-Przyjdzie do nas matka naszego Pana.

-Rozumiem, już robię porządki.

Kiedy sprzątał właśnie weszła, Matka Boska. I wszyscy uklonili się nisko odpowiadając.

-Ave Maryjo.

Do każdego Królowa Nieba podchodziła pytając się, o ich zdrowie. Kiedy podeszła do Łukasza on upadł na kolana, witając.

-Widzę że już dobrze się czujesz.

-Tak, i bardzo chcę pomóc. Czuję się winny że tyle istot Bożych zachorowało. Nasz Bóg musiał walczyć o wszystkich.

-Spokojnie Łukasz, to nie twoja wina.

-Chciał bym zostać lekarzem by wyleczyć wszystkich chorych.

-Wszystko w swoim czasie.

Chłopak uśmiechnął się, kiedy wyszła oblubienica Boga. Łukasz uklęknął i zaczął się modlić. Widząc to inni którzy byli w sali talk samo uczynili. Po wspólnej modlitwie, aniołek powiedział do wszystkich.

-Jeśli ktoś czuje się na siłach i chce wyjść na zewnątrz to zaprowadzę.

Nie wszyscy poszli, a że Łukasz lepiej się poczuł poszedł za aniołkiem, który podszedł do półprzezroczystej ściany dotknął ją i przeszli chorzy, a im oczom ukazał się ogród.

-Ja tu zostanę przed wejściem jak ktoś źle się poczuje to go przeprowadzę do sali odpoczynku.

Łukasz widząc ławkę, podszedł do niej i usiadł. Reszta

rozmawiała, do chłopaka podeszła dziewczyna. Usiadła koło niego. Przez chwilę panowała cisza. Jako pierwsza odezwała się, bo

Łukasz z natury był bardzo nieśmiały.

-Witaj, jak masz na imię?

-Witaj Łukasz.

-Miło mi mnie Paulina. Wyglądasz na zasmuconego. Co się stało ?

-Czuje się winny że tyle Bożych istot zachorowało , czy w niebie można czuć winę?

-Spokojnie uspokój się, jeśli naprawdę zrobił byś coś nie tak, to na pewno został byś wyrzucony z nieba. A że nadal tutaj jesteś więc nie jest to twoja wina. Co do pytania czy można czuć winę ? Sądzę że to dobrze, poczucie winy jest ważne, wiesz wtedy że masz zdrową duszę, że sumienie które dobrze ci podpowiada. Gorzej jak źle kierunek wskazuje. Zawsze gdzieś prawda jest, gdzieś na samym dnie. Nigdy nie wolno przestawać walczyć o dobrą sprawę. Chyba jesteś jako pierwszy, co czuje w niebie winę, bo wina łączy się z grzechem. Będziesz musiał iść do lekarza, bo coś chce wzbudzić w tobie fałszywe poczucie grzechu, a przecież nic złego nie zrobiłeś.

-Myślę że masz rację, tak uczynię. Dziękuję ci z całego serca za słowa pocieszenia. Najważniejsze jest mieć zdrowe sumienie, i serce czyste. Chciałem zostać lekarzem by wyleczyć, ale widzę że sam jeszcze potrzebuje leczenia. Coś ze mną jest nie tak. Jak sadzisz czy zło mogło zagnieździć się w mojej duszy?

-Łukaszu nie bo zło nie mam wstępu do nieba. Spokojnie nawet jeśli by tak

było Bóg nie pozwoli byś w duszy nosił skazę. Zło to jest choroba, tylko u naszego Stwórcy jest prawda, wolność i miłość. Bo tylko miłość mogła to wszystko stworzyć, zło tylko niszczy.

I tak chłopak uspokoił się, zrozumiał że to nie jego wina, ale gdzieś w głębi wiedział że musi się wyleczyć. Uśmiechnął się do dziewczyny z którą rozmawiał.

-Och nie wiesz Paulino jak mi pomogłaś.

-Widzisz na tym też polega bycie lekarzem, nie tylko w głębi się leczy, ale i też dobrym słowem. Spokój w duszy to cos bardzo ważnego. Dobry Bóg dobrze wszystko zaplanował, zawsze walczy o nas. Zanim pomyślisz nasz Stwórca już wie czego pragniesz jaki masz problem, z czym się borykasz. Dla Boga nie ma rzeczy nie możliwych. Trzeba godzić się z Jego wolą, bo zawsze chce dla nas jak najlepiej. Ludzie na ziemi myślą że nie ma Boga, że im nie pomaga, nie zawsze dostają to co chcą, czasami dostając coś innego w zamian, dał nam wszystkim wolę i szanuje nasze wybory, tylko żeby były zgodne z zdrowym sumieniem i Jego wolą i prawami jakie nam przekazał na ziemi.

-Czy są tu jakieś prawa, przyczernia ?

-Najważniejsze jest zgadzać się z wolą naszego Boga, nawet jak mamy inne zdanie. Wielbić trójce przenajświętszą, modlić się tak by nasz Stwórca był zadowolony z modlitwy, a najważniejsze to by kochać sercem wszystkie istoty stworzone, a najbardziej naszego Boga. Jest za co dziękować, dał nam istnienie, dary, serduszko, duszyczkę, życie wieczne w miłości i sami nie wiemy ile jeszcze mamy.

-Na mnie chyba już pora, udam się do lekarza, a później odpocznę.

-Mam nadzieje Łukaszu że już nie długo znów się spotkamy.

-Zatem do rychłego spotkania. Z Bogiem Paulinko.

-Z Bogiem Łukaszu.

Chłopak wstał z ławki uśmiechnięty, wreszcie uspokoił się. Udał się do aniołka który pilnował chorych. Po czym przeszedł przez przejście i poszedł do łóżka i się położył. Zastanawiał się nad tym co usłyszał. Mówiąc do siebie w myślach.

Fajna z niej kobieta, mądra, dzięki niej uspokoiłem się. Tak bym się dręczył. Ciekawe czy można tu się zakochać, czy można być razem tu w niebie.

Gdy tak rozmyślał o tym co powiedziała do niego Paulina, po chwili zamknął oczy i zmęczony przysnął.

Do chorego co leżał koło niego podszedł aniołek sprawdzić jak się czuje, spojrzął na Łukasza ze zdziwieniem.

-Przecież nie można usnąć w niebie, dziwne bardzo dziwne.

Minoł jeden dzień w niebie i z samego rana chłopak powoli otwierał oczy, a koło niego stało parę aniołków, Rabbi i chorzy którzy z nim leżeli w sali. Spojrzął i przytknął oczy, ponownie je otworzył. Szybko wstał popatrzył na wszystkich, ze zdziwieniem.

Widząc mistrza uklęknął mówiąc.

-Witaj mój Panie.

Mówiąc dalej.

-Co się stało że wszyscy dlaczego jesteście koło mnie ?

-Spokojnie Łukasz- odpowiedział Rabbi.

Aniołek który go pilnował powiedział.

-Wszystkich nas zdziwiłeś, usnąłeś jak byś był jeszcze na ziemi, ale przecież jesteś w niebie. Tylko ludzie na ziemi mogą być pogrążeni w śnie.

Jezus się uśmiechnął, dlatego że wiedział dlaczego tak się dzieje, mówiąc do zebranych.

-Zaufajmy mojemu Ojcu.

Po chwili wszyscy którzy byli przy Łukasz odeszli, a on sam pogrążył się w swoich przemyśleniach.

Ja myślałem że to normalne w Niebieskim Królestwie, jak odpoczywać kiedy się jest zmęczonym.

Minęło kilka dni i za każdym razem kiedy przechodziła noc w niebie chłopak zasypiał. Wszystkich już przestało dziwić, że takie coś przytrafiło się właśnie jemu. Wychodził na zewnątrz rozmawiać z Pauliną i gdzieś w głębi rodziło się uczucie do dziewczyny, bardzo się do niej przywiązał. Wiedziała dobrze że Łukasz zauroczył się w niej, lecz musiała mu wyznać prawdę, nim chłopak na dobre się zakocha.

-Wiesz Paulina dzięki tobie i naszym rozmowom dobrze się czuje.

-Muszę ci powiedzieć prawdę, bo trapi mnie to.

-Proszę powiedz mi o co chodzi.

-Łukaszu, jestem aniołkiem który leczy ludzi zagląda w dusze na tyle ile pozwolił mi Bóg. Wiem że darzysz mnie uczuciem, lecz moje serce jest już zajęte. Za każdym razem jak się spotykaliśmy, miałam ci to wyznać, lecz nie chciałam cię zranić. Musiałam ci to wyznać. Przychodziłam zawsze do ciebie kiedy spałeś. I powoli z Rabbim wyciągaliśmy z twojej duszy zło które się zagnieździło. Został ostatni upadły anioł. Byśmy mogli to zrobić koniecznie będzie abyś był świadomy, nie spał.

Na chwilę chłopak zamilczał, po czym odpowiedział.

-Rozumiem cię, to dobrze że mi wyjawiaś całą prawdę. Dobrze że powiedziałeś mi teraz nim moje serce pokochało cię. Upadły anioł co masz na myśli ?

-Ten z którym walczy nasz stwórca. Dlatego chcę cię przegotować, na ziemi nazywana jest operacją.

-Kto podejmie się tego?

-Nasz Bóg, Rabbi, lekarze i aniołki. Były już takie przypadki, ale u ciebie nie chce wyjść. Musisz przygotować się. Będzie potrzebna twoja wola, wiara i może trochę zabość. Pewnie znów osłabiesz to co siedzi w tobie chce zabić. Musisz chcieć pozbyć się tego demona. Spokojnie przygotujemy cię do tego. Widzę jak lata po twojej duszy szukając serca, ale nie znajdzie. Tylko nasz stwórca wie, gdzie ono jest.

-Bardzo chcę się pozbyć zła, przygotowuje się tylko powiedz mi jak?

-Łukaszu wystarczy że z swojej strony pomodlisz się do Boga, poprosisz by ci pomógł pozbyć się zła z twojej duszy. Rabbi będzie nad tobą

czuwał, wspólnie pozbędziemy się raz na zawsze, bo tu w niebie nie ma dla niego miejsca. Nikt go i jego szarańczy nie chce tutaj.

-Może wspólnie się teraz pomodlimy?

-Dobrze

I tak wspólnie pomodlili się do Boga.

-Teraz chodź ze mną-odpowiedziała Paulina

Wstali z ławki i udali się w stronę lecznicy. Mijali salę po sali gdzie leżeli chorzy, gdzieś w połowie drogi chłopak ponownie źle się poczuł, osunął się na podłogę. Z oczu wypłynęła czarna maź i usłyszał głos.

-Zabiję, zabiję was wszystkich ha ha ha – roześmiał się zły duch. Słyszał go tylko Łukasz który bardzo cierpiał, wiedział że nic innego mu nie pozostaje tylko walczyć. Dziewczyna zauważyła że chłopak za nią nie idzie, obróciła się i ujrzała coś co przeraziło. Coś złego jak by chciało wyjść z wnętrza jego duszy.

-Dość!!!- rozległ się głos stwórcy.

Nagle z serca wybiła jasność która rozświetliła cały korytarz. Widząc to aniołki i ludzie upadli na kolana. Gdy opadł blask chłopaka już nie było.

Rozdział I V - „Ziemska wędrówka”

Powoli zaczął otwierać oczy, widząc tylko niewyraźne kształty. Zimno dotykało jego skórę, w odruchu dłońmi objął się, lecz wystraszony szybko cofając ręce i skierował je wprost przed oczy widząc tylko dwie plamy. Ucieszony widokiem zaczął machać, trafiając na coś ostrego. Wydobył pierwszy dźwięk który go przeraził. Powtórzył go.

-aaa- wykrzyknął chłopak.

Dobiegający hałas przerodził ze strachu w radość. Wzrok się chłopaka powoli poprawił, dostrzegł coś dziwnego, przypatrywał się przez chwilę obracając głowę, ponownie wyciągnął dłoń lecz ukuł się. Ponownie coś dziwnego dotarło do niego, był to zapach róży. Wiedział już że nie może jej dotykać, ale ten zapach przyciągał go. Zbliżył się, dostrzegł że coś co się poruszało, chciał złapać, lecz oddaliło się po czym ponownie usiadło kawałek dalej. Zafascynowany próbował wstać, nogi jego odmawiały posłuszeństwa, więc szedł na czworaka jak małe dziecko. Za każdym razem, motyl oddalał się, jak bym prowadził go, co jakiś czas wyciągał dłoń próbując pochwycić, i nagle gdzieś odleciał.

Bardzo smutno mu się zrobiło. Usiadł opierając się o wysoką przeszkodę, przypatrywał się gałęziom przez które przebijało słońce. Spojrzał na swoje nogi gdzie delikatna trawa dotykała jego palce, w oddali słychać było śpiew ptaków, szelest liści. Próbował wstać na nogi lecz upadał za każdym razem, lecz nie poddawał się. Chwycił się jednego ze stojących wszędzie słupów, kiedy powoli unosił się do góry dolne kończyny trzęsły się, jak by nigdy nie były używane. Tak samo działo się z rękoma. Puszczać się tracił równowagę, i szybko ponownie przytulił się wręcz do drzewa. Gdy już udało mu się utrzymać równowagę jego pragnieniem było dotrzeć do następnego drzewa, nadal gdzieś po drodze z jednego miejsca

w drugie przewracał się. Tak zaczął przemierzać las, aż dotarł na polanę. Przystanął i zaczął się zastanawiać jak pokonał gdy nie było już słupów. Nie pewnym krokiem zaczął iść, przewracał się i upadał, ale to go nie zniechęciło. Po jakimś czasie już szedł prawie normalnie. Wszystko co widział było dla niego obce, w oddali był mały staw. Gdy dotarł, nagle wpadł do niego, myślał że może wszędzie mieć twarde grunto. Zaczął się topić. Hałas zwrócił uwagę starego wędkarza. Szybko okrążył zbiornik wody i podał chłopakowi długą leżącą na brzegu gałąź. Topiący się chłopak chwycił o mały nie wciągając staruszkę do wody. Kiedy udało mu się wyciągnąć topiącego się z wody obydwaj upadli obok siebie strasznie zmęczeni.

-Dzieciaku czy ty oszalałeś, mogłeś się utopić-Odpowiedział wędkarz.

Chłopak najpierw wystraszył, chciał uciec, ale się przewrócił.

Tylem na czworaka odsuwał się od wybawiciela.

-Spokojnie nie chce nic złego ci zrobić- pokazując dłońmi by się uspokoił

Wystraszony zatrzymał się na stojącym drzewie, kaszląc co chwila.

-Ledwo cię uratowałem. Czemu milczysz, wystarczy samo dziękuję?

Chłopak wydawał dźwięki, zasłaniając się dłońmi.

-Co się dzieje z tobą, czemu się tak zachowujesz i dlaczego jesteś nagi, gdzie twoje ubrania?

39

Odsuwał dłonie czy nadal jest, i ponownie skulił się.

Dziadek widząc jego zachowanie, ostrożnie do niego podszedł, i powoli dotknął go. Zdezorientowany zadrżał kiedy poczuł dotyk.

-Już dobrze.

Po woli podniósł głowę niedoszły topielec, spojrzął na zatroskanego starszego pana.

-Widzisz nic ci nie zrobiłem.

Po chwili uspokoił się i wskazał na staw mówiąc.

-aaaa

-Tak prawie byś się utopił, może jesteś w szoku?

Rozejrzał się dziadek dookoła chcąc poszukać jego odzienia.

Staruszek długo nie czekając, widzi jak chłopak trzęsie się z zimna, ściągnął z siebie spodnie i mówiąc do niego.

-Masz ubierz je.

Lecz chłopak jak wryty nic z nimi nie robi. Złapał nieporęcznie ubranie i przygląda się jemu.

-Dziwnie się zachowujesz, jak byś nic nie pamiętał. Jak ja mam ci pomoc ubrać się. Wiem mam w samochodzie palto.

Poszedł do samochodu, otworzył bagażnik i wyciągnął okrycie. Żwawym krokiem udał się do marznącego.

-Teraz będzie ci ciepłej.

Po czym pomógł mu wstać i zaprowadził do auta, z trudem udało mu się go tam umieścić. Kiedy odpalił pojazd, wystraszył bardzo i tak już złkniętego młodego człowieka. Ledwo udało mu się go uspokoić, by po chwili ponownie przerazić go gdy ruszył z miejsca. Zwinął się w kłębek i drżał. Dotknął dłonią szybę, kręcąc głową z lewej do prawej gdy mijali różne obiekty. Zmęczony całym tym wpatrywaniem usnął.

Staruszek zatrzymał samochód przed domem. Powoli delikatnie przytrzasnął drzwi od starego samochodu, tak by nie obudzić śpiącego

chłopaka. Z budynku wyszła jego żona, pytając się.

-I jak połów, przywiozłeś coś.

-Parę rybek i młodego człowieka którego uratowałem przed utopieniem się. Jest trochę dziwny, jak by wszystko zapomniał. Zachowuje się jak wystraszone dzikie zwierzę.

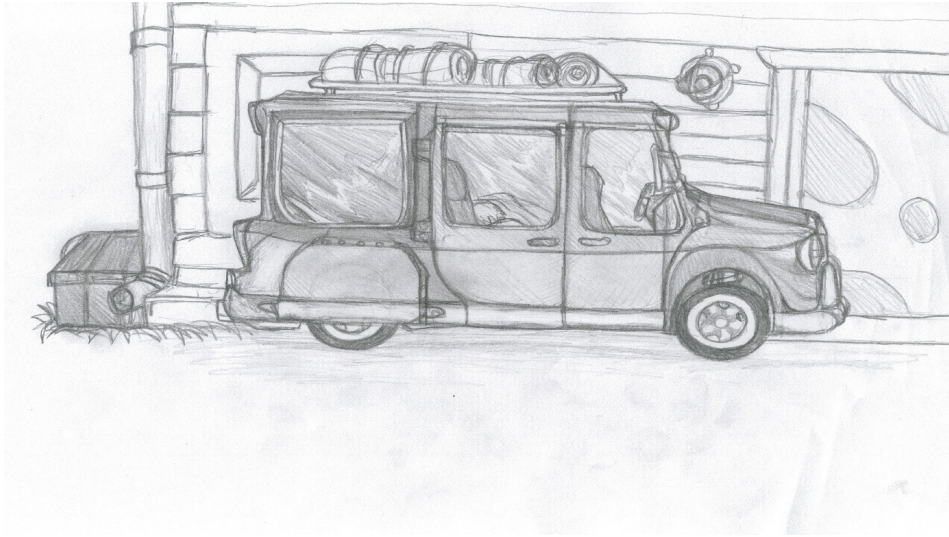
Kobieta ostrożnie podeszła do auta i przygląda się.

-Czemu jest ubrany w twoje palto?

-Dałem mu bo nie mogłem znaleźć jego ubrania.

-Pewnie ma rodzinę, przyniosę koc i go przykryjemy, może do rana odzyska pamięć.

Kobieta poszła po koc, dała swojemu mężowi, bo sama nie chciała podchodzić. Starszy człowiek otworzył cicho drzwi i ostrożnie przykrył zostawiając lekko opuszczoną szybę. Starsza para poszła spać.



Przez całą noc młody człowiek miał koszmary. Sen był bardzo dziwny.

Był gdzieś w chmurach i nagle zaczął spadać w dół, co chwilę pokazywała się dłoń która chciała go złapać. Spoglądał w dół i jak by bez reakcji że może zaraz zginać. Nie próbował złapać wyciągniętej ręki. Przestał lecieć i kazały się mu nie wyraźne postacie które mu się przyglądały, gdy się zbliżył sen się zakończył. Obudził go dźwięk hałasującego wczesnym rankiem koguta i zaczął się rozglądać. Nie wiedział że, wrócił do rzeczywistości, dla niego ów sen był tak realny jak po przebudzeniu obserwowany świat. Poranna rosa osiadła na szybach w samochodzie, dziwny dźwięk zwrócił jego uwagę. Było to pukanie do szyby.

To był dziadek który zmartwiony losem chłopaka ostrożnie chciał obudzić młodzieńca. Powoli otworzył drzwi od samochodu. O dziw nie był wystraszony. Żona podała mu chleb, on tylko się mu przyglądał. Rybak oderwał kawałek chleba i zaczął powoli go jeść, pokazując że ma to samo zrobić. Po czym podał mu.

-Masz dziecko zjedz chleb, tak jak ci pokazałem.

Ugryzł kawałek, i cały czas gryzł zębami. Słysząc było jak mu w brzuchu burczy.

-Jak ja mam mu pokazać że ma to połknąć?

Zona pokazała jak małemu dziecku co ma zrobić. Na całe szczęście połknął. Tak samo było z mlekiem w kubku. I tak z pomocą Bożą udało się nakarmić. Przynieśli mu ubrania i ubrali go, chłopak wcale wstydu nie miał. Zaprowadzili go do domu, dużo przy nim mówili by sobie przypominał, jak się mówi. Uczuli go jak się chodzi, jak jeść szczuciami, zakładać na siebie ubrania. I tak mijały tygodnie, chłopak szybko się uczył, pomagał im w obowiązkach na małym gospodarstwie. Rozwiesili ulotki po okolicy, lecz nie było odzewu. Młodzieniec bardzo przywiązał się do opiekunów. Nadal nic nie mówił.

Stare małżeństwo wiedziało że ktoś za nim tęskni, dali zdjęcie do gazety, telewizji, lecz nikt się nie zgłaszał.

Pewnego dnia przy obiedzie.

-Skąd się wziął młody człowieku, nikt się nie zgłosił. Żebyśmy wiedzieli jak chociaż masz na imię.

Chłopak

© Copyright: @szelestciszy
Wszelkie Prawa Zastrzeżone




Wierszowane opowiadanie, o człowieku, który uciekł
znad przepaści narkotycznej,
jednak opary tego wszystkiego.... pozostały do dzisiaj :
w jego głowie, życiu i twórczości.

*„chciałem uciec... od natłoku myśli,
przelewając je na papier.. wylewałem ich nadmiar
robiłem miejsce na kolejne.. i kolejne...”*

Gliwice 2019

[SzelestCiszy]

„Pograżony  słowami”



Rymy w mojej głowie..a ja słowa ło **Wie**

Spis treści :
mojej opowieści

ROZDZIAŁ 1.0 wstęp
„Młodzi (**nie**)kompatybilni ”

Rozdział.1.1 z**MOWA**-od**NOWA**”

Rozdział .2.1 *Ecie-pecie...choroba* w „poecie”

Rozdział 3.1 Cienie i ciernie **ŻYCIA**

Rozdział 3.2 „BeZradnik młodego tatusia,,

Rozdział 4 „walka” z wiatrakami
prozą życia... chorobą i czymś do zdobycia.

Rozdział .5.1**Szelest-kolekcjoner emocji**
'To nie zielsko... żyje sielsko ”

„Młodzi (**nie**)kompatybilni ”
-myślowe scenariusze-

historia na faktach spisana
wierszowym tempem (po)nabijana
czyli geneza, historia mojej mani.



ROZDZIAŁ 1.0 wstęp

*Jesteśmy skazani ,jesteśmy przekłęci
czasem silni , ...w niebo wzięci
Skazani na losy...już przeżyte...
w zakamarkach myśli zapisane.
W umyśle na stałe ...zakodowane
(zaszufadkowane).
Emocje już nabite ,
czasy ciężkie już przeżyte,
życiowe doświadczenia:
Te dobre i te złe ..
w myślowym scenariuszu
wciąż ...przewijają się.*

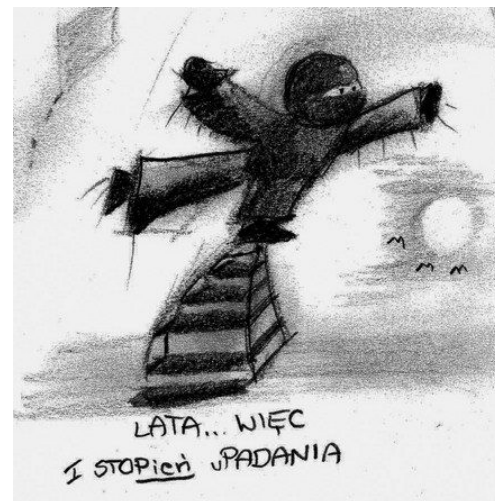
*

Po środku dwóch braci dumnie stałem,
byłem milczkiem..."rodziny zakałem"
Stałem się pustelnikiem-natury wybrykiem,
żyjący w osamotnieniu ,w ciszy ,
we własnym świecie ,uduchowieniu...
W pustelni ...zamknąłem się ,
dość długo to trwało...
kawał czasu przez życie
tak mi przeleciało
Za długo z ciszą tak obcowąłem .
Z czasem wyrosłem z tego...
już nie byłem życiową zakałem.

Duszą towarzystwa ,
prawdziwy rarytas, poeta no i kolorysta.
bazgrołący , czegoś jeszcze od życia chcący,
wciąż szukający .

*

Mówią że czas leczy rany...a jak rany
wciąż są we mnie , czasem kipią-doskwierają
Istnieją w pamięci stałej ...nie do wymazania.
(Ku pamięci...pierdolnięci)
już jako bajtel ...byłem artysta ,
kolorowałem ,rysowałem, kalkowałem co się dało
zamieniałem się...duszą, a ciałem...
we śnie latałem.....



[o śnie...o spadaniu]

To było już dawno temu... prawie zapomniałem
jak śniłem-w dół spadałem
Jak na pochylni czy zjeżdżalni ..a w około ciemno
Tunel oświetlony ..lecę w dół a tam drzwi się otwierają
I tak w nieskończoność ..
Noc,, ciemna strona rzeczywistości ,
w młodej duszy sen to...Odbicie rzeczywistości...
emocji przeżytych w ciągu dnia
Noc... to odpoczynek, tram-po-lina emocjonalna,
Zakrzywiona pętla czasu,
w nocnym czasie ginie wśród hałasu [*myśli*]
Mami ,woła... nawołuje ,
w nocnym czasie... nam wtóruje -*sen*.
Ciężko okiełznać myśli...jak coś złego nam się przyśni.
Ja śniłem.. w nocy się budziłem-bo spadałem
W ciemną otchłań... i tak dzień za dniem
Aż do znudzenia...taka ma rola w sennych tchnieniach.

*

[o kradzieży ...i o żałowaniu]

[o przedszkolu ..stare dzieje]

[o wypadku ..i pierwsze nadzieje]

[o komunii... i pożał się boże]

[o życiu ..i wychodzeniu na dworze]

[o tworzeniu i graniu]

[o zabawie...na gumie skakaniu]

[o graniu w noża... o tym że istnieje w POLSCE zorza]

[o każdej głupocie... o tym co pije się w kompocie]

[o wszystkim co mnie dotyczyło]

[o całości i w skrócie]

[o niewierze i własnej pokucie]

[o tańcu i niedojrzałości]

[o pierwszej niespełnionej miłości]

[o wszystkim ...tak naprawdę prawdziwie]

[o egzaminie, o życiu, o rodzinie]

[o technikum i działkowym imprezowaniu]

[o strachu, maturze i (nie)zdawaniu]

[o wolności i szukaniu pracy]

[o wojsku i skomplikowanych sprawach]

[o Bemowie ...,to jest Warszawa]

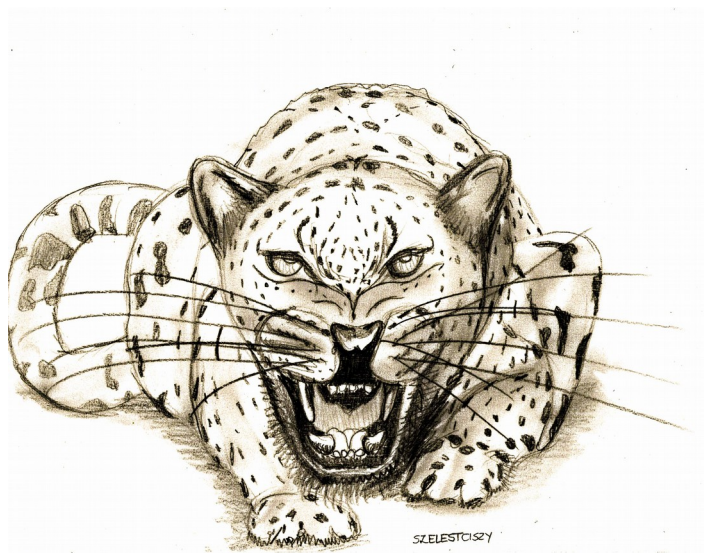
[o prawdziwym życiu tuż po,,wojowaniu]

[o pracy... i narkotykowym braniu (narkobiznesie)]

[o depresji i wyjściu z opresji]

[o izolacji i szczęścia szukaniu]
[o jodze i (nie)wysypianiu]
[upadłe anioły... miłosne woły]
[o szczęściu i ponownym zakochaniu...]
[po nowemu- wersów składaniu]
[o szczęściu i nie było końca]
[o ślubie i kawałku słońca]
[o narodzinach .. (pierworodnego) syna]
[o radości ,tym cieszy się cała rodzina]

; i tak można by bez końca.....dopóki kartka gorąca ;



Moje emocje,,to kawałek cienia,który wryty
w łepetynie..zapisane na twardym dysku.

Myśli wydobywały się w epizodach odbytych.(przeżytych).

W mani kreowałem swój świat ,który kiedyś znałem
...bo w nim istniałem.

A że dużo tego było...sens i wątki....Sam nie rozumiałem.

BYŁEM w TYM...tam role „odgrywałem”

bo tym razem JA byłem kukielką własnych odczuć,myśli

***sterowany własnymi myślami,
...nie realnymi marami.***

„zMOWA-odNOWA”

Rozdział 1.1

„ *Bo wiele emocji we mnie ..jeszcze siedzi..
A nie znam SAM na nie odpowiedzi ?* „



Może się wściekniecie, morze odpłyniecie.
Tak oto pisać zaczynałem, niechlujnie swe myśli... w wersy układałem

(znaczy „samo” się tak porobiło, w głowie poprzestawiało)

A mnie „tym darem” pokarało

tak na dłuższą metę ,
trudno w życiu zarazić się...
być i istnieć.
trudno o prawdziwego poetę

A ja nim nie byłem..o tym nie wiedziałem,
później się o tym z bólem przekonałem

„*Jestem tam, gdzie mnie nie Ma
Nie było..... i nie będzie.
Jestem Tu.....wiec jestem WSZĘDZIE*”

*posiadłem inne odczuwanie ,
wrażliwość (obląkanie)
na błahe wydarzenia...
wielka bomba z zajebistym polem rażenia..*

*przelewanie myśli na papier.
jEDEN Anioł.. w kabzie rapier..
a pociski to są słowa.
Jedna bomba atomowa*

„Posypały się refleksy, na podłodze mego dachu.
Jestem ciszą i skupieniem, jestem ścierwem z mego lasu.
Byłem próżny. Jestem zły. Nosząc w sobie... garść dumy.
Spętany huraganem-wiatr miotał mną jak liść.
Niedoszły Anioł Śmierci, nakazał mnie gdzieś iść.
Lecz... czuję się padliną, odwrotnie niż myśliwy.
w głowie radość głoszę., czasem jestem dość kąśliwy”



refleksy jak myśli ..się posypały
w duszy ,w głowie ...wszystko powywracały
choroba zrobiła swoje-czasem toczę w sobie boje.
choć jestem, jaki jestem-'**jestem ścierwem z mego lasu**'
i dążę do jakiegoś celu **w życiu. jestem wredny** kiedy trzeba
łagodny, słodki jak lizaczek, jak anielskie stworzenie Boże ,
dobry o każdej porze – w tęczowym kolorze.

Zachorowałem, z głupoty... z łatwego dostępu do prochów
Moja historia jest o wiele zawiła .Wiec przedstawię jedną z teorii
...jak to się mniej więcej potoczyło. W skrócie..jak na pokucie,
w okrojonej do maksimum wątków .. bo siedziało we mnie
kupę radości-miłości do świata:
srata-tata,...Nie? no tak naprawdę było wiele się u mnie wydarzyło,
Czy na lepsze? Sam nie wiem, na pewno mojego
postępu bym nikomu nie życzył .Stanowczo bym odradzał!...
Ale co ja mogę, Jak trwoga to do BOGA.
Mam na myśli eksperymenty z prochami, tabletkami, amfetaminami...
(Dla „dobrej” miny zrób sobie tort z amfeta**MINY**)

Wiele się w mym **ŻYCIU** wydarzyło...
co zmieniło moją osobow**OŚĆ**, co ukształtowało
Jak mi kogoś brakowało... a żyłem -izolowałem się od ludzi
żyjąc w świecie 8bitowych maszyn. tworząc własną rzeczywistość

*„Jestem sobie NIEDŹWIEDŹ bury.
Mam szpiczaste dwa pazury.
Teraz smacznie sobie chrapie.
Zajęcy od dawna nie łapie „*

Zbyt nie śmiały by mieć przyjaciela,
przyjaciółkę...takich PRAWDZIWYCH.
Nie z doskoku, Dzieciństwo przeszło szybko.
Jak bym stał z boku.
stałem we własnym cieniu.
Grzeczny chłopiec... lecz, w osamotnieniu,

Już jako dojrzały mężczyzna...po technikum,
po wojsku, ...po sławie
bez pracy, bez perspektyw... nie myśląc już zabawie
po przejściach,po proach, po walce i wygranej?
Chyba to była przegrana...bo wciąż boli rana.
Pozostałości ,odłamki głupoty...
trzeba się szybko odnaleźć,
wziąć się do roboty
Jakaś praca?, mieszkanie...rodzina!
. Rodzina>-czyli żona..myśl nie zwycięż**ŻONA**

Gdy to już od życia otrzymałem,,
,chorobę w płucach dostałem,
Nie wiedząc o złej-stronie daru...
Sielsko sobie żyjemy.
.. a jak! da się, nawet przy jednej pensji,jednej kasie
a po czasie...jedna duszyczka na świat pcha się.

Tyle emocji... prawdziwa kumulacja jak w totka...
to ostatnia rymowana zwrotka.
Miarka się przebrała...bo ma dusza mała..
z rad**DOŚĆ**i onie**MIAŁA**

Mało w tym okresie sypiałem,
pracowałem, po pracy trochę pisałem,
sielskie życie... po narodzinach syna,
emocje i po czasie ...odkrycie.
Spisywałem emocje w zeszytach...
na początku : fajnie to wyglądało.

Ale pisanie i emocje...tego było za dużo dla
jednego człowieka- ułudy „poety”
Świeżego męża „, głowy rodziny...
nie minęły drugie urodziny...
gdy coś się Zmieniło..
we mnie, w głowie..w myśleniu.
Ciało wołało...ratunku.
Głowa w przemęczeniu
czary-mary...jesteś jeden
. nie wiesz co się z tobą dzieje
skradają ci myśli...
a to złodzieje
emocje, poszły spać.
Jesteś chory.
ka...twoja mać



Ecie-pecie...choroba w „poecie”

Rozdział .2

Po prostu pragnę...normalności
a nie jak popadnie.. zwykłej ludzkiej godności

*„Nie ma celów , o których byśmy nie widzieli
nie ma na tym świecie... za dużo MARZY-cieli.”*



W ogóle myślę, że nie jestem aż tak chory..
aby mnie mamili potwory
głosy w głowie...nie znam tego...
jestem chłop z mazur albo [chłop z LEGO]

Na swój sposób **po**układany ,
niedościgniony ...słów grą-pograżony
Źle się czuję -wezmę leki .
takie na zapomnienie.

Na dygoty,
na serca drżenie
abym wrócił do normalności i normalnie
u was gościł - do zobaczenia
Pisanie nie ma tu wiele do znaczenia.
jest efektem ubocznym mych uczuć.
do zobaczenia w przyszłości ...odchodzę na wieki

*jam jest jednąbaterYJĄ. co energii ma bez liku
nikt mnie nigdy nie wywali. gnić nie będę ... na śmietNIKu*

Trochę poezji na wstępie, tak to już ze mną jest.
Inaczej chyba pisać już nie potrafię.
Prędzej się wspinać będę po żyrafie..
albo polecę na księżyc rakieta .nie **jestem** poetą.

W kolejnym rozdziale.. opisz jak to się stało
 jak w mordę(gębę) mi rym dało,
 tak to już się poukładało.
 Początki były dość żałosne ,
 teraz to widzę i się za tamto wstydzę.
 Zaczynałem poetowanie na onecie.
 Młody chłopak w ciasnym berecie.
 Którego myśli nie boją... jedni go kochają
 inni go pier...niczą,
 mówią źle „na niego krzyczą.
 Od dobrego samopoczucia..
 podwyższonej dopaminy,
 gęba mi się sama śmiała...:
 do świata LOVE mi podarowała.

Ta dopamina...jak wspaniała dziewczyna..
 dodaje werwy,gadać się chciało **bezPrzerwy**.
 Dostałem w prezencie taką manie... manie słów kompletowanie.
 A na dodatek, wszystko miało być ukryte,,kodowane

„Dwa wcielenia, dwa oblicza. ładny po[d]stęp i oby**CZAJ**.
 wbijam jajka, sól dodaje, mieszam łyką ze dwa razy
 jestem KUCHTĄ , jestem życiem. Piszę myśli ... bohomazy”

„Jestem artysta - liryczny terrorysta
 moje słowa to granaty, a przechwały...to porażki
 nie szukajcie odpowiedzi. nie szukajcie żadnej fraszki. „



„...często jestem jak w teatrze,
 nic nie robię !
 tylko patrze .
 pisze scenariusze.
 jestem lalkarzem ...
 napinam kusze. „

Zabawa słowem,
 rytmem
 „dwuznacznościami”
 słownymi podobieństwami
 -krętymi ścieżkami
 kodowanie-
 rozkodowywanie
 – rysowanie wersami(literami)

„Ja nie pytam i nie szukam odpowiedzi
 ten kto czyta, niech nad treścią sam się biedzi.
CHOĆ NIESTETY ,NIE MA WCALE ICH BEZ LIKU.
Z GÓRY PIEPRZĘ WSZYSTKICH MOICH CZYTELNIKÓW.,,
praca zbiorowa na czacie POEZJA pisana

Zagubiłem się we własnym świecie ,
kodie ,który sam stworzyłem
lecz Kluczem z nikim się nie podzieliłem,

kluczem zrozumienia



Cienie i ciernie ŻYCIA NARKOTYKI nie dla ŻYCIA

Rozdział 3. (AKT. I)

ciekawość i głupota

(chęć spróbowania i wiara we własne możliwości)



To ja..człowiek,
bez nałogów,
bez 'problemów' ,
...bez perspektyw,
bez pracy.

Świat jest okrutny,
bezlitosny dla ludzi słabych,
nie umiejących znaleźć się
w danej ,trudnej sytuacji'
życiowej [bezrobotnego]
Miałem prace(dorywczą)
jakoś ciągnąłem ten wózek
przetrwania.

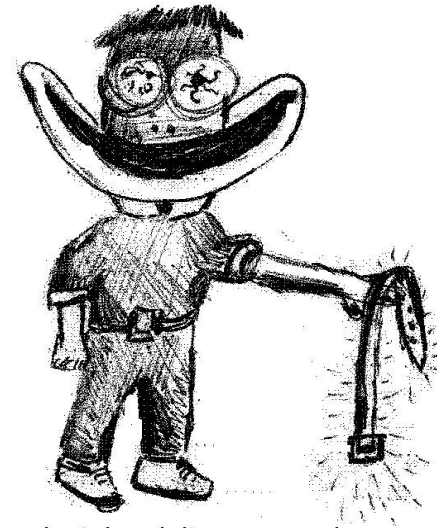
(ale to nie było to)
czegoś brakowało...

np. bratniej duszy-miłości.

AKT. II

narkotyki – powolne uzależnienie, destrukcja
*(akceptacja środowiska i korzyści
płynące z posiadania własnego lokum)*

Tu zadziałało środowisko (czyt. znajome twarze)
znajomi i wiara,, wiara we własne możliwości.
Oni już w "tym" siedzieli, to ja byłem 'ofiara'
a raczej zdobyczą ,która się sama napatoczyła...
jak zdobyczą w sidła wpada,tak i ja wpadłem,
...stałem się padliną w rękach kata uzależnienia(używek)
Jako ,że wojsko odbębniłem.. 1.5roku w plecy.
Koledzy się porozjeżdżali,rodziny pozakładali
wyszedłem z obiegu.Pracowałem,własne mieszkanie
utrzymywałem(mieszkanie po trochu bratu spłacałem)
i tak w koło macieju.Nie tego oczekuje młody człowiek
od życia, czegoś mi brakowało [sensu istnienia]a nie wegetacja.
Dzień każdy do siebie podobny,szukałem jakiejś rozrywki
znalazłem..zacząłem-przejąłem znajomych młodszego brata.
Po pracy ,po objedzie..spotykaliśmy się na
"żwirowym wzgórzu"
-dla jednych palarnia,ławeczki ,ploteczki.. duperele-rozmowy ,
ot takie "niewinne" środowisko. (błędne me myślenie).
Z początku unikali tego tematu(narkotyków), nie pamiętam
jak dokładnie doszło do kulminacji,wejścia w inny świat
życia jakim są NARKOTYKI.
Zacząło się niewinnie - od marihuany (THC).
Następnym krokiem stały się mocniejsze używki ...
a mianowicie twarde narkotyki -amfetamina-



dostałem lajtowego paska

No i nadszedł ten "sądny
dzień"... chwila słabości.
Chęć spróbowania
czegoś nowego
innego
zakazanego
- >>tabu<<
dla wybranych

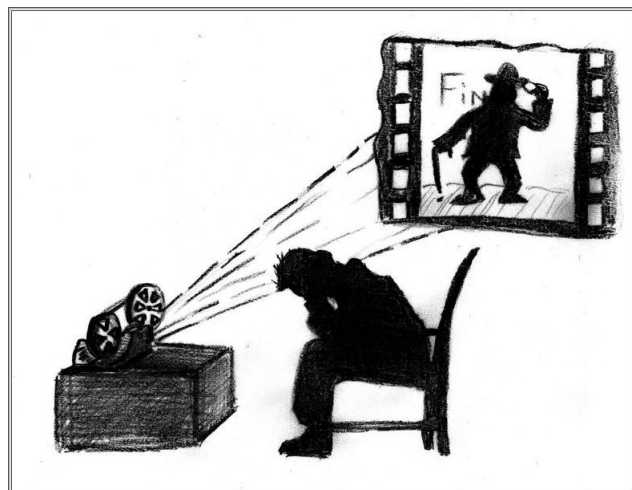
Jako ,że w tym okresie mego życia byłem niepalący
a na pierwszy ogień testowałem,spróbowałem
..marihuany[zapaliłem]
jakoś nic się nie działo takiego(zaciągnąłem się za mocno
efektem było duszenie ,kaszlenie). Poszła nawet "kometa"
za 1ym razem. THC pali się z lułki, nabija się ją specyfikiem
[kruszy grudkę] i ogrzewa[opala]
po czym wdycha dym z lułki,

czekając na polepszenie nastroju
,często jest atak śmiechu..(śmiejawy)
z byle jakiego tematu

czy **najbardziej oczekiwane** wyluzowanie
inne postrzeganie otoczenia , "jaśniejsze myślenie"
Osoba paląca THC potocznie mówiąc w środowisku uzależnionych
"spala się", pali grude, opala lufkę , pali z wiadra[slang słowny].

W całym tym okresie 'ćpania' ..dwa razy się spaliłem.
Jakoś mi się nie spodobało to palenie.. bo pewnie źle paliłem
[nie zaciągałem się]. Więc nie było sensu eksperymentować,
jak nie było oczekiwanego efektu.

Następnym krokiem w mej opowieści
jaki popełniłem jest zmiana specyfiku
na droższy(ekskluzywny) z górnej półki.
.a mianowicie twardy narkotyk.
a mowa tu o AMFETAMINIE



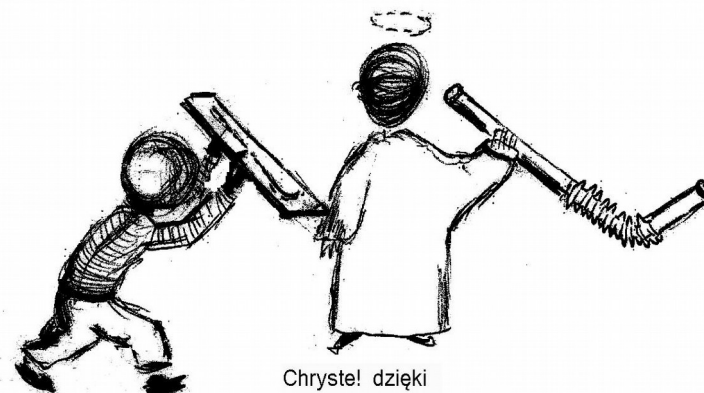
potocznie zwanej: speed, białe, amfa

(biała śmierć).

Niestety, to się spodobało..bo były efekty
działało aż za bardzo.. człowiek po zażyciu
twardego narkotyku zmieniał się BARDZO.
Zachowanie, odczuwanie otoczenia i max. energii
brak ochoty na sen, pozytywne myślenie:
człowiek naćpany może wszystko-takie uczucie.

To były plusy ćpania amfetaminy...(o minusach później).

Proceder brania, odbywał się u mnie, w domu .Nie codziennie
oczywiście, raz czy dwa razy w tygodniu. Po pewnym okresie zabawy w
"Boga" częstotliwość zażywania się zwiększyła.



Odbywały się tzw. maratony czyli parę dni z rzędu się
nie spało i podtrzymywało dawkę specyfiku aby "jazda" nie słabła.
a po odstawieniu zaczynają się doły.

NAGŁY spadek energii ,a po paru dniach bezsenności...
człowiek był, stawał się zwiędłą roślinką,
potocznie taki stan nazywany był "zjazdem",
podobne odczucia ma człowiek w depresji.

AKT. III

własna meta i jazda na maxa

(zmiana zachowania, ubierania się...
nacisk otoczenia, głupota ,depresja)

Nic Już nie wciągnę
mam zatkany NOS



Dzień za dniem mijał,
codziennie inny, nieprzewidywalny
co dziś będę robił...będziemy?

ćpanie czy odpoczynek.

Był taki okres , w mym mieszkaniu była meta,
dzielilo się 'towar' na działki ale krótko to trwało.

Zmieniłem się, sposób bycia...zachowanie,
dbanie o wygląd zewnętrzny..
stroilem się jak kobieta,w sensie ubierania.

Wyjścia do pubu, gra kilkugodzinna w bilarda.
Nowe kręgi znajomych powiększały się w zastraszającym
tempie. Przypadkiem poznałem dziewczynę ,która pracowała
w klubie nocnym...mówiła,że tylko jako barmanka(H.go wie)
nie wnikałem, ona też ćpała i z nami w bile grała.

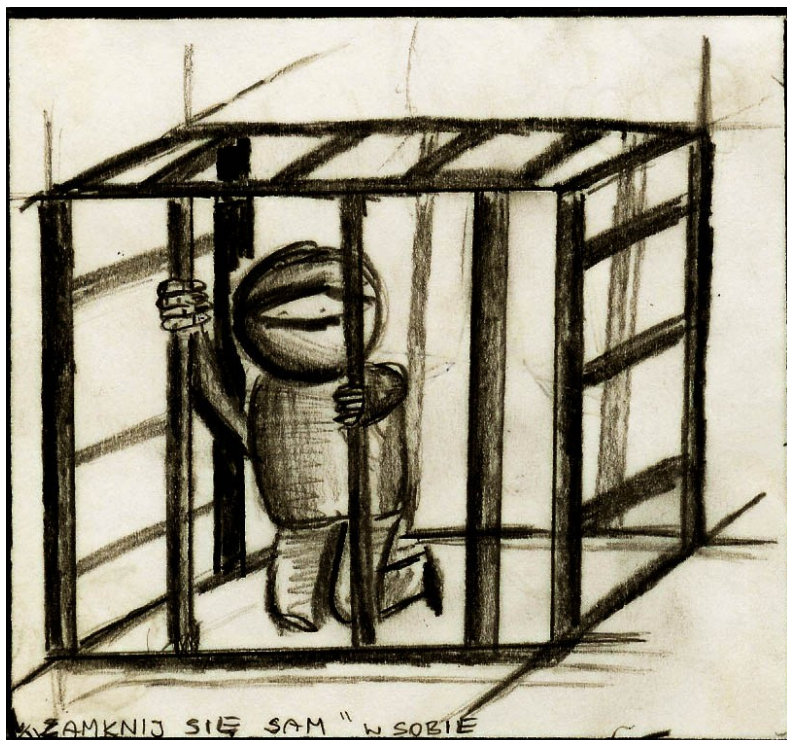
Jako,że jestem mało rozrywkowym facetem to dyskoteki
omijałem szerokim łukiem,ale środowisko młodzieży
lgnęła w to skupisko maniaków muzyki-narkotycznego tańca.

*

Wolałem inne zajęcia... swoje hobby
czyli rysowanie(wtedy jeszcze o pisaniu nie było mowy)
te rysunki,które tu prezentuje-przedstawiają ułamek
tego co się działo w realnym świecie.

Nie czulem tego ,że wszedłem głęboko w to środowisko..
pograżam się, staczam na dno.

Wszystko się jednak skończyło,
a raczej miałem przebłysk w głowie...
oświeciło mnie:znajomi to pseudo znajomi
od ćpania.. i narkotycznych zabaw
Dom mój stawał się ostoją nakręconej młodzieży .



POWIEDZIAŁEM sobie D O Ś Ć..

nie może tak być.
wycofałem się od środowiska,
oddaliłem od znajomych,
wpadłem w dół - depresje
tydzień z domu nie wychodziłem
(tylko po żarcie do sklepu i z psem).
wtedy powstał jeden z pierwszych tekstów

> Sałata od KATA <

AKT. IV

Z nałogu wychodzą tylko mistrzowie świata

(walka! i praca nad sobą, zrozumienie własnych słabości,
wartości)



Skok w czasie... mój stan ustabilizował się,
doszedłem do jako takiej formy psychicznej.
Wszystkie były sprawy zakończone ,zapięte
na ostatni guzik. Przestałem odwiedzać miejsca,
w których przebywali "znajomi"z nieprzespanych nocy.
Praca się trafiła,o ciemnej przeszłości zapomniałem.
Nowy rozdział od życia otrzymałem w podarunku.

AKT. V Epilog

*nauczka od życia, z której nie każdy potrafi wyjść samemu.
(wszystko fajnie się skończyło? jak w bajce dla dzieci?
... nie do końca)*

Na jakim świetle Moje drogie dzieci
należy "ZWOLNIĆ" zatrzymać się?

BARDZO DOBRZE

JA WIEM! proszę pani!!

NA BIAŁYM... P.PANI
białemu mówimy STOP



Rysunek jest zwieńczeniem ,podsumowaniem mej
walki z nałogiem
puenta z tego rys jest prosta:

białemu mówimy **STOP!**

Stałem się czysty...
wolny od nałogu.
NARKOTYKOM
mówię STOP

CIEKAWE? kto z siebie
robi większego BAŁWANA
w środku zimy!



AKT. VI KONIEC ?

jeden rozdział życia zakończony, otworzył się drugi-nie łatwy
(zdrowie i psychika podupadła... narkotyki zmieniły mnie)
...zmieniły do tego stopnia, że przez półtora roku byłem na
energetycznej górze...
w stanie euforii
stan ten mogę porównać do efektu
ciągłego zakochania
(to efekt po odstawieniu)
chodziłem w skowronkach,
sam z tego powodu zgłosiłem się do poradni od uzależnień.
Myśleli ,że brałem coś,taki byłem nakręcony...
[skok w czasie] znalazłem prace, poznałem dzisiejszą żonę,
ustatkowałem się
zdiagnozowano u mnie schizofrenie z którą dziś się borykam.
Spytacie skąd pomysł..aby się wywłaszczać z takich spraw?
już mówię ,zrobiłem to dla siebie, dla innych którzy mogą
stać przed dylematem:

***SPRÓBOWAĆ? ...tylko raz,
niech się dwa razy zastanowią-
nie popelnij mego błędu.***

?

„BeZradnik młodego tatusia,, (2005.r)

(poradnik schizofrenika który w życie rodzinne wNIKa) -2019.r

Rozdział 3.2



*wypiekanie wspólnej kruszyny
dbanie o ciepło.... całej rodziny*

To opowiadanie ułożyło się samo .Samo życie spisało tą historie.
A raczej moje doświadczenie Wycucie sytuacji i przestrzeni.

... na początku powstało życie..... ogródek do pielęgnowania
Kwiat paproci ...do podlewania .Chciane...czy nie chciane
(przed terminem)...może przeterminowane.

Ale zawsze u Kochane ...pragnące istnieć w naszym świecie.
DZIECKO jest jakspoiwo, Jak ogień ,jak .rozgrzana stal
Umacnia więzy rodzinne.....zacieśnia stosunki między rodzicami.
Podgrzewa miłość ...między dwoma kochającymi się istotami.
Stwarza swoisty magnes z parą przeciwstawnych atomów
Ładunków [emocji] dodatnich i ujemnych

Małeństwo.... jeszcze nie świadome swojej mocy...
po Darowuje NAM.... Rodzicom tyle energii którą człowiek
nie jest w stanie przetrwać w całości
a ONO.. dało MNIE kawał jedzenia
Pękając z radości.....wchłaniając pokarm... do życia życzliwości
To Widać gołym okiem jak Facet po narodzinach , łagodnieje
Jest dumny..... z potomstwa,i więcej do ludzi się śmieje
przy tym w oczach własnej rodziny promienieje.* * *

”BezSENNA ,nieWYSPA na”...(Żona)

Mój syneczku, Mój maleńki. Nocą słyhać Twoje jęki
Serca nasze Się krajają. MATCE nerwy...Spać nie dają.
Ona! CiaglenieWYSPAna. Codziennie „utyłana”
Samotna wyspa...zalewana po sam czubek nosa
nie dziwie się.... Ze jadowita jest jak OSA
chłodna...., głodna.....jadowita
Krwiożercza...nienajedzona i nie syta.
Ja TYGRYS „ona PANTERA [Dwa drapieżniki]
No i nasze maleństwo- Słodkie, małe... szaleństwo
KAWAŁ małego skorupiaka. Wszędobyłskiego ciekawskiego Zwierzaka.

razem tworzymy ,normalne „ludzkie” stado.....dziwaczne porównanie
tylko jak WAM opisać w nim nasze działanie.

Tylko niektórym ludziom
życie nie wychodzi... rozstania,
procesy..niewygodne interesy.
Choroby ...te wrodzone ,a może ukryte...
nie zdiagnozowane..czyli nieodbyte.
Ze mną tak było...że pokochaliśmy się
bez diagnozy(bez napiętnowania) 2003r

czyli z inwentarzem tym co widać na pierwszy rzut oka
. żona wiedziała ze pisze(proste wierszyki), ze jestem „malarzem”
co wprawnie włada słowem,, i ołówkiem.
Taki śmieszek ,zespolony z półgłówkiem.

Mix życia...który ma coś do powiedzenia...Do **odkrycia.**
Zaistnieliśmy..w społeczeństwie, w życiu ...we własnej rodzinie,
jako jedynym... życie nam sielsko płynie..rośniemy i starzejemy się.
Tak na zmianę .. by było sielsko i z szampanem.
Codziennosc.. i inność(nieszampowosc) tak bym NAS określił.
Nie pchamy się na afisz...żyjemy raczej w oddali od rodziny.

Dosłownie i w przenośni. Tzn.
teściów mam 500km ,a rodziców 5min drogi.
Weź tu gościu drogi...podziel sprawiedliwie,
by teście i rodzice żyli sprawiedliwie.
Noooo nie da się. Jedni zawsze są poszkodowani
-za to wakacjami uradowani(obdarowani)
mimo to ... izoluje się, wypchnięty ze społeczeństwa,
wybrałem(liśmy) drogę na uboczu.
Od dziecka tak żyłem... tak się wychowałem,
życie w ciszy pokochałem.
Jako głowa rodziny... mąż i tata..
w głowie kawał wariata(uśpionego) .
Utrzymuje rodzinę, codziennie odbija kartę...aby życie było coś warte.
Żona steruje(wychowuje) rodziną i tak lata płyną. Wszyscy się starzejemy
rodzice i ich dzieci.... niedawno w przedszkolu,
,a tu już trzeci..w olimpiadzie.
Syn na naukę lachy nie kładzie
.Jest zdolny, ale trzeba go przypilnować,
tym od początku zajmuje się żona... której w tym nikt nie pokona .

Podział(obowiązków) od dawna istnieje i nie iskrzy...
a się zazębia(Rodzinna Głębia).
Czyli da się.... żyć i istnieć w harmonii
ze społeczeństwem..i krakać jak oni.
Czasem obserwuje syna... jak swoje fochy zaczyna.
(czy to aby nie to)ale to nie to....
nie od ojca podarek, nie od komunii zegarek.
Zawsze w głębi ducha... będę miał wewnętrzne zapytanie...
czy kogoś chorobą nie omamie.
Ale wiadomo...ze na chorobę sam zapracowałem...a może ją
odblokowałem(NARKOTYKI)
H, go wie....nie zastanawiam się..
.bo i tak nikt nie jest odpowiedzialny na to.
Nie wiem jak by to było....jakbym żył jako kawaler...
.bez bliskiej mi osoby.
Może by się to różnie skończyło....nie będę gdybał!
Bo i tak jestem WYGRANY.
Nie mam i nie nosze w sobie ROZWODOWEJ RANY....oorany.
Często w wierszach wspominam swoich dwóch braci

...w których szelest coś traci.

Ja... ten w środku.(w rodzinnym motku.)

Pierwszy- ukochany...ostatni -wychuchany.

A w motku....poszkodowany ten w środku..

a morze w TV zawsze w niebieskim kolorze.

Jako jedyny utrzymałem się w związku....



to już prawie 14lat.i dalej leci.

Syn pierwszy....a nie zawsze trzeci.(jak ojciec)

Jedynak wychuchany..w klasie niepokonany.

(jeden z lepszych-jeśli nie najlepszy)

Przejął najlepsze po rodzicach.

od mamy matematyka,

od ojca gramatyka – a raczej byki

lubość do błędów i niefrasobliwość w składaniu wyrazów.

Malarz...nie, rysownik—nie. raczej nie artysta...

a Historyk ,matematyczna hiena,

z Biologii to ma DNA,geograficzna ćma...fizyczna noga.

Dobrze się bawi w szkole... ale charakter ma ciszy.

..spokój ,wytrwałość (po tatusiu...)

a po mamie „ŁYK Geniuszu”.

W ogóle dzieci nasze..te pokolenie.

..to zupełnie inne spojrzenie.

Nastały inne czasy, Era KOMPUTERA , internetu.

Wszędzie masz Blisko-bez kupionego biletu.

Ale i wiele cyfrowych pułapek(uzależnień)...których MY nie znamy.

Kontakt więc z synem mam bardziej nowoczesny...po SIECI

czasem budzi się we mnie...żał do siebie,że mogłem

mu więcej uwagi poświęcić



ale Cóż.. tatuś ma „swoj świat” z którego nie raz ciężko go oderwać. Pamiętam...własne dzieciństwo:
My to blokowiska,zabawa na placach budowy
a ja jeszcze z KARTEK na życie ...utrzymywany.
W kolejkach życia (wystany)... wtedy było jakoś inaczej.
Zupełnie inne czasy. Inni ludzie.
Dzisiejszy świat się zmienił nie do Poznania

Rozdział .4

„walka” z wiatrakami

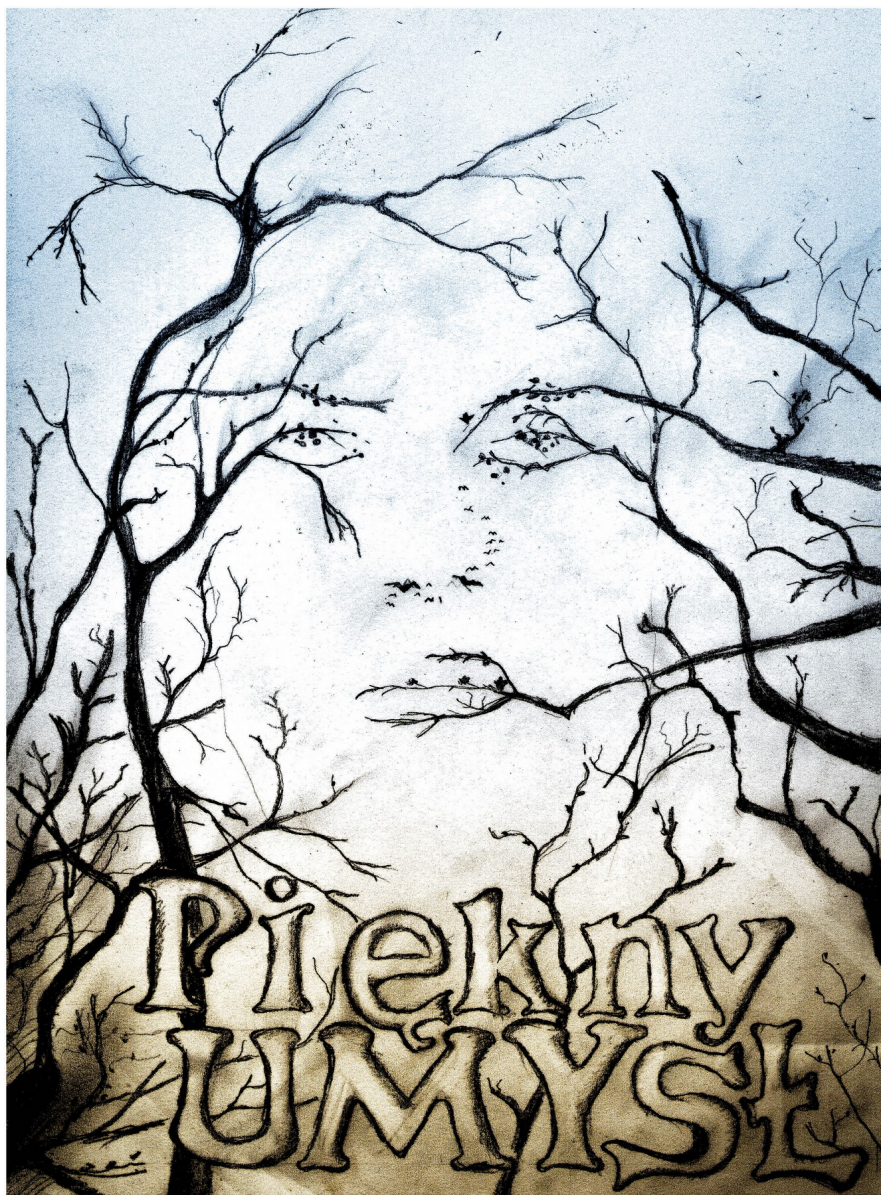
prozą życia... chorobą i czymś do zdobycia.

Nie ma co moralizować.. choroba
we mnie wykiełkowała i została.

Trza było się z tym oswoić.
Nie walczyć z wiatrakami.

Zaakceptowałem siebie...
jako „anonimowy” schizofrenik.
Bo nie ma co się obnosić z chorobą...
a i tak społeczeństwo jest niedoinformowane,
nie wie nic o chorobie.
Media i TV , filmy o schizofrenii są pokazywane
„niestarannie”.

Moim celem nie jest tu bronić... czy kogoś oskarżać,
zresztą sam na mój stan sobie zapracowałem .
To Bagaż na całe życie...
bo raczej nie ma szans na cudowne uzdrowienie.
Mam szczęście ,że mam spełnione cele w życiu,
kochającą rodzinę (żonę ,syna)i jakieś hobby
odskocznie od szarej codzienności.



Jakoś bez entuzjazmu.. włączyłem się w ten projekt książki
(potrzebowałem czasu)aby się z tym oswoić...przekonać)
Ponieważ moje wiersze, ogólnie pisanie... kojarzy się z manią,
chorobą. Jednym słowem ...mało pozytywnie.

Wspomniałem o mym hobby.
Więc się pochwale... że ładnie rysuje
od czasu coś „wierszem wypłuje”
prowadzę (posiadam) stronę internetową wielotematyczną.
Dzięki pomysłodawcy projektu
(JAPIE) i całej społeczności, którą zebrał
w jedno miejsce...piękne miejsce, gdzie jest o co walczyć.

O godność i wolność, o zabawę ...humor ,gorącą kawę.
Miejsce... wolne od słownej przemocy
wkrocz w nasze środowisko
.Środowisko Pięknego Umysłu

"To nie zielsko... żyjem sielsko"

Rozdział .5.1

*Jeden zgiełk, jedno tchnienie
..Szelestciszy.. dogłębne wniknienie..*



*Szelest ... kolekcjoner emocji
myślowe wodospady*

Od dawna... nic nie napisałem(wiersz)a nawet życzenia
na okazje,z okazji,,posiłkujemy się gotowcami.
Więcej czasu poświęcam na popołudniowy relaks po pracy.
Jestem fanem kabaretów... lubię się śmiać,

choć mam wyszukane skecze.

Nie wszystko śmieszy. Życie mi skopało dupę ...
„dając” chorobę, ale to nie wyrok, żeby się załamywać,
Pracuje...(da się) od niedawna w innej gałęzi
handlowej... niż przez te 15 lat.

Nie załamałem się,nie siadłem na laurach...
sam znalazłem robotę.

Lata płyną.. człek szuka czegoś lżejszego nie do końca musi
mu to sprawiać radość .W ogóle dziwna ta choroba...
gdyby nie wizyta u psychiatry(po leki) to bym zapomniał
o chorobie. (może mam lekką formę jej) nie wiem
...nigdy nie dociekałem tematu .Moim hobby
było/ył rysunek... od zawsze rysowałem. Z czasem
zdolności się polepszyły .Pisać ...a co dopiero wiersze...
nie to nie była nigdy moja dziedzina. Dysleksja mi styka.
Dlatego w wolnej chwili jak znajdę temat, inspiracje
siadę do kartki. W ostatnim czasie (nie lada wyczyn)
rzuciłem nałóg nikotynowy.. z pozytywnym skutkiem.
Stres(w nowej pracy) i brak fajek...zrekompensowałem sobie
„piwkami”,temat otwarty,tzn...
muszę się mniej stresować....trza coś napisać, narysować...
Zapraszam na stronę www ,niekoniecznie do wierszy
...jest wiele ciekawszych tematów.

Dzięki za wyrozumiałość .

**Tych co wytrwali do końca... mojej historii.
mówię aAAAHOJw.**

..Postscriptum:

NIK **Szelestciszy** powstał w mojej chorej wyobraźni bardzo go lubię ,bo odzwierciedla mnie ,jaki jestem. tj. spokojny ,nieśmiały ,małomówny człowiek z kompleksami, który poprzez wiersze,rysunki wylewał z siebie emocje,tak odreagowywał na stres, nerwy ,życie codzienne. A te "stresy" okazały się chorobą.

*Leki nas naprawiają....dają „normalnie” życie
lecz wiele zabierają..nie dają mnie się cieszyć.
Dają na głębie kaganiec.... to dla poety-niemowy różaniec
knebel...,anielskie milczenie..mózgowe otępienie.*

Powiem tak: po moich epizodach,mani... już jako zdrowszy człowiek, stojący na równowadze...emocjonalnej tzw. Re**MISJI** zaczęło mnie brakować tego zwariowanego człowieka, tego, że z taką łatwością potrafił two**ŻYĆ**.pisać ..wierszowe pomyje.. .z których wychwycić można coś jeszcze...ja to pisałem ,że jeszcze *szeleszczę , podziękowania, dreszczy chce jeszcze..*
Od dawna już nie oczekuje tego „stanu ... podwyższonego ryzyka” mam w pamięci jeszcze efekty po górcie emocjonalnej,energetycznej.
Rodzina jest tego samego zdania. Ale wiele czasu upłynęło zanim się z tym pogodziłem .Nie dla mnie...gęsie pióro.
Kartka,,papieru. Dla mnie pędzel i bal na weselu.
Prędzej ołówek bo czuje się pewniej...i jest możliwość poprawy.
Więc jeśli lepiej się poczuje, czy x wypitych kawach,w głowie jest **good** zabawa.

W mojej historii ,opowiadaniu wstawiałem urywki , kawałki własnych wierszyków,myśli które zebrałem w jednym miejscu.. i tam sobie żyją. Kogo zaciekawia moje opowiadanie..i będzie mieć chrapkę na nie serdecznie zapraszam na stronę www

Postanowiłem jeden wiersz w całości pokazać.
Wybór nie jest przypadkowy.
Esencja w czterech liniijkach.

Tytuł: **MultiKINO**

„CZUJE SIĘ ...
JAK W **AMOKU**.
NIEMYM KINIE.
TAKIM **LUDZKIM**.
MULTI **KINIE**.”



www.szelestciszy.pl